

**FINANSE PEWNEJ
PARAFII**

**DONBAS: KAWA
MOCNIEJSZA OD BOMB**

**PRZECIĘTNOŚĆ
JEST ZDROWA**

Kraków 5 lutego 2023 nr 6 (3839)
cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

**JAN KRZEPTOWSKI-
-SABAŁA**

Nowe widoki na Tatry

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



Albatros travel

Skandynawska jakość od 1986 r.

Pociągami przez Szwajcarię – alpejskie szczyty i jeziora

Odkryj malowniczą Szwajcarię podróżując pociągami, statkami i górskimi kolejkami, ciesząc się pięknymi widokami i zwiedzając mijane po drodze miasta.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot do Zurychu. Następnie przejazd pociągami do Lucerny. Dz. 2 Wycieczka pociągami i statkiem na górę Rigi. Dz. 3 Zwiedzanie Lucerny i wycieczka fakultatywna na Stanserhorn (dodatkowo płatna). Dz. 4 Rejs statkiem po jeziorze i przejazd Gotthard Panorama Express do kantonu Ticino. Dz. 5 Wycieczka po Bellinzona i Lugano. Czas do własnej dyspozycji. Dz. 6 Bellinzona - Zurych - Warszawa.

6 dni | Wylot z Warszawy 15/08 2023

7.698,-



Rejs po pięknym, modrym Dunaju

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Monachium w Niemczech. Przejazd do Passau i zaokrętotowanie na statku. Dz. 2 Ybbs, Austria. Spacer po urokliwym Ybbs lub wycieczka do Sanktuarium w Maria Taferl (dodatkowo płatna). Dz. 3 Wiedeń, Austria. Opcjonalna wycieczka po historycznym centrum miasta: Pałac Hofburg, katedra Św. Szczepana, spacer eleganckim deptakiem Graben i Ringstrasse. Dz. 4 Budapeszt, Węgry. Zwiedzanie miasta i jego wspaniałej architektury (dodatkowo płatne). Dz. 5 Budapeszt, Węgry. Możliwość wycieczki fakultatywnej do węgierskiej Puszczy. Dz. 6 Bratysława, Słowacja. Opcjonalnie piesza wycieczka po Starym Mieście. Dz. 7 Melk, Austria. Opcjonalna wycieczka do klasztoru benedyktynów Stift Melk. Dz. 8 Przytynięcie do Passau, przejazd do Monachium i powrót do Warszawy.

8 dni | Wyloty z Warszawy
05/06, 25/09 2023

od **7.998,-**

Irlandia – zielona wyspa Celtów

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa-Dublin. Wycieczka po mieście autokarem, a następnie krótki spacer. Dz. 2 Zwiedzanie Dublina i Newtown Jerpoint oraz pokaz psów pasterskich. Dz. 3 Miasto Wikingów – Waterford. Zamek Cahir. Dz. 4 Pierścień Kerry, posiadłość i ogrody Muckross. Dz. 5 Kerry – prom do Killimer – Klify Moheru – Burren – Galway. Dz. 6 Malowniczy region Connemara, zwiedzanie miasta Galway. Dz. 7 Clonmacnoise – destylarnia whiskey. Dz. 8 Dublin – Warszawa. Powrót do domu.

8 dni | Wylot z Warszawy
17/05 2023

6.998,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: TP03

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

KS. ADAM

Boniecki: Bóg zapłać

NIE ZNAM MIEJSC NI INSTYTUCJI, GDZIE PIENIĄDZE czynią zgodę. A już pieniądze w Kościele – szczególnie. O tych państwowych nie chcę dziś mówić, bo i tak wiadomo, że ich cena będzie ogromna. Kościół długo nie spłaci ludziom tych procentów. Ale pieniądze są też czasem kością niezgody parafian z proboszczem, czasem biskupa z księżmi – takie „rozliczenia wewnętrzne”. Jest faktem, o czym pisał w poprzednim numerze Marek Rabij, że w polskim Kościele jest tyle systemów finansowych, ilu biskupów ordynariuszy. „Rozwiązaniem problemu byłaby oczywiście reforma finansowa Kościoła w Polsce” – stwierdza on i jako przykład podaje system finansowania księży we Włoszech, zaznaczając, że podobnie jest w wielu krajach. W Polsce jedno jest wspólne – finanse diecezjalne są objęte „klauszulą tajności”. Rabij podejrzewa, że sam „Kościół w Polsce nie wie, jakim majątkiem dysponuje”. Coś w tym pewnie jest, choć wielu się wydaje, że wszystko wiadomo (szczególnie tam, gdzie by Kościół chciał, żeby nic nie było wiadomo). Dlatego tak ciekawy jest w tym numerze wywiad Artura Sporniaka z ks. Leszkiem Slipkiem, który uznał za wskazane publiczne przedstawianie sytuacji materialnej swojej niewielkiej warszawskiej parafii. Na pewno dobrze ilustruje to sytuację, choćby warszawskich księży. Nie jest to sytuacja nadzwyczajna, ale nie jest zła. Bo sytuacja w parafiach, które dysponują nieruchomościami czy ziemią do wynajmu, jest znacznie lepsza niż w parafii ks. Slipka. Czy sytuacja parafii jako takiej, czy księży – proboszcz, wikarych – trudno powiedzieć. Jest różnie. I to bardzo. O tym wszystkim pisał w poprzednim numerze „Tygodnika” i mówił w podkaście Marek Rabij.

Przytaczanie w takim momencie przykładów z niedawnej przeszłości zachodniej Europy może być traktowane jako łatwizna albo przykład naiwnej wiary w determinizm



historyczny. Owszem, przyszłość będzie zupełnie inna, niż nam się wydaje, ale... Mieszkalem w latach 70. w jednej z paryskich parafii. Sytuacja wymagała solidarności i parafie przekazywały swoje dochody do arcybiskupstwa, które rozdzielało je sprawiedliwie wśród księży. Pamiętam też rozmowę z moim proboszczem, w której mi uświadomił, że gdyby nie wielkoduszność parafian, nasz ubogi stół byłby znacznie uboższy. Byli bowiem ludzie, którzy dostarczali nam jadła i napoju jak jałmużny. Oczywiście tak było w Paryżu i nie wiem, czy tak samo było, a pewnie często nie było w parafiach na prowincji Francji.

Sytuacja finansowa Kościoła w Polsce się zmienia, to jest oczywiste. Rozwiązanie systemowe jest konieczne i niewątpliwie przyjdzie, choć dla tak wielu władnych jest to wciąż nie do pomyślenia. A na „pomyślenie” jest już przecież czas najwyższy. Moje zakonne doświadczenie jest dobre. Solidarność z naszymi domami w miejscach materialnie ubogich zawsze istniała. Taka jest droga zakonów. Z rozmowy Sporniaka z ks. Slipkiem można wnosić, że sytuacja księży w Warszawie, więc prawdopodobnie i w innych miastach, nie jest tak trudna jak na Pomorzu Zachodnim.

Zmniejszająca się liczba wiernych oraz księży oznacza (prawdopodobnie) także zmianę jakościową kleru. Już wiadomo, także w Polsce, że wybór stanu kapłańskiego będzie wyborem coraz mniej atrakcyjnym materialnie, coraz bardziej wymagającym i trudnym. Nikt w to nie pójdzie dla profitów. Będzie mniej księży, lecz ci, którzy nimi zostaną, będą ludźmi w jakimś sensie niezwykłymi. Zanim się zorientujemy, inni będą księża, inni biskupi, inny sposób sprawowania tych funkcji. Nie sądzę, by to miała być zmiana rewolucyjna, przewrót, całkiem nowe twarze, a jednak będzie kompletnie inaczej niż teraz. I to całkiem niedługo. ©

TYGODNIK
POWSZECHNY

Maciej Stuhr

czyta baśnie w „Tygodniku”

„Słuchowisko Daleko i Blisko” prezentem dla wszystkich prenumeratorów wydania drukowanego!

Nie masz prenumeraty – zamów – szczegóły na stronie 83 tego wydania i na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate

PARTNER WYDANIA: **fine.ngo**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
MATERIAŁY PRASOWE PARTNERA



29 Przecięcie, czyli dobrze
PSYCHOTERAPEUTKA CVETA DIMITROVA
o pułapce, jaką może się stać strach przed przeciętnością.



40 Przecież tego nie skują
KAROL KLECZKA
Co zrobić z obecnymi w przestrzeni sakralnej dziełami artysty oskarżanego o przestępstwa seksualne?



44 Roasted Uganda
ANDRIJ LUBKA
Dobra kawa wypita na linii frontu przypomina ci, że nie jesteś kawałkiem mięsa, celem dla snajperów, ale człowiekiem ze swoimi gustami i nawykami.



58 Co oznacza równość
JAREK GRYZ
Potrafimy wybaczyć jednej osobie, która wygrała los na genetycznej loterii. Ale gdyby dotyczyło to 10 proc. społeczeństwa, burzyłoby to nasze poczucie sprawiedliwości.



64 Biografia dłoni
ADAM ROBIŃSKI
Barry Lopez, podobnie jak kapitan James Cook, którego śladami podąża na łamach „Horyzontu”, był świadom, że pewnych rzeczy nie da się zmierzyć. Był też przekonany, że ludzie potrzebują opowieści tak jak wody i pożywienia.



78 Co jest pod kołderką
MICHAŁ KUŹMIŃSKI
Szefkuchni epoki telewizji stał się celebrytą i magiem, przewodnikiem, wreszcie kapitanem pragnień. Jeden z nich, charyzmatyczny René Redzepi, założyciel Nomy – restauracji ogłoszonej najlepszą na świecie – właśnie ogłosił, że zamknie ją do końca 2024 r.

6 Zasadzki nowej ordynacji
JAROSŁAW FLIS

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Stałiśmy się głusi i niewidomi
MARCIN KĘDZIERSKI:

Cieszymy się, że państwowe inspekcje jeszcze pracują – za kilka lat doświadczymy skutków kadrowej luki pokoleniowej

26 Wciąż atrakcyjni dla świata

PIOTR WÓJCIK *ocenia stan polskiej gospodarki na początku trudnego dla niej okresu*

29 Przecięcie, czyli dobrze

ROZMOWA Z CVETĄ DIMITROVĄ,
PSYCHOTERAPEUTKĄ

■ ■ WIARA

34 Parafia na tacy

O stanie finansów stołecznej parafii św. Andrzeja Apostoła z jej proboszczem KS. LESZKIEM SLIPKIEM rozmawia
ARTUR SPORNIAC

38 Pielgrzymka do jądra ciemności

WOJCIECH JAGIELSKI: *Podróż Franciszka do krajów Afryki Środkowej to jego błaganie o pokój w tej części świata*

40 Przecież tego nie skują

KAROL KLECZKA

■ ■ ŚWIAT

44 Roasted Uganda

ANDRIJ LUBKA

48 Gdy jest cicho, słysząc, jak góra płacze

MARTA SZPALA *o postępującym uzależnieniu Serbii od Chin*

TEMAT TYGODNIKA

12 Cała Polska pod Tatrami

MARCIN ŻYŁA

Góry są opowieścią o zakrzywieniu przestrzeni i czasu. Teatrem, w którym kurtyną potrafi być chmura, na jeden tylko moment w ciągu dnia odsłaniająca granitowy dach Kościelca, gdy schodzimy na Karb. Warunek, żeby to zobaczyć, jest jeden: trzeba przystanąć.

16 Krokusy oglądają na klęczkach

ROZMOWA Z PRZEWODNIKIEM I PRZYRODNIKIEM

JANEM KRZEPTOWSKIM-SABAŁĄ

o sposobie na inną wędrówkę po Tatrach.

■ FELIETONY ■

33 TOMASZ STAWISZYŃSKI

43 ZUZANNA RADZIK **62** ELIZA KĄCKA

76 OLGA DRENDĄ **77** PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: JAN KRZEPTOWSKI-SABAŁA,

STYCZEŃ 2023 R.

FOTOGRAFIA: GRAŻYNA MAKARA

Redaktor prowadzący: MAREK RABIJ

51 W środku Państwa Środka

MACIEJ MÜLLER: *Jak życie w Chinach walczących z pandemią wygląda z perspektywy mieszkającej tam Polki*

52 Fałszywki nowego typu

AGATA KAŻMIERSKA, MICHAŁ GIKOWSKI: *Badacze zjawiska dezinformacji ostrzegają: sztuczna inteligencja potrafi tworzyć fałszywe zdjęcia i skutecznie promować je w mediach społecznościowych*

■ ■ HISTORIA

54 Dwustu z Czortkowa

TOMASZ BASARABOWICZ *o nieznanym polskim zrywie zbrojnym na Podolu*

■ ■ NAUKA

58 Co oznacza równość

JAREK GRYZ

■ ■ KULTURA

64 Biografia dłoni

ADAM ROBIŃSKI

68 Peryferie w centrum

PIOTR KOSIEWSKI: *Świat odkrywa XIX-wiecznych artystów skandynawskich*

71 Zawał duszy

ROZMOWA Z AGNIESZKĄ SMOCZYŃSKĄ, REŻYSERKĄ

74 Wtajemniczanie w los

ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Duchy Inisherin”*

75 Dziennik filozofa

LEKTOR o „Dziennikach” Władysława Tatarkiewiczza

■ ■ ZMYŚŁ

78 Co jest pod kołderką

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Etiopia: sto dni pokoju [Strona świata]**

Wojna w Tigraju została przerwana równie gwałtownie i niespodziewanie, jak się zaczęła – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI**
tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ **Szkoła latania [Co obejrzeć w weekend]**

Zosia, Kinga i Oskar uchylają drzwi do świata niewidzących dzieci – **ANITA PIOTROWSKA**
o filmie „Pisklaki”. | tygodnikpowszechny.pl/weekend

Anna Łabuszewska: ROSYJSKA RULETKA
Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/ROSYJSKARULETKA

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



ZASADZKI NOWEJ ORDYNACJI

Nawet jeśli PiS-owi uda się zmienić zasady organizacji wyborów, efekty będą dalekie od zamierzonych i wprowadzą co najwyżej bałagan. Opozycja nie powinna panikować.

JAROSŁAW FLIS

POMIMO DEKLAROWANEJ TROSKI O FREKWENCJĘ i uczciwość głosowania, zmiany kodeksu wyborczego kryją pogmatwany zbiór nieprzemyślanych, gorączkowych ruchów partii władzy. Jest tu zarówno wyrzucenie do kosza własnych chybionych pomysłów sprzed pięciu lat, jak też rewolucyjny plan walki z wykluczeniem transportowym na polskiej wsi, ostrożnie ograniczony do niedzieli wyborczej i pozbawiony oszacowania możliwych kosztów.

Medialną uwagę przyciąga sprawa dogęszczania komisji wyborczych. Trudno ocenić, jak zareagują na to wyborcy, lecz na pewno autorzy nie zadali sobie trudu sprawdzenia, jak ich pomysły mają się do sieci osadniczo-administracyjnej w różnych częściach kraju. Jeśli ktoś sobie wyobraża, że mieszkańcy wsi po wyjściu z mszy muszą się dziś przemieszczać do odległej komisji, to jest w błędzie. One z reguły już są blisko kościołów parafialnych; inaczej jest tylko w przypadku poniemieckich kościółków na Ziemiach

*Spotkanie parlamentarzystów PiS z samorządowcami w sprawie zmian w kodeksie wyborczym.
Warszawa,
10 stycznia 2023 r.*

Odzyskanych – szczególnie w Zachodniopomorskiem. Czyli tam, gdzie udział *dominantes* w wyborach i tak jest najniższy. W Kongresówce i Wielkopolsce forsowana zmiana oznaczać może natomiast tworzenie komisji w remizach i świetlicach w mniejszych wsiach, czyli *de facto* odsunięcie ich od świątyni, koło których – w większych wsiach – znajdują się szkoły, tradycyjne miejsca głosowania.

Czy to będzie dla mieszkańców najmniejszych miejscowości zachęta do udziału w wyborach? Nie wygląda, by ktoś zwracał na nich uwagę na tyle, by zapytać ich przedstawiciele – radnych. Nie mówiąc już o tym, żeby im w tej sprawie zaufać, zostawiając decyzję w ich rękach. W Galicji i na wielkim Śląsku – gdzie ludzie uczęszczający na msze dominują – zmiany będą marginalne. Ograniczą się zasadniczo do przypadków, w których np. jedna komisja obsługiwała dotąd dwie wsie, i tak już dawno ze sobą zrosnięte.

Cała ta sprawa to kwintesencja politycznej mieszanek, którą serwuje nam od początku obóz rządzący. Jej składnikiem jest chęć skłaniania PiS do poszukiwania sposobów na poprawę swojej politycznej pozycji. Kolejnym elementem jest „diagnoza” źródeł tego problemu, wpisująca się w obraz świata prezesa Kaczyńskiego, gdzie dominującym motywem jest brak zaufania do istniejących instytucji, obsadzonych przez ludzi, nad którymi nie ma partyjnej kontroli. Następny składnik to rozwiązanie – koniecznie oparte na sztywnej odgórnej regulacji. Rozwiązanie, które nie zostało poddane żadnym testom czy kalkulacjom ani poważnej dyskusji.

Reakcja opozycji też jest niestety zwyczajowa. Sporo w niej paniki, trochę demonizowania „geniuszu prezesa” i jego „diabolicznych planów”. Oraz szczypta historycznych reakcji, zrażających kolejne grupy wyborców. Wreszcie brak poważnych, samodzielnych prób zmierzenia się z problemem niskiej frekwencji.

Skromnym pocieszeniem jest to, że nawet gdyby władzy udało się te zmiany wprowadzić, efekty będą dalekie od zamierzonych. Pojawi się za to dużo zamieszania, nieprzewidywalne uboczne skutki oraz konieczność posprzątania tego bałaganu w nieodległej przyszłości.

Ustawa trafiła do Senatu. To dobry moment, żeby opozycja spacyfikowała panikarzy we własnych szeregach i podjęła próbę przedstawienia swoich diagnoz oraz propozycji dotyczących organizacji wyborów. Może najgłupsze z proponowanych zmian da się jeszcze powstrzymać. A jeśli nie, to pamiętajmy, że za rok o tej porze będziemy się szykować do wyborów samorządowych i europejskich. Czasu na korekty po wyborach sejmowych będzie więc bardzo mało. ©

KAMILA FERENC, ADWOKATKA:

Aborcja. Martwe prawo

MAŁGORZATA NOCŮ:
Zgwałconej przez wujka czternastolatce z niepełnosprawnością intelektualną dwa podlaskie szpitale odmówiły prawa do terminacji ciąży. Powołano się na klauzulę sumienia. Równocześnie nie wskazano placówki, która zabieg wykona.

Prawo aborcyjne w Polsce nie działa?

KAMILA FERENC: Niestety. Ustawa aborcyjna daje kobiecie możliwość przerwania w publicznym szpitalu ciąży pochodzącej z czynu zabronionego, czyli m.in. gwałtu, ale to martwe prawo. Chyba że – jak w przypadku wspomnianej dziewczynki – do sprawy włączy się organizacja typu Fundacja na Rzecz Kobiet i Planowania Rodziny i udzieli pacjentce wsparcia prawnego. Obserwujemy jednak, że brak dostępu do aborcji uderza na masową skalę w zdrowie fizyczne i psychiczne Polek.

Aż ciężko wyobrazić sobie cierpienie tej dziewczynki.

To brutalnie zgwałcone dziecko nie mogło liczyć na pomoc medyczną, empatię i wsparcie. Zamiast tego spotykało je upokorzenie. Zostało wyrzucone przez lekarzy za drzwi.

Czy nie uważa Pani, że klauzula sumienia – co podnosi wielu wybitnych specjalistów z Polskiego Towarzystwa Ginekologów i Położników – powinna zostać usunięta z polskiego prawa?

Powinno się to stać jak najszybciej. Ten przepis to nic innego, jak systemowe usankcjonowanie o wiele słabszej pozycji pacjentki w stosunku do lekarza. Prawo powinno dać kobiecie gwarancję, że jej zdrowie i życie będzie dla lekarza priorytetem. Dzisiaj tak nie jest i są na to dowody, choćby śmierć Izabeli z Pszczyny. Należy także podkreślić, że w klauzuli sumienia najczęściej nie chodzi wcale o sumienie, ale o decyzję polityczną. Szpital po prostu nie chce mieć nic wspólnego z aborcją, bo to „kwestia kontrowersyjna”. Wśród ginekologów



DAREK GOLIŃSKI / ARCHIWUM PRYWATNE

panuje przekonanie, że terminacja ciąży się nie opłaca, jest źle widziana przez władze. I dlatego na dalszy plan schodzą kwestie prawne oraz dobro pacjentek. W dyskusji o aborcji zapominamy, że lekarz nie jest od moralizowania, ale leczenia.

Zaostrzenie ustawy sprawiło, że dostęp do zabiegu odmawia się także pacjentkom, których zdrowie i życie jest zagrożone, oraz w ciąży pochodzącej z czynu zabronionego.

To efekt wynikający z restrykcyjnych przepisów aborcyjnych, kryminalizacji i stygmatyzacji tego zabiegu. Od dwóch lat musimy walczyć o przerywanie ciąży pozamacicznych, zagnieżdżonych w bliźnie po cesarskim cięciu, grożących krwotokiem czy pogarszających zdrowie psychiczne pacjentek. Standardy opieki ginekologiczno-położniczej drastycznie się obniżyły. W 2021 r. w publicznych szpitalach miały miejsce 32 zabiegi terminacji ciąży na ponad 9 mln kobiet w wieku reprodukcyjnym. Nie wykonano ani jednej terminacji z powodu czynu zabronionego (gwałtu lub kazirodztwa). W trzech województwach: lubuskim, podkarpackim i warmińsko-mazurskim przez cały rok nie przeprowadzono ani jednej aborcji. W kolejnych dziewięciu odbyło się mniej niż dziesięć zabiegów.

Niektóre kobiety uważają, że bycie w ciąży w Polsce zaczyna być aktem heroizmu. Potwierdzają to sondaże opinii publicznej. W badaniu IPSOS przeprowadzonym dla OKO.press pod koniec grudnia 2021 r. aż 51 proc. ankietowanych w wieku 18-39 lat na pytanie „Dlaczego Pani/Pana zdaniem kobiety w Polsce nie chcą mieć dzieci?” odpowiedziało: „Bo zajście w ciążę wiąże się z ryzykiem”. ©

KAMILA FERENC jest aktywistką i prawniczką, pracuje w Fundacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny.

Kolego, podziel się dostępem

ŁUKASZ KWIATEK



NAWET 200 MLN ZŁ MINISTERSTWO Edukacji i Nauki przeznacza co roku na wykupienie dostępu do 20 tys. specjalistycznych czasopism, ponad 100 tys. książek i naukowych baz danych dla pracowników polskich uczelni. Bez tego nie da się uprawiać nauki ani prowadzić dydaktyki na poziomie akademickim. Nic więc dziwnego, że komunikaty kolejnych uczelni o tym, iż MEN ogranicza im finansowanie, wywołują oburzenie.

Ministerstwo nie odpowiedziało mi na pytanie, jaka kwota zostanie przeznaczona na licencje w tym roku, ale z informacji podawanych przez szkoły wyższe wynika, że zagrożony jest dostęp m.in. do „Science” i „Nature”. Niektóre uczelnie będą negocjować zakupy tych licencji same i dołożą brakujące środki. Biedniejsze pewnie się poddadzą, a ich pracownicy będą musieli częściej korzystać z pirackiego serwisu Sci-Hub (zgromadził większość artykułów naukowych wydanych do 2021 r.) albo prosić znajomych o podzielenie się dostępem.

Można by tę decyzję ministra Czarnka postrzegać jako kolejny etap rujnowania polskiej nauki. Trzeba jednak pamiętać, że największe wydawnictwa naukowe – jak Elsevier czy Springer – to prywatne firmy zarabiające miliardy euro na sprzedaży dostępu do badań naukowych finansowanych ze środków publicznych. Wydawcy żerują też na darmowej pracy naukowców recenzujących publikacje. To tak, jakby państwa płaciły Netflixowi za konta dla obywateli, ale wszystkie materiały z jego biblioteki wyprodukowały i przekazały mu publiczne telewizje. Mam nadzieję, że ten system w końcu runie, a czasopisma i bazy danych przejęte zostaną przez międzynarodowe organizacje non-profit. Z drugiej strony, nie o etykę w decyzji ministerstwa chodzi. Gdyby wydawcą „Nature” lub „Science” był ktoś związany z partią rządzącą, miliony złotych na licencje zapewne by się znalazły. © P

KRAJ W SKRÓCIE

PREZES BYŁA

W Trybunale Konstytucyjnym trwa spór o to, czy Julia Przyłębska nadal może stać na czele tego ciała, czy jej kadencja skończyła się w grudniu. Sędzia i wiceprezes TK Mariusz Muszyński, składając swoje zdania odrębne do kilku postanowień, określił Przyłębską mianem „byłej prezes”.

PREZES OBECNY

Obecny prezes PiS wznowił aktywność po operacji kolana. „Nie możemy się doczekać Jarosława Kaczyńskiego na Nowogrodzkiej. Choć czuliśmy cały czas obecność prezesa PiS i jego karzące oko na każdym z nas” – wyznał europoseł Ryszard Czarnecki.

PRAWO PREZESA

Przyjęta przez Sejm poprawka do Kodeksu Postępowania Cywilnego wydaje się napisana specjalnie dla Jarosława Kaczyńskiego, który nie wykonał wyroku w sprawie przeprosin Radosława Sikorskiego za słowa z wywiadu dla Onetu: wedle dawnych przepisów lider PiS miałby zapłacić ponad 700 tys. zł, po poprawce – nie więcej niż 15 tys.

PRAWO LASU

Głosami PiS i PSL Sejm zdecydował, że myśliwi nie będą musieli poddawać się co pięć lat badaniom lekarskim i psychologicznym.



JACEK TARAN

ORKIESTRA GRA

Co najmniej 150 mln zł zebrała Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy w trakcie 31. finału, którego celem była walka z sepsą.

Jak spłacić dług zdrowotny

W GRUDNIU 2022 R. w Polsce umierało tygodniowo średnio 9709 osób. Przed pandemią, w grudniu 2019 r. – 7992. Wprawdzie w styczniu wykres zdaje się nieco normalizować, ale to za mało, by mówić o zmianie trendu: zgonów nadmiarowych jest bardzo dużo. Z jakiego powodu, skoro koronawirus zlagodniał?

W wydanym ostatnio raporcie na temat śmiertelności badacze z NIZP-PZH podają, że nadwyżka zgonów występuje obecnie właściwie wyłącznie wśród osób starszych niż 65 lat i nie jest związana z covidem. Pokazuje to skalę długu zdrowotnego, czyli zaniedbań w profilaktyce i leczeniu z powodu utrudnionej dostępności do opieki medycznej w latach pandemicznych. Opóźnienia w zdiagnozowaniu raka czy chorób serca znacznie zmniejszyły szansę na skuteczne leczenie wielu pacjentów. „W latach pandemii nastąpiło zasadnicze pogorszenie stanu zdrowia Polaków, szczególnie osób starszych – piszą autorzy. – Wystąpiła znaczna nadwyżka umieralności z powodu cukrzycy, chorób układu nerwowego, chorób serca oraz przyczyn bezpośrednio związanych z konsumpcją alkoholu”. Skróciła się średnia długość życia: w 2019 r. mężczyźni żyli średnio 2,3, a kobiety 2,1 lat dłużej niż w 2021.

Walka z długiem zdrowotnym potrwa lata i będzie wiele kosztować. Do końca marca ministerstwo zdrowia ma zaproponować konieczne zmiany systemowe. © P MAM

700 w skali Beauforta-Suskiego

„MUSIMY BUDOWAĆ WIATRAKI, by nie spalać drogiego kolumbijskiego węgla” – mówił na początku roku premier i obiecywał zmianę prawa, które od 6 lat blokuje rozwój energetyki wiatrowej. Zasadę 10H (150-metrowa turbina musi stać co najmniej 1500 m od domów) miał zastąpić limit 500 metrów z opcją wprowadzania ograniczeń przez samorządy. Założenia były gotowe 3 lata temu, dyskutowały nad nimi: biznes, ekolodzy i trzy ministerstwa, bo po drodze była rekonstrukcja rządu. Gotowy tekst pół roku temu Sejm wsadził do zamrażarki, bo wiatrakom sprzeciwiali się ziobryści. Po drodze spaliłimy kolejne tony węgla.

26 marca ub.r. ustawą zajęła się sejmowa komisja. To miała być ostatnia prosta, zwłaszcza że jesteśmy pod ścianą – bez uwolnienia wiatraków Polska nie dostanie pieniędzy z KPO. Wtedy jednak poseł Marek Suski, z wykształcenia technik teatralny, zgłosił odrębną poprawkę, która limit 500 m zmienia na 700 m. Można zastanawiać się, czy to wystarczy do wypłaty środków z KPO (zapewne tak) i jakie będą konsekwencje poprawki (ograniczenie produkcji zielonej i taniej energii). Można też uznać, że sytuacji, w której długofalowe strategię przegrywają z napisanym na kolanie świstkiem, nie da się traktować poważnie, i wspomnieć jeden z tekstów poety Stanisława Staszewskiego: „handel zagraniczny rozwijają zduni, znają koniunkturę z gawędzeń babuni”. © P KS



FATIMA SHABIR / AP / EAST NEWS

TO ZNÓW REAKCJA ŁAŃCUCHOWA: po izraelskim nalocie na Dżenin (Zachodni Brzeg Jordanu) w miniony czwartek, w którym zginęło dziesięcioro Palestyńczyków, w piątek siedmioro Izraelczyków zostało zabitych pod synagogą na osiedlu Nowe Ja'akow (wschodnia Jerozolima). Premier Netanjahu zapowiada retorsje, prezydent USA mówi o „ataku na cywilizowany świat”. Media arabskie piszą zaś o możliwości wybuchu trzeciej intifady. Na zdjęciu: dym z palonych opon i człowiek z flagą Palestyny podczas antyizraelskich protestów niedaleko Gazy, 26 stycznia 2023 r. © P ŻYM

Chersoń czeka na odwizł

SKRAJNIE NISKIE TEMPERATURY dają się we znaki w południowej Ukrainie. Skrajne jak na ten region, owocowe zagłębienie kraju, gdzie – jak tu, pod Koblewem nad Morzem Czarnym – winnice ciągną się po horyzont. Choć w miniony weekend temperatura mierzalna spadła do -2, to ta odczuwalna wynosiła prawie -10. Lodowaty wiatr szarpał gołą winoroślą, a deszcz zamarzał na drodze – paraliżując system, który jest dziś dla Ukrainy gospodarczym oknem życia.

Pierwsze oznaki tego systemu widać już 110 km od Odessy, przy drodze z Humania. W sobotni poranek dochodzi piąta, trwa godzina policyjna. Stoją więc na poboczu kolumny ciężarówek do przewozu pszenicy, soi, kukurydzy. Im bliżej Odessy, tym ich więcej. Koło Jużnego – jednego z portów, z których dzięki umowie międzynarodowej ukraińskie zboże płynie w świat – są ich już tysiące: czekają w kolejkach do portu, by pozbyć się ładunku. A gołoledź to okoliczność fatalna: gdy na drodze szklanka, system przymiera. Chojrak, który zawierzył szczęściu, leży już w rowie. Inni wolą czekać – choć mogą wypaść z grafiku, jaki musi rządzić tym mrowiskiem.

Nie sposób wyznaczyć linii, gdzie kończy się ten bezpieczny (relatywnie) system, a zaczyna ziemia, na którą może spaść pocisk. Już 30 km od Koblewa leży Oczaków: położony na cyplu u ujścia Dniepru do morza, co dzień jest pod ogniem rosyjskiej artylerii zza rzeki.

A chwilę dalej jest już Chersoń. Przyjechaliśmy tu znów – to siódmy transport z pomocą organizowaną od jesieni przez „Tygodnik” – by przywieźć 4,5 tony ładunku, głównie żywności podarowanej przez niemiecką organizację Kinder brauchen Frieden (Dzieci potrzebują pokoju). Trafi do rodzin z niepełnosprawnymi dziećmi i do wsi pod Chersoniem.

Do Czornobajiwki zawiezie ją Jurko, ksiądz prawosławny i kapelan wojskowy. Kiedyś była największą wsią w kraju, żyło tu 10 tys. ludzi. W 2022 r. jej nazwa stała się symbolem po tym, gdy pobliskie lotnisko, baza okupantów, stało się cmentarzyskiem rosyjskich czołgów i śmigłowców, regularnie niszczone przez Ukraińców. Niewiele ludzi zostało dziś w tej wsi. Ci nieliczni przyjdą do cerkwi, by z ręk Jurka odebrać po parę paczek makaronu z sosem ziołowym (można go przygotować w parę minut) i konserw. „Przywiozłem, co miałem” – mówi Jurko na nagraniach, które przyśle, by udokumentować, że pomoc już rozdaje. „Wróć – obiecuje. – Czego wam jeszcze trzeba?”

Ktoś, nieśmiało: „Może znalazłoby się trochę drewna lub brykietów?”

Bo Czornobajiwka, gdzie nie ma gazu, by ogrzać dom, marznie. Marznie też Chersoń. W mieście jest sporo drzew, można by je ciąć na opał, ale przecież nie ustawisz „burżujki” w bloku. Prognoza długoterminowa zapowiada lekkie ocieplenie dopiero w połowie lutego.

© P WOJCIECH PIĘCIAK z Odessy i Chersonia

Więcej: tygodnikpowszechny.pl/atak-na-ukraine

Generał na Hrad

NOWYM PREZYDENTEM CZECH będzie były nатовski wojskowy, gen. Petr Pavel. Drugą turę wyborów wygrał przewagą prawie miliona głosów.

Pavla poparło ponad 58 proc. wyborców, a jego rywala, byłego premiera Andreja Babiša, prawie 42 proc. Frekwencja sięgnęła rekordowych 70 proc. Wybory te były w znacznym stopniu wyborem wizji kraju i pozycji Czech na scenie międzynarodowej. Petr Pavel jest zasłużonym emerytowanym wojskowym, do 2018 r. był szefem Komitetu Wojskowego NATO. Jest też politykiem zdecydowanie proatlantyckim i prounijnym, o liberalnych poglądach. Populista i miliarder Babiš oparł swoją kampanię na sugestiiach, że Pavel jako były wojskowy wciąż gnie Czechy w wojnę toczącą się w Ukrainie.

Tym razem jednak strategia wzbudzania strachu w wyborcach nie zadziałała i w Czechach wygrała opcja stabilnego zakotwiczenia tego kraju wśród zachodnich demokracji.

To dobra wiadomość dla nатовskich partnerów oraz dla Kijowa. Czeski rząd od początku rosyjskiej inwazji udziela Ukraińcom znaczącej pomocy, również w postaci ciężkiego sprzętu wojskowego. W tej kwestii może teraz liczyć na współpracę ze strony Pavla, zwolennika twardego stanowiska wobec Rosji i wspierania Ukrainy.

Przemawiając po ogłoszeniu wyników Petr Pavel podziękował wszystkim wyborcom, również tym, którzy na niego nie zagłosowali; podkreślił, iż przez udział w wyborach pokazali, że zależy im na demokracji i przyszłości ich kraju. Zjednoczenie społeczeństwa, jeszcze bardziej podzielonego po agresywnej kampanii Babiša, będzie jednym z najważniejszych zadań nowego prezydenta.

Pavel swoją prezydenturę rozpocznie na początku marca – po dwóch kadencjach znanego z kontrowersji Miloša Zemana oczekuje się, że będzie to nowa era w czeskiej polityce.

© P PATRYCJA BUKALSKA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

DEPENALIZACJA

Prawa, które kryminalizują stosunki homoseksualne, są niesprawiedliwe, a biskupi, którzy te prawa popierają, „muszą przejść proces nawrócenia” – powiedział Franciszek w wywiadzie dla AP. Potem dopowiadał, że stosunki homoseksualne są grzechem „jak każdy akt seksualny poza małżeństwem”.
Zob. więcej: powszech.net/homoseksualizm

BEZSENNOŚĆ

To ona była powodem abdykacji Benedykta XVI. Papież zaczął cierpieć na bezsenność od Świątowych Dni Młodzieży w Kolonii w sierpniu 2005 r., a „silne leki” wkrótce „przestały być skuteczne” – ujawnił biograf Peter Seewald, powołując się na list od papieża.

PASTORKA

W Izraelu ordynowano pierwszą pastorkę luterzańską. Palestynka Sally Azar, absolwentka teologii międzykulturowej w Getyndze, będzie odpowiedzialna za współpracę zboru arabskojęzycznego z anglojęzycznym oraz za pracę z młodzieżą.

MĘCZENNICZY

W Chimboe w Peru poświęcono pierwszy na świecie kościół pod wezwaniem błogostawionych męczenników Zbigniewa Strzałkowskiego i Michała Tomasza.
W 1991 r. polscy franciszkanie na niedalekiej misji w Pariacoto w Andach zostali zamordowani przez bojówki Świetlistego Szlaku.



**DZIENNIKARZE
I AUTORZY
„TYGODNIKA”**

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM

Od reform w Kościele
nie ma odwrotu

W NIEMCZACH wąż się losy Kościoła katolickiego – tutaj tak dogłębnie, jak nigdzie indziej, zdano sobie sprawę, że skleralizowana hierarchiczna struktura Kościoła odpowiada za systemowe nadużywanie władzy i wykorzystywanie seksualne nieletnich. Biskupi zdecydowali się szukać rozwiązań razem ze świeckimi – tym jest niemiecka Droga Synodalna.

Postuluje ona m.in. rychłe powołanie Rady Synodalnej jako organu „konsultacyjnego i decyzyjnego”, w skład którego wejdą świeccy. Dla kilku niemieckich biskupów postulat ten poszedł za daleko, zwrócili się więc do Watykanu z pytaniem, czy muszą uczestniczyć w powołaniu takiego ciała. W zaawansowanej przez papieża odpowiedzi watykańscy urzędnicy stwierdzili, że Droga Synodalna nie ma kompetencji do powoływania organu nadrzędnego wobec biskupów. Również Franciszek w rozmowie z AP wypowiedział się krytycznie o Drodze.

Przewodniczący niemieckiego episkopatu bp Georg Bätzing zapowiedział jednak, że nie ma odwrotu od reform, a rada zostanie ustanowiona w taki sposób, by była zgodna z prawem kanonicznym. © P. ASK

Katolicy są gdzie indziej

„BYŁ W KOŚCIELE. Na swoich chrzcinach” – mówi ludowe porzekadło, potwierdzając, że o religijności świadczą praktyki, nie metryki. Także w badaniach naukowych za kryterium żywotności katolicyzmu przyjmuje się uczestnictwo w niedzielnej mszy. Jeśli wierność Ewangelii jest solą chrześcijaństwa, to procent dominantes pokazuje „zawartość cukru w cukrze”.

Z danych opublikowanych przez World Values Survey wynika, że w Polsce praktykuje 52 proc. katolików, co daje nam 6. miejsce wśród 36 badanych państw (dane polskiego Kościoła mówią o 28,3 proc., najwyraźniej prowadzone były w innej metodologii). Na czele są: Nigeria (94 proc.), Kenia (73 proc.), Liban (69 proc.), Filipiny (56 proc.) i Kolumbia (54 proc.). Jeszcze ciekawiej wyglądają liczby bezwzględne: w Nigerii co niedzielę na mszę chodzi 30,4 mln katolików, w Meksyku 45,6 mln, a na samych Filipinach 47 mln, czyli więcej niż w całej Europie – z Polską włącznie. © P. CRUX, EA

Ostatnia przeprowadzka nuncjusza Pennacchio



EDWARD AUGUSTYN

DYPLOMATA TO CZŁOWIEK, KTÓRY DWA RAZY się zastanowi, zanim nic nie powie” – ironizował Churchill. Nie zawsze to prawda, ale abp Salvatore Pennacchio, papieski nuncjusz, który po 6 latach opuszcza Polskę, tak właśnie zostanie zapamiętany. Swoje wypowiedzi ograniczał do homilii i oficjalnych przemówień. Nie udzielał wywiadów, nie odpowiadał na pytania, nie wyjaśniał ogłaszanych decyzji. Z problemami konfrontował się niechętnie – katolików z Gdańska, którzy chcieli przekazać skargę na abp. Głódzia, przyjął dopiero, gdy zagrozili pikietą pod nuncjaturą.

Może liczył, że w Polsce doczeka spokojnie emerytury, święcąc biskupów, kościoły i pomniki. Ale po wejściu w życie przepisów pozwalających sądzić hierarchów za przestępstwa seksualne lub ich ukrywanie pracy nagle przybyło: do nuncjatury wpłynęło 18 zawiadomień, które skończyły się postępowaniem kanonicznym. Nie było to zasługą nuncjusza, niemniej to on musiał, chcąc nie chcąc, pośredniczyć w rozwiązywaniu problemów. O przebiegu spraw nie informował nawet ofiar, z organami państwa nie zamierzał współpracować – sądowi w Kaliszu odmówił dostępu do akt, arogancko pouczając,

że z nuncjuszem należy kontaktować się przez ministerstwo, a nie pocztą. Decyzje Watykanu przekazywał tak, by nikt się nie domyślił, za co biskupi są karani.

Ale poza tym to człowiek uprzejmy i miły. Wążący słowa i unikający jednoznacznych ocen. Komunikację z Polakami utrudniała mu z pewnością nieznajomość języka – jego dwaj poprzednicy mogli samodzielnie czerpać informacje z różnych źródeł, on skazany był na współpracowników i przyjaciół (do których zaliczał się np. abp Głódź). Może i to było przyczyną kilku zaskakujących, bo całkiem „niefranciszkowych” nominacji biskupich (kandydatów przedstawia nuncjusz). Choć zwykle starał się dokładnie realizować politykę Watykanu i odgadywać intencje papieża. W październiku 2022 r. zaprosił na przyjęcie do nuncjatury rosyjskiego ambasadora.

„Nuncjusz ma mieć zawsze walizkę w ręku” – mówił papież. Abp Salvatore Pennacchio, jeden z najbardziej doświadczonych ambasadorów Stolicy Apostolskiej, pakuje swój bagaż po raz piąty i ostatni: teraz będzie rektorem Papieskiej Akademii Kościelnej, szkolącej adeptów watykańskiej dyplomacji, która coraz bardziej pograża się w personalnym i tożsamościowym kryzysie. © P.

KULTURA W SKRÓCIE

TEMATY

W Płockiej Galerii Sztuki odbył się wernisaż wystawy „Edward Dwurnik. BEZ TABU” – zaprezentowano ponad 200 prac pochodzących z prywatnej kolekcji. Są to zarówno pojedyncze rysunki wykonane przez artystę ołówkiem, tuszem czy kredką, jak i takie, które reprezentują jego słynne cykle: „Droge”, „Robotników”, „Mur”, „Miasta”, „Reportaż”. Wystawę można odwiedzić do 5 marca.

MIEJSCA

„Wyspia”, instalacja artystyczna Kingi Nowak inspirowana twórczością Stanisława Wyspiańskiego, od kilku dni dostępna jest dla zwiedzających Wawel. Praca w symboliczny sposób spełnia jedno z marzeń artysty – pozostawienie swojego śladu w tym miejscu. „„Wyspia” to Wyspiański – otwarty, bezgraniczny, nieskończony. Ale też fragment, odrębne miejsce, które pozwala na zobaczenie świata w intensywnych kolorach” – wyjaśnia artystka.

UCZUCIA

Film dokumentalny Marka Kozakiewicza „Silent Love” otrzymał Specjalne Wyróżnienie Jury podczas festiwalu Slamdance. Ta subtelna opowieść o przyjmowaniu w życiu niespodziewanych ról i redefiniowaniu pojęcia rodziny otrzymała już na niemieckim DOK Leipzig nagrodę dla Najlepszego Filmu z Europy Wschodniej. Więcej w tekście Anity Piotrowskiej: powszech.net/silent-love



DZIENNIKARZE

I AUTORZY „TYGODNIKA”

co tydzień goszczą w programie „Światopogląd” Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań www.tokfm.pl



MATERIAŁY PRASOWE AP SZCZEPANIAK / ELASTOLITH POLSKA

NOWA MANUFAKTURA WE WROCŁAWIU została uznana najpiękniejszym budynkiem mieszkalnym w Polsce. Wyboru dokonało jury European Property Awards 2022-2023 – osiemdziesięciu niezależnych ekspertów ocenia corocznie technologiczną innowacyjność budowli oraz ich oryginalność i zaangażowanie w zrównoważony rozwój. Konkurs jest częścią międzynarodowego projektu International Property Awards, który od 28 lat wyróżnia najlepsze projekty architektoniczne z całego świata. Składający się z trzech brył budynek Nowej Manufaktury zaprojektowała pracownia AP Szczepaniak. Stał u zbiegu ulic Kościuszki i Pułaskiego, w miejscu dawnego zakładu produkującego samochody, by zapętnić lukę w zabudowie śródmiejskiej. Znajdzie się w nim ponad 300 mieszkań i lokale usługowe. © P PM

Która godzina na Księżycu?

WBREW POZOROM to pytanie nie jest ani łatwe, ani czysto akademickie. Tylko w 2022 r. Srebrny Glob był celem kilkunastu sond, a misji planowanych na najbliższe lata jest już kilkadziesiąt – w tym załogowe amerykańskiego programu Artemis. Z tego powodu, jak donosi „Nature”, uczeni usiłują pilnie wypracować standard mierzenia czasu dla naszego naturalnego satelity, tak aby znajdujące się wokół niego i na nim urządzenia oraz ludzie byli zsynchronizowani.

Do tej pory misje księżycowe posługiwały się czasem ziemskim, ale to rozwiązanie nie sprawdzi się dla całej floty orbiterów, lądowników i łazików, których wzajemne lokalizowanie się będzie wymagało synchronizacji z dokładnością do nanosekund. Dodatkową komplikacją jest to, że zgodnie z ogólną teorią względności zegarki na Księżycu odrobinę się spieszą względem ziemskich (o ok. 56 mikrosekund na ziemską dobę). Najpewniej trzeba więc będzie ustanowić niezależny „czas księżycowy”, odmierzany umieszczonymi na jego powierzchni zegarami atomowymi. „Czas nagli – mówi Patrizia Tavella z Międzynarodowego Biura Miar i Wag w Sèvres. – Jeśli nie zaproponujemy oficjalnego czasu księżycowego, agencje kosmiczne i prywatne firmy stworzą własne rozwiązania”. Pytanie o godzinę na Księżycu wtedy dopiero stanie się trudne.

© TOMASZ MILLER

Robot w płynie

W SŁYNNYM „TERMINATORZE 2” robot-złoczyńca przenika przez kratę, zmieniając się w ciekły metal. 30 lat temu do takiej sztuki potrzeba było magii Hollywood. Teraz naprawdę dokonał tego robocik z Carnegie Mellon University.

Ten topiący się robot ma ratować ludzkie życie, np. usuwając ciała obce z żołądka czy jelit. Jest zrobiony z galu – metalu, który topnieje już w temperaturze 30 stopni. I „doprawiony” magnetycznymi cząsteczkami, które pozwalają sterować urządzeniem i kontrolować jego temperaturę.

Robot skacze, wspina się, lutuje obwoły scalone i przenika przez przeszkody. W stanie stałym może utrzymać obiekt 30 razy cięższy od siebie. Naukowcy inspirowali się strzykwą – ogórkowatym morskim bezkręgowcem, którego ciało w razie potrzeby zmienia się w galaretkę. Zanim jednak robot zacznie gmerać w ludzkich żołądkach, trzeba dopracować jego recepturę. Domieszki innych metali mają podnieść temperaturę topnienia galu na tyle, by nie zmienił się w bezużyteczną kałużę pod wpływem ciepła ludzkiego ciała.

© MICHAŁ GIKOWSKI



CAŁA POLSKA POD TATRAMI

Jeszcze nigdy w nasze najwyższe góry nie chodziło tak dużo ludzi jak teraz. W Tatrach coraz trudniej znaleźć spokój, w Zakopanem – piękno. Ale wciąż się da.

MARCIN ŻYŁA



Zakopane, Kościelisko i Tatry, 22 stycznia 2023 r.

NAJPIERW SŁYSZĘ, ŻE:

– Pierwsze jest rozróżnienie: tu góra, tam dolina. Ktoś może wymieni, że między nimi jest zbocze. Żeby dostrzec wnętrze krajobrazu, trzeba już wrażliwości lub wykształcenia. Aby zauważyć detal przyrodniczy, dodatkowo spostrzegawczości i wiedzy, że kosmos gór składa się z mikrokosmosów.

Potem pojawia się przykład:

– Gdy przystanę przy drzewie i spojrzę na szczyt korzeniową, zobaczę na niej wiele barw, form, gatunków mchów i porostów. Nieważne, czy jest to pustułka pęcherzykowata czy mąklik otrębiasty. Nazwy są konwencją. Ważne, by widzieć różnice.

Jeszcze potem – impuls odkrywania więcej:

– Może to jednak będzie mąklik otrębiasty, jeden z najbardziej pospolitych mchów rosnących na świerku. Wie pan, skąd nazwa? Kiedyś odkryto, że ususzony mech dodany do mąki powoduje, że mąka nie pleśnieje. Odkryto wartość leczniczą mchów. Podczas głodu, gdy mąki brakowało, tu w górach dodawano do niej także porosty.

– Monumentalne Tatry – kwituje mój rozmówca, przyrodnik – to także detal i szczegół. To historia zapisana czcionką różnej wielkości.

I jeszcze motyle

Detale najwyższych gór Polski oraz ich północnego sąsiedztwa trudno zauważyć, jeśli poprzestanie się na narzekaniach.

Brzmiały one mniej więcej tak: Tatry, Zakopane i przyległa do nich część Podhala to jedyne w kraju miejsca, do których równe prawa roszczą sobie trzy grupy ludzi. Wszyscy – mieszkający tu od pokoleń górale, urodzeni na miejscu, lecz pochodzący z niegóralskich rodzin „zakopiańscy”, oraz turyści – uznają je za własne.

Przez półtora wieku od przyjazdu dr. Tytusa Chałubińskiego, pierwszego popularyzatora Zakopanego, z polnej ścieżki łączącej małą wieś i kuźniczką →

→ hutę Krupówki przeobraziły się w deptak, po którym w niektóre dni roku spaceruje dziesięciokrotnie więcej ludzi, niż na stałe żyje w mieście. Dla wielu – przedmiot kpin, symbol prząsności i aberracji rozwoju górskiego kurortu.

Faktycznie, rzeczywistość dostarcza treści – od obśmianego w memach szaletu za 10 zł po otworzoną niedawno motylarnię, która przy Krupówkach dołączyła do królikarni, papugarni i repartarium (oraz minizoo i parku dinozaurów pod pobliską Wielką Krokwią), dających razem przegląd fauny ostatnich kilku milionów lat, choć niekoniecznie tatrzańskiej. „Rozdęta otoczka nawiedzonych mitologii, cyganeryjnych dykteryjek i urokliwej folkloryzacji. Przerośnięty pępek świata i soczewka, która odbija – nierzadko egzotyczną – polskość” – pisze o Zakopanem Anna Batko w wydanym właśnie przewodniku po sztuce miasta „Inwentaryzacja nowoczesności”. Namawia jednak do uważnych spacerów po mieście, które poszukującym ma wiele do zaoferowania.

Jak więc dziś dostrzec w Zakopanem i Podhalu piękno? Czy po rekordowym popandemicznym roku 2021, kiedy Tatrzański Park Narodowy sprzedał 4,6 mln biletów, da się w tych górach znaleźć ciszę i spokój? Co mówi o nas nowa moda na Tatry?

Unieważnienie codzienności

Paweł Skawiński, były dyrektor TPN, tatrzański przyrodnik, przewodnik i ratownik, zaczyna rozmowę od życzenia:

– Chciałbym, żeby Tatry nadal działały na nas jako wybrzyk krajobrazu. Coś niespodziewanego, co wystrzeliwuje z płaskości nowotarskiej kotliny. Coś, czym zachwylił się Stanisław Staszic, kiedy w 1801 r. zjeżdżał furką z rejonu Przełęczy Sieniawskiej i zobaczył białe Tatry oraz już zielone, wiosenne Podhale. „Niespotykane ogromniejsze” – napisał o nich w dziele „O ziemiorodztwie Karpatów i innych gór i równin Polski”. Chciałbym, żeby wciąż dawały nam ten pierwszy zachwyt Staszica.

Zachwyt, dodaje Skawiński, który można powtarzać.

– Gdy wchodzę do parku narodowego, przystaję – opowiada. – Czuję, że unieważniam codzienność. Wchodzę w przestrzeń, w której odrzucamy kłopoty i zwalniamy tempo. Czasem pytam klientów, czemu się tak spieszą. Mówią,

PAWEŁ SKAWIŃSKI,

BYŁY DYREKTOR TPN:

Gdy wchodzę
do parku narodowego,
przystaję. Czuję, że
unieważniam codzienność.
Wchodzę w przestrzeń,
w której odrzucamy kłopoty
i zwalniamy tempo.

że nie umięją inaczej. Patrzą na zegarek, ile zrobili kroków. A wejście w Tatry to nie wejście na bieżnię. Nie chodzi w nim o kalorie.

Miejsce spotkań

Przez Przełęcz Sieniawską, spod której Tatry zobaczył Staszic, przejeżdżają dziś pociągi z turystami. Przy granicach TPN poszerza się parkingi. Jedno pozostaje niezmiennie od lat: nad dolną częścią Krupówek góruje wciąż charakterystyczna bryła głównej siedziby Muzeum Tatrzańskiego. Dla dziesiątków tysięcy ludzi rocznie to wciąż miejsce pierwszego kontaktu z Podhalem, Zakopanem i górami.

Pod koniec stycznia w jego odnowionych wnętrzach otwarto nową wystawę stałą – piątą w historii muzeum. Bo opowieść o Tatrach zmienia się wraz z czasem i ludźmi.

Anna Kozak, kustoszka i kierowniczka działu etnograficznego, pokazuje dwa eksponaty: laskę turystyczną Chałubińskiego oraz złóbcoki – strojony jak skrzypce, wydający ciche, lecz ostre dźwięki instrument Sabały, przewodnika i gawędziarza, który towarzyszył lekarzowi z Warszawy podczas pierwszych wypraw w Tatry.

– Niektórzy mówili, że złóbcoki brzmiały tak przeraźliwie, że nie sposób było ich słuchać. A jednak zachwyli się – mówi Kozak. – W Zakopanem, w XIX wieku spotkali się ze sobą górale i przybyły z miast. Tamto spotkanie zawazyło na tym, jak postrzegamy to miejsce. W wyniku wzajemnej fascynacji powstały i weszły na stałe do kanonu pol-

skiej kultury styl zakopiański czy inspiracje podhalańskim folklorem w muzyce klasycznej. Były to jednak także spotkania różnych obyczajów. Podobnie jak te dzisiejsze, również nie zawsze przynosiły zachwycające efekty.

Kustoszka prowadzi przez kolejne sale muzeum. Opowiada, jak przyjezdni i miejscowi wpływali nawzajem na siebie – jak w zakopiańskich domach zaczęto powiększać okna dla turystów, jak góralski strój z czasem wzorował się na modzie z miast. O starych konfliktach między gminą a stacją klimatyczną, wprowadzającą kiedyś kolejne ograniczenia.

Te spotkania – które stały się mottem nowej wystawy stałej Muzeum Tatrzańskiego – wciąż trwają. Zwłaszcza gdy z powrotem wychodzimy na gwarne Krupówki.

Tatry to dziewczyny

– Kramy wzdłuż Krupówek były, są i będą. Ale od pandemii widać w Tatrach zmiany. Ludzie są spragnieni przyrody, przebywania na powietrzu – mówi Agnieszka Szymaszek, redaktorka naczelna kwartalnika „Tatry”.

Magazyn, wydawany przez TPN, odświeżył niedawno makietę. Publikuje teksty o przyrodzie, taternictwie, historii i sztuce związanej z górami, sięga po autorów z drugiej, słowackiej strony Tatr. Od różni się od magazynów sportowych, ale i pism etnograficznych – pokazuje Tatry wraz ich kontekstami.

Szymaszek mówi, że choć w zatłoczonym i zabudowanym Zakopanem nieco trudniej dziś poznawać góralską kulturę, dwie miejscowe legendy sprawiają wciąż, że już po pierwszej wizycie w Tatrach można połączyć ich bakcyla.

– Każdy coś słyszał o Tatrzańskim Ochotniczym Pogotowiu Ratunkowym, wielu widziało nad górami jego śmigłowiec. Hasło „TOPR”, temat wypadków i ratowników zaciekawiają wszystkich. Z kolei gdy idzie się np. przez Kozią Przełęcz i na Zamarłej Turni widzi się taterników, również uruchamia się wyobraźnia – tłumaczy Szymaszek. – Po powrocie do domu sięgamy po książki, chcemy poznać Tatry głębiej.

Na to nakładają się dwa inne zjawiska: olbrzymia popularność Tatr w internecie oraz sportowe sieci handlowe oferujące od kilku lat atrakcyjne cenowo odzież i sprzęt. Ta pierwsza ma różne oblicza – od hasztatów #wgórachjestwszystko-

cokocham i zdjęć wschodzącego słońca na Instagramie po portale i grupy, na których można umówić się na wycieczkę z innym „tatromaniakiem”.

– Nie poszłabym z przypadkowo poznaną osobą na skitury – mówi Agnieszka Szymaszek. – Ale kiedy niedawno po dłuższym czasie wróciłam na Orlą Perć, odpoczywając na Zadnim Granacie zauważyłam zmianę: jakieś 90 procent ludzi miało kaski, uprząże i lonże na *via ferrata*. Wielu turystów korzysta z organizowanych w Tatrach kursów zimowej turystyki i kursów lawinowych.

Po pandemii przybyło ludzi zainteresowanych górami. Na Drodze pod Reglami w weekendy dominują rodziny z dziećmi, w górskich butach, z kijkami czy wózkami na amortyzatorach. Nie wyglądają na przypadkowych turystów.

Po kilku latach prowadzenia po górach wycieczek zorganizowanych Agnieszka Szymaszek, także tatrzańska przewodniczka, zaczęła organizować ze znajomą obozy trekkingowe dla kobiet.

– Mamy małe grupy, same wybieramy trasy, śpimy w schroniskach – opowiada. – Latem uprawiamy trekking, zimą zakładamy skitury. Obozy zaczynają się w czwartek wieczorem, kończą w niedzielę. Zgłaszają się dziewczyny z całej Polski, często z Gdańska czy Szczecina, w wieku od 26 do 60 lat. Typ kobiet sprawczych, niezależnych, które chcą spróbować nowego. Niektóre są pierwszy raz w górach. Dużo rozmawiamy. Kiedyś kobiety spotykały się po domach i szydełkowały. A my chodzimy po Tatrach.

O czym szumią świerki

Po pandemii opowieść o Tatrach przestała też dotyczyć wyłącznie Tatr – jest coraz bardziej o nas samych. Przybyło traktujących góry wyczynowo. Trwa tu już wyścig himalajski – liczy się wszystko, co można ująć w kategorię „rekord”, porównywać z wynikami innych.

Agnieszka Szymaszek: – Wpływ internetu jest olbrzymi. Ktoś wrzuca do sieci zjazd na nartach w pięknej scenarii, inni chcą go naśladować, być w trendzie, jakby chcieli pokazać, że też potrafią robić „fajne” rzeczy w niebezpiecznej scenarii. Kiedy poprzedniej zimy w internecie pojawił się film ze zjazdu z Żółtej Przełęczy do Pańszczycy, Park musiał zamknąć całą dolinę. Zdjęcie spowodowało, że kolejnego dnia pojawili się w niej narciarze. Choć to zakazane.

AGNIESZKA SZYMASZEK,

NACZELNA KWARTALNIKA „TATRY”:

Kramy wzdłuż
Krupówek były, są i będą.
Ale od pandemii widać
w Tatrach zmiany.
Ludzie są spragnieni
przyrody, przebywania
na powietrzu.

Dla niektórych biegaczy Tatry zamieniły się w sumę przewyższeń, wskazywaną na sportowych zegarkach. Popularne powiedzenie – „każdemu jego Everest” – dotyczące kiedyś indywidualnej granicy ryzyka, dziś coraz częściej służyć w kontekście: każdy ma prawo do Tatr i własnego sposobu ich traktowania.

Paweł Skawiński zastrzega: moda na fitness i zdrowy styl życia przyniosła w góry dużo dobrego, np. na szlakach z roku na rok przybywa seniorów. Namawia jednak do innego niż „techniczne” traktowania gór. Zamiast nazywać szczyty z Gubałówki, uczmy się opowiadać o różnicowaniu krajobrazu, piętrach roślinności, wypiętrzeniu chmur czy rzeźbie dolin. Postrzegać przestrzeń w różnych skalach.

Można też porzucić nawigację w smartwatchach na rzecz papierowej mapy. Prosta sprawa: czytając ją, wokół zauważamy więcej. Poznajemy nazwy, uczymy się kolejnych warstw historii.

– Skąd np. nazwa „Skoruśniak”? – pyta Skawiński. I wyjaśnia: – Pojawiła się, gdy na powale, czyli w miejscu, w którym wiatr powalił las, wyrosła jarzębina. Górale nazywali ją „skorusa”. Rozwój drzewostanu w Tatrach ma cechy katastroficzne. Od chwili, gdy dwieście-trzysta lat temu jakiś pasterz nazwał to miejsce „Skoruśniakiem”, znów wyrósł tu świerk, znów powalił go las, znów wyrosła jarzębina. Gdyby miejsce nazwano w innym czasie, być może mówilibyśmy na nie: „Smreczyny”. Tatrzańskie toponimy pozwalają bawić się historią.

Tyle w pionie

Gdy wchodzi do lasu z grupą klientów, Paweł Skawiński zaczyna mówić cicho.

– To zawieszam wzrok na podłożu, to patrzę na korony drzew – opowiada. – Ludzie odczytują mowę ciała, wiedzą, że chcę powiedzieć: „Teraz poznajemy las. Słuchamy go, może usłyszymy dziecięcia?”. Kiedy wchodzimy na polanę, przystajemy. Patrzymy, czy nie pasie się na niej jeleni. Przejścia między takimi przestrzeniami wymagają uważności.

Właśnie taki tatrzański wieloświat jest dla niejednego turysty wartością unikalną. Nasze Tatry, choć ponad cztery razy mniejsze od polskiej części Bieszczadów, są jedynymi w kraju górami o charakterze alpejskim. Na nizinach tysiące kilometrów może nas dzielić od tundry, miejsca, gdzie chłodny klimat ogranicza rozwój roślinności. W Tatrach podróż do podobnego świata zajmuje chwilę.

Góry są więc opowieścią o zakrzywieniu przestrzeni i czasu. Teatrem, w którym kurtyną potrafi być chmura, na jeden tylko moment w ciągu dnia odsłaniająca granitowy dach Kościelca, gdy schodzimy na Karb. Warunek, żeby to zobaczyć, jest jeden: trzeba przystanąć.

– Gdy jesteśmy na grani – kontynuuje Skawiński – od czasu do czasu wychodzę na wychodnię skalną, z której widać nową, wyłaniającą się dolinę. W ten sposób uczę ludzi doświadczania grani, czyli pewnej granicy. Idąc z wycieczką szkoleniową do Doliny za Mnichem, co jakiś czas się zatrzymuję. Pokazuję, skąd i dokąd wędrujemy. Schronisko nad Morskim Okiem staje się coraz mniejsze, przypomina piękną zabawkę. Szczyty i przełęcze przybliżają się, mamy poczucie doniosłości. Wyniosło nas, wpisujemy się w przestrzeń.

Zastanawiamy się: może właśnie odnalezienie się w przestrzeni jest kluczem do poznawania Tatr? Stara kultura zakładania śladu na nartach nakazuje wędrowkę z boczem bez niepotrzebnych zwrotów, załamania – nawet nasz ślad w śniegu stanie się bowiem za chwilę elementem krajobrazu. Niech będzie harmonijny – jak na tatrzańskich pastelach Rafała Malczewskiego.

Żeby się zmieścili

Tej przestrzeni nie ma wciąż w Zakopanem, gdzie już w latach 80. XX w. mówiono, że wkrótce powinien nastąpić ↗

→ kres nowej zabudowy. Dekadę później, gdy wprowadzono zasadę miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego, zaczął się okres nieefektywnej polityki przestrzennej. Samowoli inwestycyjnej, której symbolem stała się anegdotalna wypowiedź jednego z tatrzańskich starostów: „U nas na Podhalu prawo budowlane się nie przyjęło”.

Dlaczego więc brzydsze niż kiedyś Zakopane coraz bardziej, oceniając po statystykach odwiedzin, podoba się turystom? Pierwsza z odpowiedzi brzmi: na miejsce tych, którzy wyjadą stąd zniesmaczeni, wciąż znajdują się inni. Druga: że paradoks – a może przekleństwo tego miasta – polega na tym, że zawsze będzie tym jedynym.

Agnieszka Szymaszek: – Myślę, że dla wielu ludzi spacerujących po Krupówkach i niekoniecznie zainteresowanych Tatrami ważna jest sama sceneria. Gdy ktoś przyjedzie tu zimą z dalszych stron Polski, gdzie najczęściej nie ma śniegu, czuje się wyjątkowo. Po opadzie śniegu, wieczorem, kiedy wszystko jest oświetlone, a przed zmierzchem widać Giewont, można się poczuć jak w bajce. Czasem więcej nie potrzeba, i chyba nic w tym złego.

Paradoks Zakopanego – równoczesne spotkanie i konflikt różnych grup, wyobrażeń i oczekiwań – trwa. – Jeśli popatrzeć na nowe pokolenie, wielu ludzi nie widzi tutaj dla siebie przyszłości – mówi Anna Kozak. – I często nie wracają. Czasem to kwestia wyboru kariery, ale to, jak dziś wygląda miasto, również ma wpływ na ich wybory.

Na koniec wizyty pod Tatrami słyszę więc życzenia:

Żeby popatrzeć na góry jak na komnaty wawelskie. Żeby nie wdzierać się w nie w największym deszczu (choć pozwala na to sprzęt). Żeby zostawić przyrodzie góry w nocy, dać jej odechnąć. Może nie wszędzie musimy wchodzić na wschody słońca?

Żeby Zakopanemu przydać trochę przestrzeni, a miasto nie płaciło tak dużej ceny za swoją popularność. Żeby więcej starych willi było chronionych i skończyły się pożary drewnianych domów, na których miejscu powstają nowe, wielkie inwestycje.

Żeby pod Tatrami pomieścili się wszyscy. © P MARCIN ŻYŁA



JAN KRZĘPTOWSKI-SABAŁA
jest przewodnikiem tatrzańskim
i edukatorem. Pracuje w Tatrzańskim
Parku Narodowym.

Krokusy oglądaj na klęczkach

JAN KRZEPROWSKI-SABAŁA, PRZEWODNIK:

Cały łańcuch to ledwie tysiąc kilometrów kwadratowych, a polską część dałoby się zmieścić w jednej dużej dolinie w Alpach. Jakoś musimy się tym terenem podzielić.

KRZYSZTOF STORY: Opowiedz o pradziadku, bo to chyba wszystko przez niego.

JAN KRZEPROWSKI-SABAŁA: Trzeba jeszcze dorzucić dwa razy „pra”, dzieli nas pięć pokoleń. Sabała w XIX wieku stał się najbardziej znanym tatrzańskim gawędziarzem. Dla twórców, którzy wtedy odwieździ Tatr, został archetypem górala, a jednocześnie: przyjacielem, przewodnikiem i inspiracją.

Choć sam nie umiał pisać, na zawsze trafił do polskiej literatury. Prowadził w góry Tytusa Chałubińskiego, był chrzestnym Witkacego, jego muzyką interesował się Paderewski, a gawędy Sabały spisywał Sienkiewicz.

Dygresja piśmiennicza: Sabała pochodził z dość bogatej rodziny, jego ojciec był wójtem Kościeliska i oczywiście opłacał synom lekcje pisania. Cóż z tego, skoro chłopcy wcale do nauki się nie garnęli, a w nauczyciela rzucali kamieniami.

Nawet bez tej umiejętności współtworzył tak popularną w epoce Młodej Polski legendę cudownej i dzikiej tatrzańskiej krainy. Legendę, z powodu której w 2021 r. w Tatrach przyjechało 4,5 mln ludzi.

I to tylko do parku narodowego po polskiej stronie. Słowacki TANAP przyjął kolejne 3,5 mln gości.

Co dzisiaj by powiedział pradziadek, widząc telewizyjnego „Sylwestra” w Zakopanem czy wszechobecną samowolkę budowlaną?

Skala pewnie by go przeraziła – za jego czasów turystów liczono

w setkach, nie w milionach. Doceniłby to, że jest więcej niedźwiedzi i, nie ukrywajmy, kilka chciałby od razu ubić, bo Sabała był zawołanym myśliwym. Ale na pewno ucieszyłby się, że jego Tatry zdziczały.

Dzikie Tatry. Używasz tego określenia także w swoich filmach, wystąpieniach, wywiadach. Jak można dzikim nazwać teren tak mocno przedeptany przez ludzi?

Oczywiście nie chodzi o dzikość w znaczeniu pustki, niedostępności. W Tatrach praktycznie nie ma miejsc, które zahaczałyby o słowo „pierwotny” – może dałoby się mocno zmrużyć oko i nazwać tak kawałki lasów urwiskowych, gdzie nigdy nie dotarł żaden, nawet najodważniejszy drwal.

Ale w sensie przyrodniczym dzikość w Tatrach dużo łatwiej znajdziemy dziś niż w czasach Chałubińskiego, Witkacego i Sabały, nawet jeśli książki i wiersze sugerują co innego. Za życia mojego szanownego przodka te góry były raczej sceną ekologicznej katastrofy. Kończyła się właśnie epoka tatrzańskiego hutnictwa i górnictwa [piec huty w zakopiańskich Kuźnicach, tuż przy dzisiejszej stacji kolejki na Kasprowy Wierch, wygaszono w 1875 r. – red.], ale stały jeszcze tartaki, papiernie, więc lasy trzeba było na potęgę – było ich trzy razy mniej niż teraz. Przerazilibyśmy się, patrząc wtedy na Dolinę Rybiego Potoku czy Dolinę Rostoki, gdzie dzisiaj otoczone drzewami stoi jedno z najpiękniejszych tatrzańskich schronisk. Wtedy zobaczylibyśmy zręby po horyzont. Duże dzikie zwierzęta były rzadkością przez utratę siedlisk i kłusownictwo. Już w 1868 r.

Sejm Galicyjski musiał uchwalić prawo o ochronie dzikich kóz i świstaków, bo te zostały prawie wybite do nogi. To był jeden z pierwszych takich przepisów na świecie.

A zamiast niedźwiedzi, świstaków i kozic?

Owce. Tysiące owiec, które pasano nie tylko na polanach, ale też powyżej górnej granicy lasu, a nawet na graniach. Za pozabawione roślinności stoki brała się erozja, schodziły lawiny błotne. Tak było aż do końca II wojny światowej. Niemiecka okupacja jeszcze pogorszyła sprawę, bo Niemcy rekwirowali ludziom krowy, więc kolejni górale przetrzymali się na owce. Pod koniec wojny w polskich Tatrach pasło się około 30 tys. owiec.

Ile to musiało jeść!

Polskie Tatry to mały obszar, dzisiaj park narodowy zajmuje niewiele ponad 200 km kw. Pastwisk zwyczajnie brakowało. Dlatego początkiem dzikości w Tatrach wcale nie było utworzenie parku narodowego w 1954 r., tylko tzw. Wielki Redyk sześć lat wcześniej. Wtedy w ciągu dwóch sezonów kilkanaście tysięcy owiec juhasi wyprowadzili z Tatr i przepędzili na pastwiska w Pieninach, Bieszczadach i Beskidach.

Wiele tatrzańskich szlaków prowadzi dawnymi ścieżkami pasterzy, drwali, górników. Zgoda, dzisiaj chodzą po nich miliony ludzi, ale większość turystów koncentruje się w czterech punktach: droga do Morskiego Oka, Kasprowy Wierch, Dolina Kościeliska i Chochołowska. Poza szlakami od 70 lat przyroda ma dużo więcej spokoju. Jeśli mogliśmy pokochać Tatry z czasów Sabały, tym bardziej możemy pokochać te dzisiejsze.

Miłośni do Tatr akurat w Polsce nigdy nie brakuje. Skąd się wzięła u Ciebie?

Po pierwsze z genów: mój ojciec jest cieślą, ale zabierał mnie na wycieczki górskie, nie byliśmy takimi góralami, co to na Giewont tylko patrzą. Po drugie: od ludzi, których spotkałem. Urodziłem się i do dzisiaj mieszkam w Kościelisku. W szkole pan Bogdan, mój nauczyciel historii, wyciągnął mnie na konkurs wiedzy o rodzinnej wsi. Wygrałem wtedy słynny przewodnik po Tatrach Józefa Nyki i nauczyłem się go prawie na pamięć.



→ Nie byłeś jednym z tych Sabatów, którzy rzucają w nauczycieli kamieniami.

Ale nie byłem też chłopakiem, który od dziecka fascynował się przyrodą i zaglądał pod każdy kamień. W końcu poszedłem na studia leśne i kurs przewodnika tatrzańskiego. Poczułem, że jestem na właściwym miejscu.

Nie jesteś typowym przewodnikiem.

Raczej nie spotkasz mnie na drodze do Morskiego Oka.

Dużo większą szansę miałbym w Tatrach Zachodnich. Koncentrujesz się na przyrodzie, pokazujesz ludziom właśnie tę dziką stronę Tatr.

Długo szukałem swojej drogi w górach. Zrobiłem kurs taternictwa jaskiniowego, chodziłem po dziurach. W końcu wygrała fascynacja przyrodą. Jako jeden z niewielu się w tym specjalizuję. To jest dla Tatr ogromna strata, bo na całym świecie turystyka przyrodnicza świetnie się rozwija, a u nas dopiero kielkuje. W amerykańskim Yellowstone jest mnóstwo wycieczek na podglądanie zwierząt, ptaków, naukę o przyrodzie. To samo widziałem we Włoszech w parku narodowym Abruzzi, Lacjum i Molise, który jest bardzo podobny do naszego.

Nie trzeba wyjeżdżać za granicę, wystarczy do Białowieży.

Właśnie! Góry nadal traktujemy głównie jako miejsce wędrówek i arenę sportowych wyczynów, ewentualnie tło dla posiadów w klimatycznym schronisku. Tymczasem w Tatrach rośnie 200 gatunków roślin, których nie znajdziemy nigdzie indziej w Polsce. Inne, jak warzucha tatrzańska, którą możemy spotkać idąc na Rysy czy przełęcz pod Chłopcami, nie rosną nigdzie w świecie. Fakt, często tego nie dostrzegamy. Z drugiej strony: gdy opowiadam o tym w mediach społecznościowych, okazuje się, że tatrzańska przyroda interesuje tysiące ludzi.

Pamiętam, jak wygląda warzucha. Mam podczas trudnej wyprawy albo w środku drogi wspinaczkowej rozglądać się i szukać białych, niepozornych kwiatków?

Nie. Ale jeśli przyjedziesz kiedyś w Tatry tylko po to, by szukać takich małych skarbów – gwarantuję ci, że się nie zawiedziesz. Chodzi o zmianę perspektywy. Na



TOMASZ MARCINIAK

Jak wędrować inaczej

- Weź mapę Tatr i wykreśl wszystkie miejsca, gdzie są wyciągi i schroniska.
- Na pozostałym obszarze wybierz krótką trasę.
- Weź lornetkę albo aparat i wyjdź wcześniej rano, najpóźniej o siódmej, najlepiej w środku tygodnia.
- Postaraj się przejść ją w czasie dwa razy dłuższym niż oficjalna czasówka.
- Przysiadaj tu i ówdzie, patrz pod nogi, obserwuj to, co blisko. Obserwuj i nie bój się schylić. Krokusy najlepiej ogląda się na klęczkach.

wszystkie góry w Polsce, którym udało się wyściubić choć kawałek szczytu ponad granicę lasu, przywykliśmy patrzeć w skali makro. Chcemy wejść na górę i zobaczyć widok przez duże W. Spektakularny, panoramiczny, dobrze wyglądający na Instagramie.

Po prostu piękny.

Pięknie jest też usiąść z lornetką pod Raptawicką Turnią w Dolinie Kościeliskiej, obserwować ptaki i liczyć, że uda się wypatrzyć pomurnika – stworzenie o czerwonych skrzydłach tak drobne, że czasem przypomina motyla, a w Polsce gnieździ się najwyżej kilkanaście par tego gatunku.

Wyobrażasz sobie te tysiące turystów z lornetkami?

To nigdy nie będzie masowe, i bardzo dobrze. Turystyka przyrodnicza ma dużo wspólnego z modnym dzisiaj słowem *mindfulness*, z uważnością. Wymaga czasu i cierpliwości, ale oferuje niesamowitą satysfakcję, że wypatrzyliśmy skarb, który tysiące ludzi przed nami obojętnie minęło. Takie skarby czasami czekają metr od szlaku, wystarczy się schylić.

Do szukania skarbów jeszcze wrócimy, pomówmy o tysiącach ludzi. Przez ostatnią dekadę polskie Tatry odwiedziło 36 mln ludzi. Miało miejsce 7469 wypadków, zginęły 154 osoby.

A większość z nich to turyści dobrze wyposażeni i przygotowani, którzy ocenili swoje możliwości albo nie docenili warunków w górach. Przy takiej skali turystyki, w Tatrach jest naprawdę mało wypadków. Media uwielbiają takie obrazki jak ludzie wzywający TOPR nad Morskie Oko, bo zrobiło się ciemno, ale z naszej perspektywy to jest nieistotny promil. I dobrze, że tacy ludzie trafiają nad Morskie Oko, a nie na Świnicę czy Zawrat.

Tatry są wyjątkowe pod względem dostępności. Nie ma żadnego przedgórza, bariery oddzielającej Krupówki od gór o alpejskim charakterze. W wielu miejscach ulica ze sklepami i restauracjami po prostu zmienia się w szlak. To wielkie góry otwarte dla nas, małych ludzi. Ma to swoje dobre i złe strony.

A czy tatrzański turysta ewoluuje? Jest lepiej przygotowany niż 10 lat temu? Obserwując tę zimę w Tatrach, mam takie wrażenie. Większość ma detektory lawinowe, do wspinaczki na zamrożone lodospady ustawiają się kolejki, a w Dolinie Goryczkowej więcej ludzi momentami podchodzi na skiturach, niż wjeżdża wyciągiem. Nauczyliśmy się alpinizmu?

Uczymy się. Parę lat temu głównie kupowaliśmy sprzęt i górskie ciuchy. Dziś inwestujemy w umiejętności. Szkoły górskie mają mnóstwo chętnych na kursy lawinowe, wysokogórskie, wspinaczkowe. Tylko pamiętaj, że ta zmiana dotyczy małej grupy turystów, która po prostu zimą jest dużo bardziej widoczna. Zwłaszcza na Słowacji, gdzie zimą zamyka się wszystkie szlaki powyżej schronisk i szczyty są dostępne tylko dla wspi-

naczy oraz narciarzy z klubów wysoko-górskich.

Natura cierpi na tej dostępności?

Pytam pracownika parku narodowego.

I tu nie można postawić kropki, inaczej każdy park musielibyśmy zmienić w ścisły rezerwat. A koncepcja parku narodowego, stworzona w amerykańskim Yellowstone, od początku zakładała, że człowiek ma prawo do spotkania z tą bezcenną przyrodą.

W Tatrach problemem są hektolitry ludzkich fekaliiów, dlatego ciągniemy kanalizację do kolejnych schronisk. Problemem jest dokarmianie zwierząt; tutaj rozwiązaniem jest edukacja. Nowym wyzwaniem są tłumy skiturowców jeżdżących w miejscach, gdzie zwierzęta powinny mieć spokój. Szczyt sezonu skiturowego przypada na toki cietrzewi. Dla nas jeszcze jest zima, bo przecież na polanach leży fantastyczny do jazdy śnieg, ale naturę bardziej obchodzi kryterium długości dnia. Nie żeby cietrzewie lubiły seks w śniegu, po prostu muszą zdążyć z wychowaniem młodych przed następną zimą. Narciarze często płoszą ptaki, narażają je na wychłodzenie i atak drapieżników.

Problemem są skiturowcy, ale nie jest nim fakt, że TPN planuje odnowić kompleks narciarski na Nosalu? Trzeba będzie wyciąć hektar lasu; przeciwko tej decyzji protestują organizacje ekologiczne.

Moim zdaniem jeden stok na Nosalu jest mniejszą szkodą dla przyrody niż ludzka obecność w miejscach, gdzie do tej pory zwierzęta mogły mieć święty spokój, ale wiem, że zdania są różne. Nosal jest też miejscem historycznym dla polskiego narciarstwa, na tym stoku odbył się jedyny w naszej historii Puchar Świata.

Tatry są i pewnie zawsze będą wielkim kompromisem. Narciarstwo, turystyka, ochrona przyrody rozwijały się tu równolegle. Zarobek, ekologia, a nawet łyk zen-tycy w szalasio – te wszystkie potrzeby trzeba równoważyć. Kościelisko dawniej nazywało się Polany. Dzisiaj bardziej pasowałoby „Beverly Hills”, bo jest pełne luksusowych apartamentowców. Czy zwierzęta na tym cierpią? Tak, bo zabudowaliśmy im jeden z korytarzy migracyjnych. Całe Tatry to zaledwie tysiąc kilometrów kwadratowych, a polską część dałoby się

Chcemy wejść
na górę i zobaczyć widok
przez duże W.

Jeśli przyjedziesz w Tatry,
by szukać małych skarbów
– gwarantuję ci, że się
nie zawiedziesz.

zmieścić w jednej dużej dolinie w Alpach. Jakoś musimy się tym terenem podzielić.

Udaje się?

Często tak, co pokazują populacje największych zwierząt. Liczba kozic [1222 według ostatniego liczenia – red.] jest dość stabilna, niedźwiedzi mamy około 60. Ciężko je policzyć dokładnie, bo wędrują, nie pytając nikogo o zgodę. Kilka lat temu jeden poszedł z Tatr aż w ukraińskie Karpaty. Oprócz tego kilkanaście rysi i kilkadziesiąt wilków.

Jak to szacujecie?

Dwa razy do roku organizujemy liczenie kozic. Liczbę niedźwiedzi szacujemy głównie z badań genetycznych, np. pozostawionej na drzewach sierści, a rysie i wilki podglądamy dzięki fotopułapkom, a potem rozpoznajemy konkretne osobniki, np. po układzie rysich cętek.

Turysta prędzej wygra na loterii niż zobaczy rysia. Jak zatem szukać dzikich Tatr?

Podam ci najbardziej ogólny przepis. Weź mapę i wykreśl wszystkie miejsca, gdzie są wyciągi i schroniska. Na pozostałym obszarze wybierz krótką trasę, weź lornetkę albo aparat i wyjdź wcześniej rano, najpóźniej o siódmej, najlepiej w środku tygodnia. Postaraj się przejść ją w czasie dwa razy dłuższym niż oficjalna czasówka. Przysiadać tu i ówdzie, patrz pod nogi, obserwuj to, co blisko. Obserwuj i nie bój się schylić. Krokusy najlepiej ogląda się na klęczkach.

Gdy pokazujesz ludziom tatrzańską przyrodę, co robi na nich największe wrażenie?

Lubię podслуchiwać, o czym rozmawiają, na co zwracają uwagę. Wszystkich fascynują niedźwiedzie i inne duże

zwierzęta. Wystarczy zobaczyć ślady po niedźwiedziach pazurach na drzewie tuż przy szlaku – wiesz, że to zwierzę może być kilkaset metrów stąd. Może było tu jeszcze pięć minut temu. To uruchamia wyobraźnię.

Kilkusetletnie limby ludzie traktują z szacunkiem, a na widok jezior i wodospadów opadają im szczęki, bo tego poza górami nie znajdują. I jeszcze lawiny, wezbrania potoków, wielkie obrywy skalne. Do dziś pamiętam, jak jeden chłopak zobaczył tatrzańskie turnie i krzyknął: „Kurczę, tu jest jak w Minecrafcie!”.

A co u Ciebie wywołuje taki zachwyt?

Uwielbiam rejon Czerwonych Wierchów. Tam są skały osadowe, gleba zawiera węglan wapnia, więc dzieją się tam botaniczne cuda, rosną reliktowe gatunki. Kiedyś byłem na Islandii i zdziwiłem się, że większość islandzkich roślin znam z Czerwonych Wierchów.

Czasami wydarzają się też spotkania, które zaskakują wszystkich, choć nie zawsze pozytywnie. Na przykład kruki...

Z perspektywy wspinacza – złodzieje!

Faktycznie, tatrzańskie kruki nauczyły się otwierać plecaki zostawione pod skałami. Potrafią okraść wspinacza z kanapek, czekolady czy butów. Ale przynasz, że krucza inteligencja budzi podziw.

Albo historia tatrzańskich bobrów. Teraz osiedliły się w Dolinie Miętusiej, metr od szlaku. Od dawna kręciły się w Dolinie Rybiego Potoku, który wypływa z Morskiego Oka. Dwa lata temu jeden przeziomował tuż przy najsłynniejszym tatrzańskim jeziorze. Na wiosnę zaczął tam zabawę w drwala i budowę domu. Niestety potem poniosła go fantazja i zdecydował się na wyprawę do Doliny Pięciu Stawów przez Szpiglasową Przełęcz. Warunki były ciężkie i bób-taternik spadł ze Szpiglasa z fatalnym skutkiem.

Na pocieszenie: kilka miesięcy temu okazało się, że kolejny gryzoń osiedlił się w tym samym miejscu i właśnie przygotowuje się do zimy.

Bobrowi życzę powodzenia i bezpiecznych wspinaczek, a nam żebyśmy częściej dostrzegali, że Tatry to coś więcej niż skalny plac zabaw i szarlotka w schronisku. W tych górach naprawdę jest życie.

©© Rozmawiał KRZYSZTOF STORY

MAŁGORZATA

Kordowicz: Imiona



„ZABAWNI SĄ CI ŻYDZI – POŚWIECILI CAŁY traktat Talmudu jajku” – uśmiechnął się dobrotliwie znajomek. Przywykliśmy do nadawania dziełom tytułów, które są próbą uchwycenia esencji ich treści, więc nawet nam przez myśl nie przejdzie, że można po-

stąpić inaczej. Tymczasem można: w starożytności Żydzi niejednokrotnie nazywali całość i części swoich pism ich pierwszym znaczącym słowem. Traktat „Bejca” (hebr. jajko) otwiera kwestia jajka złożonego przez kurę w szabat – czy można je od razu zjeść, czy wstrzymać się z konsumpcją? To zaledwie ułamek zawartości. Roztrząsa się tu kwestie świąteczne: z czego można w tym czasie korzystać? Jak wówczas przygotować jedzenie? Które czynności są w święta dozwolone?

Również hebrajskie nazwy pięciu ksiąg Mojżesza to ich pierwsze znaczące słowa. Księga Wyjścia (nazwy polskie są tłumaczeniami nazw łacińskich; tu *Exodus*) to *Szemat* (hebr. imiona). „A oto są imiona synów Izraela, którzy przybyli do Egiptu (...): Ruben, Szymon, Lewi i Jehuda, Isachar, Zabulon i Beniamin, Dan i Naftali, Gad i Aszer. Wszystkich osób, które wyszły z lędźwi Jakuba, było siedemdziesiąt dusz, a Józef znajdował się w Egipcie” (Wj 1, 1-5). W jednym z końcowych rozdziałów Księgi Rodzaju (łac. *Genesis*, hebr. *Bere-szit*, co w przybliżeniu znaczy „na początku”) napotykamy na podobną listę przybyłych do Egiptu Izraelitów, wzbogaconą jeszcze o wnuków, a akcydentalnie również o wnuczki Jakuba, wraz z sumami częściowymi, dającymi łącznie okrągłe siedemdziesiąt (zob. Rdz 46, 8-27).

Komentator wszech czasów cytuje nam proroka Izajasza: „On, który wywiódł w liczbie zastępy ich, który wszystkie po imieniu wyzywa” (Iz 40, 26; Cyłkow), i wyjaśnia, że choć Najwyższy policzył ich już za życia, liczy ich też, gdy umierają, by w ten sposób wyrazić swą miłość do nich. Są bowiem jak gwiazdy, które „wywodzi” i wprowadza wedle liczby i imienia. To ostatnie stwierdzenie przywodzi mi na myśl kolekcję szklanych kulek, którą mogłam pochwalić się w dzieciństwie. Wiedziałam, ile ich w sumie jest, ale zarazem „znałam” każdą kulkę oddzielnie. Żadne dwie nie były identyczne, więc każda na swój sposób wyjątkowa. Pieczołowicie wyjmowałam te swoje skarby ze skrzyneczki, by się nimi napawać – to uczucie znane nie tylko dzieciom, ale i dorosłym kolekcjonerom. Dla Przedwiecznego Dzieci Izraela w Egipcie były ważne jako grupa – trzeba więc odnotować fakt, że zstąpiły tutaj jako załazek narodu w liczbie siedemdziesięciu osób, nim zaczęły się mnożyć nieomal w postępie geometrycznym (zob. Wj 1, 7). Zarazem każde z nich było niepowtarzalną jednostką, co podkreśla wymienienie każdej osoby z imienia. Pan wspomni na nich i ich potomstwo, i położy kres egipskiej oraz każdej następnej niewoli. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Jak to na wojence ładnie



IZRAELICI, ROZŻALENI MILCZENIEM BOGA, bez ogródek mówią Mu prosto w oczy: „Pościliśmy, a Ty nie wejrzałeś, umarłowialiśmy się, a nie zwracałeś uwagi”. Na co Bóg, też bez ogródek, odpowiada: „Taki jest post, którego pragnę: zdjąć kaj-

dany bezprawia, rozwiązać więzy jarzma, wyzwolić uciemiężonych, połamać wszelkie jarzmo; z głodnym dzielić się chlebem, przyjąć do domu biednych i bezdomnych, przyodziać nagiego, którego zobaczysz, i nie odwracać się od swoich bliskich! Wtedy jak jutrzienka zabłyśnie twoje światło i szybko zabliznią się twoje rany”. Izajasz, opisując ten spór ludzi z Bogiem, burzy nabożne przekonanie tych, którzy uważają, że dzięki skrupulatnemu wypełnianiu praktyk religijnych zasłużą u Boga na lepsze traktowanie. Coś z tego i nas trapi, wciąż nasze posty to sprawa żołądka, a nie rozumu i serca. Wciąż nie mamy odwagi stanąć przed Bogiem twarzą w twarz. Jako dowcip opowiadano przed laty, jak to w sylwestrowy wieczór warszawianie z Pragi wódeczkę mogli wypić na miejscu, ale zakąsić kielbaską mogli dopiero na środku wiślanego mostu, gdyż prawobrzeżny biskup, w przeciwieństwie do lewobrzeżnego, nie udzielił dyspensy. Ach, ta lewica! Ale nie czas na żarty ani na dosładzanie przerażającej rzeczywistości.

Żona walczącego na froncie ukraińskiego żołnierza Andrija, Polka, Michalina Nesterenko, opowiada o mężczyźnie, który wrócił „z frontu, bo był ciężko ranny. Ten człowiek z nikim nie rozmawia. Siada przy stole ze spuszczoną głową i tak siedzi. (...) Kiedy ktoś w końcu zapytał go wprost, dlaczego nie chce rozmawiać, odpowiedział: »Nie mogę z wami rozmawiać, ponieważ zabijałem ludzi«”.

Natalia z Mariupola: „Wojna zostaje w człowieku. Tutaj w Polsce mamy wspaniałe mieszkanie, niedaleko poligonu. Wczoraj stałam na przystanku i słyszałam tam strzały. Do stałam ataku paniki. Serce zaczęło mi walić. Wiedziałam, że to tylko szkolenia, ale w Mariupolu były cały czas strzały. Nasze miasto zostało zniszczone razem z ludźmi. Tylko nie liczni przeżyli. Kiedy siedzisz i nie masz gdzie się schować...; albo masz gdzie się schować, ale nie możesz zostawić niedołączonej mamy...; widzisz, że wokół okna latają. Wybuchy i panika. A ty nie możesz nic z tym zrobić. Mam nadzieję, że nikt nie będzie przeżywać tego, co ja przeżyłam”. Żeby ta nadzieja się spełniła, potrzebny jest wielki, na skalę światową, post – zwłaszcza tym, którzy egoistycznie zapatrzeni w siebie, w swoją rodzinę, naród, oczarowani jasnością kazuistycznych doktryn czy bezduszną ideologią nie chcą widzieć, że do baków wlewają krew, nad palnikami kuchennek zaś i atrapami świec, również ołtarzowych, unosi się woń putrescyny, a „chciwość bierze górę nad solidarnością”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Zasłona

*Kiedy widzisz, że przywiązujesz
się do czegoś, przypomnij sobie,
że ta rzecz się skończy i zniszczy
– a to cię uspokoi.*

BARSANUFIUSZ Z GAZY



*Nigdy o żadnej rzeczy
nie mów: „Straciłem”,
ale: „Oddałem”.*

EPIKTET



W LITURGII PROWADZI nas ostatnio słowo Listu do Hebrajczyków. Usłyszeliśmy m.in. następujące pouczenie: „Mamy pewność, iż wejdziemy do Miejsca Świętego przez krew Jezusa. On nam zapoczątkował drogę nową i żywą, przez zasłonę, to jest przez ciało swoje” (Hbr 10, 19-20).

Niesłuchanie ważna odpowiedź dla każdego, kto nosi w sobie pragnienie możliwie najgłębszego doświadczenia Boga; dla tego, kto chce „wejść” (o ile to dla człowieka możliwe) w Jego Rzeczywistość; kto szuka nie tylko wiedzy o Nim, ale również poznania Go tak, jak się poznaje kogoś, kogo się kocha – przez wspólne z nim przebywanie, życie, zamieszkanie pod wspólnym dachem, bycie razem: w dobrej czy złej doli, w szczęściu i w nieszczęściu, w dzień i w nocy, w pracy i wypoczynku, w rozmowie i bez słów...

Autor Listu do Hebrajczyków jasno odpowiada: kieruj się na zasłonę! Nie musisz szukać po omacku. Zbliź się do zasłony, za którą kryje się Święty, Święty, Święty.

Tą zasłoną jest Ciało Chrystusa. Zasłona to nowa – poprzednia (oddzielająca w Świątyni Jerozolimskiej Miejsce Święte od Najświętszego) „rozdarła się na dwoje z góry na dół” w chwili Jezusowej śmierci (zob. Mt 27, 51). Jest to również zasłona żywa – a to określenie każe nam zapytać, o jakim Ciele Chrystusa autor natchniony mówi. Nie mówi przecież o ludzkim ciele Jezusa z Nazaretu – niepoznanym przez adresatów listu (pisze

do nich jakieś czterdzieści lat po wydarzeniach paschalnych). Zupełnie tak samo jak oni stoimy wobec wyzwania identyfikacji wpierw, a następnie kierowania się w stronę żywego Ciała Jezusa.

Podpowiedzi w tym zakresie otrzymujemy od samego Pana – On konkretnie wskazuje, gdzie łatwo Go odnajdziemy wcielonego. Więc najpierw: Eucharystia – „to jest Ciało moje; to jest Krew moja”. Zbliżamy się do tej zasłony przez adorację i uwielbienie, a najbardziej – oczywiście – przez spożycie.

Dalej: Kościół – Pan się z nim identyfikuje choćby w przytoczonym przez Liturgię w ostatnim tygodniu zdaniu skierowanym do Szawła pod Damazkiem: „Dlaczego Mnie prześladujesz?”. Z tego zdania zrodziła się cała Pawłowa eklezjologia, której jednym z głównych motywów pozostaje wiara w Kościół jako Chrystusowe ciało.

Dalej: ubodzy – to z nimi Jezus utożsamia się w najważniejszym opisie Sądu ostatecznego: „byłem głodny (...), spragniony (...), nagi (...), byłem przybyszem (...), chory i w więzieniu”. To Jego priorytetowe wcielenie, skoro rozpoznanie Go takim może zadecydować o naszej wieczności (Mt 25).

Jest jeszcze dziecko: „Kto przyjmuje jedno z tych dzieci w imię moje, Mnie przyjmuje” (Mk 9, 37).

To tylko najważniejsze i najoczywistsze, zawsze „nowe i żywe” zasłony Świętego Świętych. Można się do nich zbliżać każdego dnia – wielokrotnie w ciągu każdego dnia. Zza każdej z nich przywołuje nas Tajemnica, dla której żyjemy. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (5 – 12 II)

5. niedziela zwykła: Iz 58, 7-10;

Ps 112; 1 Kor 2, 1-5; Mt 5, 13-16;

Poniedziałek: Rdz 1, 1-19; Ps 104; Mk 6, 53-56;

Wtorek: Rdz 1, 20 – 2, 4a; Ps 8; Mk 7, 1-13;

Środa: Rdz 2, 4b-9. 15-17; Ps 103; Mk 6, 1-6;

Czwartek: Rdz 2, 18-25; Ps 128; Mk 7, 24-30;

Piątek: Rdz 3, 1-8; Ps 32; Mk 7, 31-37;

Sobota: Rdz 3, 9-24; Ps 90; Mk 8, 1-10;

6. niedziela zwykła: Syr 15, 15-20;

Ps 119; 1 Kor 2, 6-10; Mt 5, 17-37.

Wybrat PIOTR SIKORA

STALIŚMY SIĘ GŁUSI I NIEWIDOMI

Cieszymy się, że państwowe inspekcje jeszcze w ogóle pracują – za kilka lat doświadczymy pełnej skali skutków kadrowej luki pokoleniowej.

Państwu polskiemu nie zależy,
by cokolwiek w tej sprawie zmienić.

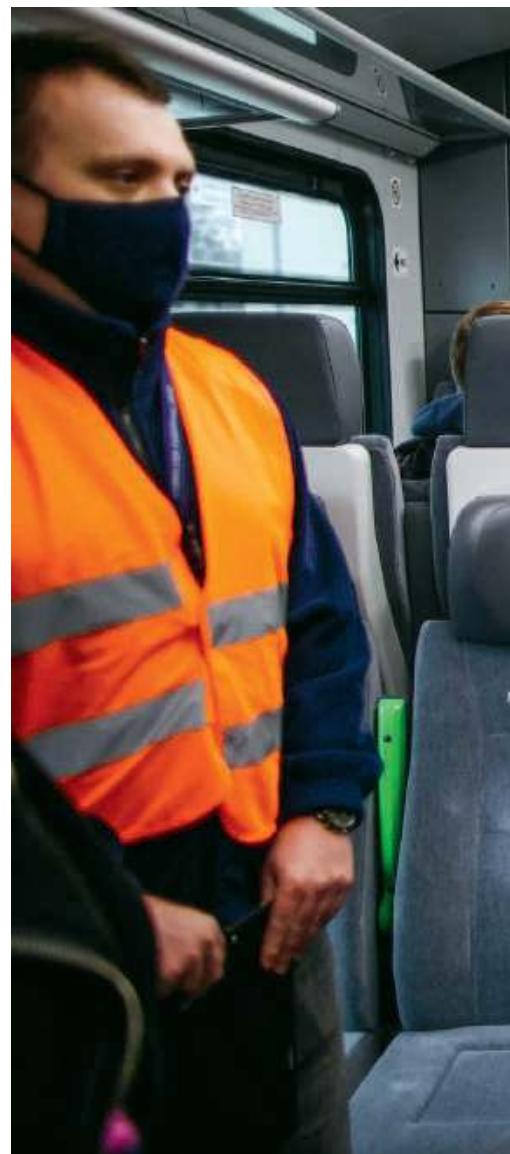
MARCIN KĘDZIERSKI

PAŃSTWO POTRZEBUJE SPRAWNYCH oczu i uszu, by móc skutecznie reagować na wyzwania. Oczy i uszy są niezbędne nie tylko do pozyskiwania informacji o funkcjonowaniu społeczeństwa, rynku i pojawiających się tam problemach, ale także do obserwacji skutków prowadzonej polityki. Nigdy bowiem nie jest tak, że wszystkie efekty prowadzonych przez państwo działań są w pełni zamierzone i przewidywalne. Co ważniejsze, te oczy i uszy muszą działać nie tylko w ramach administracji centralnej, ale być rozproszone po całym kraju. Inaczej władza pozostanie ślepa i głucha na większość zjawisk, których przebieg determinuje nie tylko losy państwa i społeczeństwa, ale też jej samej. Bez takiej wiedzy łatwo przegapić zagrożenia, które mogą tę władzę zatopić, ale niewielu się tym przejmie. Dominuje pokusa, by nic nie widzieć i nic nie słyszeć. I liczyć na to, że nikt inny nie zauważy tego, co naprawdę poszło źle, jak miało to miejsce w ramach zarządzania pandemią COVID-19, kiedy ochrona zdrowia i sanepid stanęły na granicy wydolności.

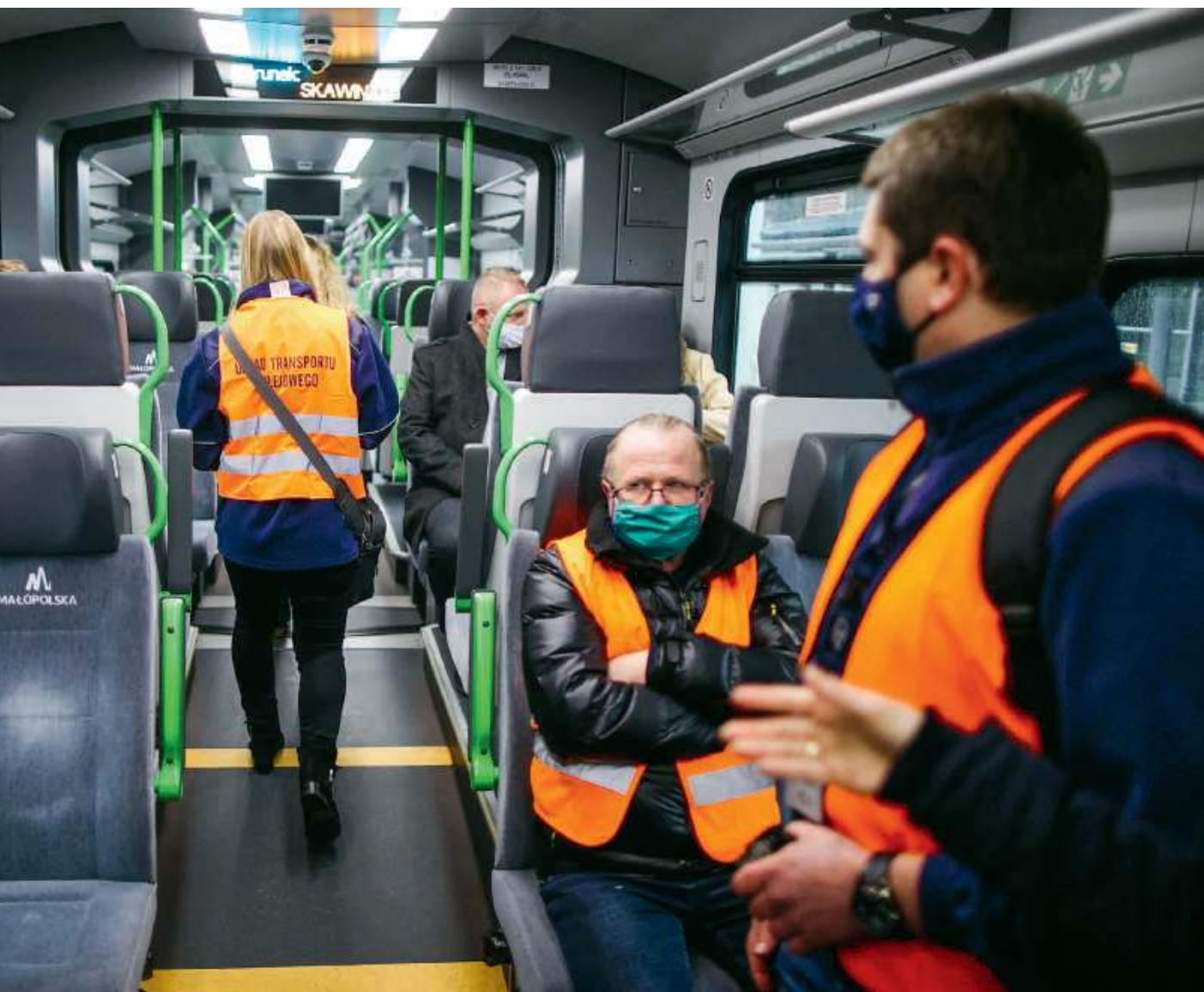
Badania prowadzone przez Ministerstwo Zdrowia po pandemii mogły odpowiedzieć na pytanie, z czego wynikały różnice w śmiertelności w różnych regionach kraju, ale zamiast głębokiego namysłu otrzymaliśmy uzasadnienie dla zamknięcia części szpitali powiatowych. Tymczasem system wymaga znacznie większej liczby zmian, których ani ministerstwo, ani środowisko lekarskie niespecjalnie pragną. Co najistotniejsze, mogłyby to być zmiany, na które najwyczejniej w świecie nas nie stać. Dlatego łatwiej jest przyjąć opowieść, że ofiarami COVID-19 były głównie osoby starsze z chorobami współistniejącymi, które i tak by już „długo nie żyły”. Zresztą taka opowieść jest spójna z praktyką klasyfikowania przyczyn zgonów – w Polsce wciąż wielu ludzi umiera „na starość”.

Dobrze tylko w planach

Poza systemem zbierania informacji państwo potrzebuje sprawnych rąk, aby móc skutecznie wykonywać decyzje podjęte przez władze różnego szczebla. W myśleniu o polityce publicznej



czasem wykorzystuje się tu zaczerpnięty z nauk o zarządzaniu tzw. cykl Deminga. Składa się on z czterech etapów – planowania, wdrożenia, ewaluacji i dostosowania. Zwykle w naszej debacie publicznej skupiamy się na tym pierwszym. Kolejne obchodzą nas już znacznie mniej, stąd też mamy wiele przykładów programów, które nawet jeśli były nieźle zaplanowane, to kompletnie zawiodło ich wdrożenie. Doskonałym przykładem jest choćby „Mieszkanie Plus”, co przyznaje nawet sam prezes Jarosław Kaczyński. Cały misterny plan posypał się m.in. ze względu na brak zgody ze strony publicznych przedsiębiorstw na przekazanie pod zabudowę należących do nich gruntów. Nikt wcześniej bowiem nie przewidział, że nie mamy efektywnych narzędzi umożliwiających włączenie spółek skarbu państwa w ten proces.



LUKASZ GĄGULSKI / PAP

Kontrola inspektorów Urzędu Transportu Kolejowego w pociągu Kolei Małopolskich na trasie Kraków–Skawina. Kraków, 17 stycznia 2023 r.

Zresztą, już niedługo będziemy się mogli kolejny raz przekonać o znaczeniu zdolności wdrożeniowych polskiego państwa. Planujemy ogromny wzrost nakładów na zbrojenia i zdrowie, ale wcale nie jest powiedziane, że np. Narodowy Fundusz Zdrowia będzie miał wystarczające zdolności, aby poradzić sobie z rozdysponowaniem blisko 200 mld zł. W tym kontekście warto przypomnieć, że w pandemicznym 2021 r. NFZ nie udało się wydać ok. 10 proc. środków ze swojego budżetu. Według najbardziej prawdopodobnej hipotezy, zabrakło sprawnych procedur oraz ludzi, którzy mogliby te procedury skutecznie przeprowadzić. Jednocześnie wiele szpitali narzekało na brak refundacji poniesionych kosztów. To pokazuje, że sam postulat „więcej kasy” nie rozwiązuje problemów.

Ekosystem administracji publicznej złożony jest z dziesiątek różnych instytucji. W debacie publicznej najczęściej pojawia się wspomniany już NFZ, Zakład Ubezpieczeń Społecznych i Najwyższa Izba Kontroli. Gorzej jest z instytucjami, z których działaniem spotykamy się na co dzień, a które w przestrzeni medialnej są w zasadzie nieobecne poza poziomem lokalnym. Mowa tu o inspekcjach, które odgrywają niezwykle ważną rolę w nadzorowaniu działań różnych podmiotów działających na rynku i ochronie interesów wszystkich obywateli.

Najbardziej znaną, zwłaszcza po pandemii, jest Państwowa Inspekcja Sanitarna, zatrudniająca ponad 15 tys. pracowników; nie jest jednak jedyną instytucją tego typu w Polsce. Mamy także inspekcję budowlaną, farmaceutyczną, handlową, jakości handlowej artykułów

rolno-spożywczych, ochrony roślin i nasiennictwa, ochrony środowiska, pracy, transportu drogowego i wreszcie inspekcję weterynaryjną. Informacje o nich pojawiają się wyłącznie wtedy, kiedy doświadczamy zagrożeń dla naszego bezpieczeństwa. Pandemia COVID-19, afrykański pomór świń albo katastrofa ekologiczna w Odrze – są doskonałymi przykładami tego zjawiska.

Problem w tym, że tak szybko jak rodzi się zainteresowanie, tak szybko ono umiera. Dotyczy to nie tylko świata mediów, ale także świata nauki. Kiedy przez ostatnie trzy lata zajmowałem się opisywaniem funkcjonowania większości wspomnianych inspekcji, musiałem bazować niemal wyłącznie na samodzielnie zdobytych informacjach. Poza okresowymi raportami NIK trudno bowiem znaleźć inne kompleksowe opracowania →

→ poświęcone tej tematyce. Jednocześnie trudno się spodziewać, aby sami pracownicy inspekcji walczyli o to zainteresowanie, bo w skali kraju jest ich zaledwie kilkadziesiąt tysięcy, a na dodatek są tak zapracowani, że zwyczajnie nie mieliby na to czasu. Co jednak warto podkreślić, mają oni ogromną potrzebę bycia wysłuchanymi. Nie miałem żadnego problemu, aby ich przekonać do podzielenia się przemyśleniami i obserwacjami. A w praktyce – żalem i frustracją.

Usłyszcie mój krzyk

Nie zapomnę jednego z ważnych pracowników Inspekcji Weterynaryjnej, który w styczniu 2022 r. opowiadał mi o swojej nierównej walce z zanieczyszczeniem odpadami zwierzęcymi jednej z rzek na Pomorzu. Udało mu się nawet wypracować szybki schemat postępowania w takich sytuacjach. Rozmowa ta przypomniła mi się latem, kiedy wszyscy żyliśmy katastrofą ekologiczną w Odrze. Zadzwoń do niego, żeby dopytać o przemyślenia na gorąco. Był zły, że nikt nie zainteresował się jego pomysłami i wiedzą. Zignorowane zostały wszystkie systemowe rekomendacje, których wdrożenie mogło umożliwić podjęcie zdecydowanie szybszych działań w przypadku klęski w Odrze.

Gdybym chciał te wszystkie wywiady przeprowadzone w różnych inspekcjach wydać w formie książkowej, adekwatnym tytułem byłoby: „Usłyszcie mój krzyk”.

Jaki obraz inspekcji wyłania się z tych rozmów i badań? Choć każda z nich ma swoją specyfikę, katalog wyzwań jest bardzo podobny. Głównym i nadrzędnym problemem jest wszechobecne niedofinansowanie, które rodzi szereg trudności. Pracownicy inspekcji zarabiają często niewiele powyżej płacy minimalnej, co nie motywuje do solidnej pracy, ale raczej przyczynia się do demobilizującej frustracji. Na dodatek instytucje te charakteryzują się płaską strukturą organizacyjną, która nie wymusza wyraźnego różnicowania pensji (na które inspekcji

Gdybym chciał wydać
w formie książkowej wywiady
przeprowadzone
w różnych inspekcjach,
adekwatnym tytułem byłoby:
„Usłyszcie mój krzyk”.

i tak zwyczajnie nie byłoby stać). Z tego powodu wiele osób po kilku latach pracy nie ma wielkiej motywacji, aby w niej pozostać. W konsekwencji jesteśmy świadkami exodusu pracowników z 5-10-letnim stażem, co ma daleko idące konsekwencje dla potencjału adaptacyjnego instytucji i zdolności realizowania ustawowych zadań. Osoby z powyższym stażem mają bowiem z jednej strony spore doświadczenie branżowe, a z drugiej – wciąż posiadają łatwość w nadążaniu za zmianami technologicznymi. Dla 60-letniego pracownika inspekcji walka z nieprawidłowościami w handlu żywnością w internecie jest zwykle o wiele trudniejsza niż dla osoby, która ma lat 30.

Dochodzi również do sytuacji, w których młodzi pracownicy wprost przyznają, że przyszli do inspekcji tylko po to, aby zdobyć wiedzę i doświadczenie, a po kilku latach wyfrunąć albo do sektora prywatnego, albo do międzynarodowych agencji oferujących wielokrotnie wyższe zarobki. Widać to zwłaszcza w środowisku lekarzy weterynarii – instytucje publiczne z innych państw UE wręcz łowią pracowników naszej Inspekcji Weterynaryjnej, choć akurat w tej instytucji zarobki nie są tak tragiczne (średnie pensje to 7 tys. zł brutto). W Polsce pozostają albo pasjonaci, albo osoby, które z powodu silnego zakorzenienia rodzinnego lub niechęci do radykalnych zmian nie chcą udawać się na emigrację. Inni biorą te zagraniczne oferty – są tak finansowo kuszące, że mają moc przełamywania największych oporów.

Ucieczki pracowników, jak i trudność z pozyskaniem nowych skutkują trudnościami w wykonywaniu zadań zleconych przez państwo. Inspektoraty nie mają pieniędzy na kontrolę i wystarczającą liczbę etatów dla inspektorów, w efekcie czego nie reagują na nagłe zgłoszenia. Systematycznie zmniejszana jest też liczba i cha-

rakter rutynowych kontroli, bo zwyczajnie nie ma komu ich przeprowadzać. Co więcej, powszechna stała się praktyka upraszania ludzi przechodzących na emeryturę, aby dalej wykonywali swoje obowiązki. Nie jest przypadkiem, że średnia wieku pracowników części inspekcji oscyluje wokół 60 lat. Na tym tle wyjątkowo dramatycznie wygląda sytuacja Państwowej Inspekcji Pracy, która naprawdę ledwo dyszy, mimo licznych starań podejmowanych przez kierownictwo tej instytucji. Pracownicy w wieku 30-40 lat stanowili w 2010 r. 30 proc. całej inspekcji, dziś już tylko 20 proc. Na dodatek jest ich w sumie tak mało, że są w stanie badać sytuację w jednym przedsiębiorstwie średnio raz na 15 lat, a to ma zapewne bardzo negatywny efekt, biorąc pod uwagę warunki, w jakich pracują Polacy.

Utknęli w epoce papieru

Cieszymy się jednak, że inspekcje jeszcze w ogóle pracują, bo za kilka lat doświadczymy pełnej skali negatywnych skutków luki pokoleniowej. Zresztą trzeba sobie powiedzieć, że już dziś choćby jakość systemu urzędowej kontroli żywności jest wyraźnie niższa niż jeszcze kilka lat temu, o czym przekonują nie tylko wnioski z raportów Najwyższej Izby Kontroli (tzw. megainformacja NIK z jesieni 2021 r.), ale także rozmowy z ludźmi z branży. Co gorsza, trudno tu dostrzec wiele powodów do optymizmu. Zważywszy, że bardzo ważną część polskiego eksportu stanowi produkcja rolno-spożywcza, słabość tego systemu powinna nas niepokoić podwójnie. Nie powinniśmy się też dziwić, że co jakiś czas trafiają do nas informacje o kłopotach naszej żywności za granicą.

Inspektorom brakuje często podstawowych środków niezbędnych do wykonywania powierzonych im zadań. Pierwszy przykład z brzegu – pandemia COVID-19 ujawniła, że w wielu powiatowych stacjach sanitarno-epidemiologicznych pracownicy kopiowali dokumenty przez kalkę, a tylko jeden telefon miał tzw. wyjście na miasto. Z kolei pracownicy inspekcji ochrony roślin i nasiennictwa skarżą się, że nie mają czym i za co dojechać do gospodarstw rolnych, które powinni kontrolować.

Jest jeszcze smutny wątek cyfryzacji: zapóźnienia w polskich inspekcjach, w przeciwieństwie do zreformowanych wielu urzędów centralnych, liczone

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Śluchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | www.radiokrakow.pl

są już nie w latach, ale dekadach. Widać to szczególnie, porównując różne inspekcje do Krajowej Administracji Skarbowej, która dzięki wykorzystywaniu różnych narzędzi cyfrowych jest w stanie wycełować kontrolę i zamiast wyrывkowo sprawdzać Bogu ducha winnego sklepi-karza, może skupić się na działaniach wobec podejrzanych podmiotów, w których nieprawidłowości skutkują znacznymi stratami dla budżetu państwa.

Brak cyfryzacji inspekcji skutkuje brakiem możliwości wzajemnego komunikowania się zarówno pomiędzy organami terenowymi (np. z różnych województw), jak i pomiędzy różnymi inspekcjami. To ostatnie stanowi szczególnie problem w sytuacji, w której w proces kontroli zaangażowanych jest równocześnie kilka instytucji. Tu sztandarowym przykładem jest urzędowa kontrola żywności – stwierdzenie nieprawidłowości w trakcie produkcji żywności przez Inspekcję Weterynaryjną niekoniecznie musi w Polsce skutkować kontrolą produktów sprzedawanych przez danego producenta w sklepach, za co odpowiada Inspekcja Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych i sanepid. Powód jest prosty – wyniki tej kontroli są zarejestrowane wyłącznie na drukach papierowych, które nie są później dygitalizowane, a tym samym są kompletnie niewidoczne nie tylko dla innych inspekcji, ale nawet dla oddziałów terenowych tej samej instytucji. Podobna sytuacja może mieć miejsce w przypadku nadzoru nad różnymi pracami budowlanymi, tyle że tu problemem będzie brak przepływu informacji między inspekcją budowlaną, pracy i transportu drogowego.

Odra ofiarą urlopu

Szczególnym przypadkiem jest doświadczenie katastrofy ekologicznej w Odrze. Dowodzi ona, że dokładnie z takim samym zjawiskiem mamy do czynienia w przypadku Inspekcji Ochrony Środowiska. Brak przepływu informacji pomiędzy terenowymi inspektoratami, które podlegają wojewodom, był przecież jednym z elementów całego procesu, który doprowadził do tak spóźnionej reakcji państwa na skażenie rzeki. Inna sprawa, że najbardziej banalną przyczyną tego opóźnienia był sezon urlopowy i skandalicznie niski potencjał kadrowy – w obliczu urlopu pracownika odpowiedzialnego za ten obszar po prostu nie było

Zapóźnienia w procesie cyfryzacji **liczone są już w dekadach.** Podczas pandemii w wielu stacjach sanepidu dokumenty kopiowano wręcz przez kalkę.

komu podjąć stosownych działań. Wracając jednak do kwestii kiepskiego przepływu informacji między różnymi instytucjami, kontrolowane firmy mogą *de facto* bawić się z inspektorami w kotka i myszkę, a wpadają w tarapaty często dopiero wtedy, kiedy jakimś cudem dwóch inspektorów, nierzadko w prywatnej rozmowie, dogada się, że ten sam podmiot „podpadł” w kilku miejscach i warto się mu bliżej przyjrzeć.

Mizeria wyposażenia pracowników inspekcji, w tym także słabość bazy laboratoryjnej, niespecjalnie umacnia wizerunek państwowych instytucji wśród podmiotów kontrolowanych. Skutkuje to lekceważeniem, żeby nie powiedzieć pogardą wobec inspektorów. Budowie jakiegokolwiek autorytetu inspekcji nie sprzyja też system kar. Dla przykładu, w przypadku stwierdzenia naruszeń zasad bezpieczeństwa i higieny pracy inspektor może nałożyć mandat w wysokości niewiele ponad 2 tys. zł. Maksymalne kary, nakładane już przez sąd na wniosek inspektora, są jedynie nieznacznie wyższe. W sytuacji, w której wstrzymanie produkcji celem eliminacji zagrożenia niesie ze sobą nieraz kilkuset tysięcy straty, firmy nierzadko mają specjalne koperty na opłacenie mandatów. Mówiąc dosadnie słowami samych inspektorów, i ta emocja jest powszechna niezależnie od inspekcji, mogą oni takiej firmie co najwyżej „skoczyć”...

Katalog słabości polskich inspekcji jest o wiele szerszy. Z pewnością pracownicy z poszczególnych jednostek mogliby wskazać specyficzne dla ich obszaru trudności. Pewnie też większość z nich poruszyłaby problem struktury organizacyjnej – na ile wojewódzkie oddziały mają być częścią administracji zespolonej, czyli podlegać wojewodom, a na ile powinny być spionizowane, czyli bezpośrednio znaleźć się pod skrzydłami swo-

jej centrali w Warszawie. Wydaje się, że tu konieczne jest poszukiwanie jakichś rozwiązań hybrydowych, które jednak nigdy nie zadziałają, jeśli, i tu wracamy do jednego z kluczowych problemów, nie będzie sprawnego systemu komunikacji.

To jednak kwestie wtórne wobec innego pytania: dlaczego polskie państwo, niezależnie od konfiguracji politycznej, systematycznie osłabia inspekcje. Nie jest przecież tak, że kryzys tych instytucji rozpoczął się wraz z dojściem do władzy Zjednoczonej Prawicy, bo skala zapóźnień sięga nawet kilkudziesięciu lat. Odpowiedź na to pytanie wydaje się kluczowa – czy proces ten jest świadomy i celowy, czy też przypadkowy i inercyjny. Zaryzykowałbym hipotezę, że bliższa prawdy jest jednak pierwsza odpowiedź. Od czasów transformacji ustrojowej dominującym w debacie publicznej, a co za tym idzie także w świecie polityki, jest paradygmat „przepsiębiorczościowy”. Można go zobrazować hasłem: „państwo nie powinno przeszkadzać prywatnemu biznesowi”. Dlatego wszelkie próby wzmocnienia inspekcji, które są z definicji powołane do nadzoru i kontroli zgodności funkcjonowania podmiotów prywatnych z obowiązującymi regulacjami, w tym paradygmacie będą się jawić jako ograniczanie swobody działalności gospodarczej i nie znajdują zrozumienia wśród większości polityków.

Co więcej, można odnieść wrażenie, że proces osłabiania potencjału inspekcji nabiera tempa w sytuacjach kryzysowych. Kiedy bowiem stoimy w obliczu problemów gospodarczych, o wiele łatwiej sprzedać opowieść, że trzeba nieco poluzować gorset regulacyjny państwa. Ale, jak uczy doświadczenie, to nigdy nie kończy się dobrze dla inspekcji. Taka strategia jest też bardzo krótkowzroczna, o czym boleśnie mogliśmy się przekonać w ostatnich latach, a w niedalekiej przyszłości – obserwując proces ewolucji inspekcji w Polsce – obawiam się, że będziemy mieć trudność z radzeniem sobie nie tylko z wielkimi zagrożeniami, ale nawet zupełnie błahymi, bo system w wielu miejscach po prostu przestanie działać. To zaś oznacza, że już niedługo może nas czekać życie w warunkach nieustannego zarządzania kryzysowego. Bez oczu, bez uszu i bez rąk.

© MARCIN KĘDZERSKI



Warszawa, 10 września 2022 r.

Wciąż atrakcyjni dla świata

PIOTR WÓJCIK

Mało kto liczy na poprawę sytuacji w gospodarce, za to większość przygotowuje się na ciężkie czasy. To wbrew pozorom dobra informacja. Może tym razem rzeczywistość nas nie zaskoczy.

ROZCHWIANA GOSPODARKA, WOJNA niemal u granic Polski, drożyzna, kłopoty z energią i pieniędzmi z Krajowego Planu Odbudowy. Rok 2023 rozpoczął się nieprzyjemnie i tak go zapewne zapamiętamy, choćby dlatego, że wielu Polaków zbiednieje. Na szczęście nie grozi nam raczej eksplozja bezrobocia, a budżet państwa prawdopodobnie się nie rozsypie.

Ceny przede wszystkim

Ubiegły rok przebiegał pod znakiem kryzysu kosztów życia, a tematy eko-

nomiczne dominowały na pierwszych stronach gazet jak nigdy wcześniej. Analitycy GUS mogli się poczuć jak gwiazdy rocka. Na ich comiesięczne komunikaty o inflacji z niecierpliwością czekali niemal wszyscy. W prognozach na rozpoczęty niedawno rok pierwsze miejsce muszą więc zająć ceny. Pojawiły się bowiem przesłanki, że rok 2023 będzie pod tym względem trochę lepszy. „Sytuacja na całym świecie robi się dezinflacyjna” – stwierdził nawet szef NBP Adam Głański. Według wstępnych szacunków

GUS, w grudniu inflacja nieoczekiwanie spadła do 16,6 proc.

– Najnowsze odczyty z USA czy Wielkiej Brytanii rzeczywiście pokazują, że inflacja nieco wyhamowała. Niektórzy nazywają to dezinflacją. Tak naprawdę ona po prostu przestała dynamicznie rosnąć. Nie jest to jednak powód do huraoptymizmu – studzi nastroje Krzysztof Bocian, analityk think tanku WiseEuropa.

Dezinflacji nie należy mylić z deflacją, czyli spadkiem cen. Ta pierwsza oznacza jedynie spadek tempa ich wzrostu. Domowe rachunki nadal więc będą rosnać, tyle że wolniej.

– Prognozujemy, że w 2023 r. średnia inflacja konsumencka wyniesie 13 proc. Będzie więc wciąż wysoka, ale niższa niż w roku ubiegłym, gdy wyniosła przeciętnie 14,5 proc. – mówi Piotr Arak, dyrektor Polskiego Instytutu Ekonomicznego (PIE).

Bardziej optymistyczni są analitycy OECD. Według listopadowego „Economic Outlook” w 2023 r. inflacja konsumencka w Polsce zejdzie do 11 proc. Nie oznacza to jednak, że sytuacja zaczęła się poprawiać już od stycznia. Wręcz przeciwnie, właśnie w pierwszych miesiącach bieżącego roku czeka nas najtrud-

niejszy okres, kiedy wzrost cen osiągnie swe maksimum.

– Szczyt zanotujemy najprawdopodobniej w lutym, gdy inflacja konsumencka przekroczy 20 proc. Będzie to związane z przywróceniem standardowych stawek VAT na energię elektryczną, paliwo oraz gaz ziemny – doprecyzowuje szef PIE.

Mowa tu o tarczy antyinflacyjnej, która obniżyła podatek VAT na energię i żywność. Co prawda zerowa stawka VAT na niektóre artykuły żywnościowe została utrzymana, jednak obniżka VAT na energię okazała się niezgodna z prawem unijnym i z początkiem stycznia została zlikwidowana. Jak na razie jednak nie doprowadziło to do wzrostu cen na stacjach, gdyż Orlen w grudniu obniżył cenę benzyny w hurcie. Jest więc szansa, że tych 20 proc. nie przebijemy.

– Od marca ten wskaźnik powinien zacząć wreszcie spadać, jednak jeszcze pod koniec roku będzie przekraczać 8-9 proc. Nasz model pokazuje, że w 2024 r. ceny będą rosły przeciętnie o 6-7 proc., a więc nadal wyraźnie powyżej celu. Wtedy też ceny podwyższy wycofanie się z zerowej stawki VAT na żywność – twierdzi Piotr Arak.

W 2023 r. motorem inflacji będą właściwie te same czynniki, które obserwowaliśmy w zeszłym roku. Mowa chociażby o marżach przedsiębiorstw, które były rekordowe nie tylko w Orlenie.

– Marże są nadal podwyższone, ale wreszcie nieco spadły z rekordowych poziomów – wskazuje dr Michał Możdżeń z Polskiej Sieci Ekonomii i Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. – Firmy nadal jednak upychają zapasy gdzie się da, licząc na to, że uda się je sprzedać po wyższych cenach. To zaś może skutkować stratami. Poza tym wciąż widać bardzo wysokie marże w niektórych kluczowych sektorach, głównie tych zmonopolizowanych, szczególnie w górnictwie, gdzie są zupełnie kosmiczne, i w przetwórstwie ropy naftowej. Minimalnie wzrosły także marże w handlu. Nadal niektóre przedsiębiorstwa mogą więc czerpać ponadnormalne korzyści, co będzie sprzyjać podwyższonej inflacji.

Możdżeń przypomina o jeszcze jednym aspekcie: bardzo wysokich cenach najmu. Szybko rosnące czynsze także będą wpływać na wzrost wskaźnika inflacji, chociaż w skali całej gospodarki nie będzie to wyraźnie odczuwalne. W najmowanych lokalach żyją ludzie z zaledwie kilku pro-

cent gospodarstw domowych w Polsce. Jednak wiele młodych rodzin, studentów i doktoranci dostaną mocno po kieszeni z powodu rosnących czynszów.

Topniejące płace

Ceny będą też hamowane. Główną przyczyną może być spadający popyt ze strony konsumentów, którzy wydali już swoje oszczędności z czasów pandemii, a obecnie zmagają się ze zmniejszeniem siły nabywczej wynagrodzeń, czyli spadkiem płac realnych. W grudniu pracujący zbiednieli przeciętnie o 6 proc.

Niższy bieg wrzuci też inny z motorów zeszłorocznej inflacji – żywność. Według prognozy Banku Światowego, dzięki doskonałym tegorocznym zbiorom globalne ceny żywności w całym 2023 r. mogą nawet nieco spaść. To nie oznacza jeszcze, że stanowią artykuły żywnościowe w polskich sklepach. Tym bardziej że, jak wskazuje Piotr Arak, wciąż wysoka jest tzw. inflacja producencka (wzrost cen odbijający się w kosztach firm), a część przedsiębiorców nadal nie skorygowała swoich cenników względem rosnących kosztów – głównie energii. Lecz obniżenie cen najważniejszych surowców rolnych (roślin oleistych i zbóż) na światowych rynkach powinno nieco hamować wzrost drożyny żywnościowej także nad Wisłą.

Krzysztof Bocian z WiseEuropa zauważa natomiast, że tegoroczną inflację powinien zmniejszać tak zwany efekt bazy. Na początku roku porównujemy ceny z okresem początków 2022 r., kiedy jeszcze nie było znaczących podwyżek – zaczęły mocno rosnąć wiosną. Dzięki efektowi bazy inflacja powinna więc dodatkowo wyhamować, chociaż będzie to tak naprawdę efekt statystyczny.

Kryzys stopniowo wpływać będzie również na rynek pracy, choć na razie notujemy rekordowo niskie bezrobocie. Według Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej w grudniu wyniosło ono 5,2 proc., a pracy szukało ponad 800 tys. osób. To także może się nieco zmienić na gorsze.

– W tym momencie około 10-15 proc. przedsiębiorstw deklaruje, że może w przyszłości dokonywać redukcji zatrudnienia. To wciąż dosyć mało, ale gotowość części firm do zwolnień będzie wpływała negatywnie na wzrost wynagrodzeń – zauważa dyrektor PIE.

Pracodawcy nie palą się do zwalniania pracowników, jednak i ci drudzy

będą mieli znacznie trudniej, by znaleźć ewentualną alternatywę. Grudniowy Barometr Ofert Pracy spadł aż o 14 proc. rok do roku – zmniejszyła się liczba ofert we wszystkich kategoriach ogłoszeń i we wszystkich województwach. Zmusi to pracowników do rezygnacji z roszczeń płacowych. W rezultacie wynagrodzenia będą rosły wyraźnie wolniej od inflacji. Oczywiście, w różnych grupach zawodowych sytuacja może być odmienna.

– Rząd będzie robił bardzo dużo, żeby nie dać za wiele budżetowce. Najpewniej złamie się tu czy tam, jednak generalnie podwyżki w tej sferze gospodarki będą nikłe. Być może zanotujemy trzeci rok z rzędu ze spadkiem płac realnych w tym sektorze – prognozuje Michał Możdżeń. – W prywatnych firmach również nie widzę mocnych kart przetargowych po stronie pracowników. Według mnie pojawi się tam presja na redukcje. Będzie to widoczne szczególnie w usługach dla klasy średniej, z których można zrezygnować w imię oszczędności. Może być mniej pracy dla kurierów, pracowników restauracji i kawiarni czy fryzjerów psów.

– Możemy mieć do czynienia ze wstrzymaniem nowych rekrutacji – zauważa Piotr Arak. – Przedsiębiorcy będą starać się utrzymać zatrudnienie, ale zrezygnują z tworzenia nowych miejsc pracy. Osłabnie więc siła negocjacyjna pracowników, co przełoży się na mniejszą rotację i na płace. Według naszych prognoz średni wzrost wynagrodzeń wyniesie ok. 11 proc. Zanotujemy więc drugi rok z rzędu ze spadkiem płac realnych. Ochronnie na rynek pracy będą za to wpływać istniejące niedobory pracowników w części firm.

Dr Możdżeń podejrzewa, że zeszłoroczny kilkunastoprocentowy wzrost płac nominalnych był oparty w dużej mierze na premiach i nagrodach, a nie wyłącznie na podwyżkach pensji zasadniczych. Wskazują na to duże różnice w odczytach wynagrodzeń między poszczególnymi miesiącami. Ten szczegół wbrew pozorom ma istotne znaczenie. Pracodawcy prawdopodobnie celowo nie wiązali się długoterminowymi zobowiązaniami, tylko wypłacali okazjonalne premie. W tym roku łatwiej będzie im ograniczać koszty. Po prostu zrezygnują z wypłacania dodatków.

Sto tysięcy na ulicę?

Wielu z nas martwi się, czy w 2023 r. utrzyma pracę. Według Możdżenia ➔

→ liczba bezrobotnych może wzrosnąć, ale o nie więcej niż 100 tys. osób i raczej nie trwale. Na tle 16 mln pracujących nie jest to szczególnie czarna prognoza. Podobnego zdania jest dyrektor PIE – według Instytutu stopa bezrobocia rejestrowanego wzrośnie o niespełna punkt procentowy, a największy wzrost liczby bezrobotnych zanotuje przemysł i sektor budowlany. Ma to związek m.in. z trwającym właśnie załamaniem na rynku kredytów hipotecznych, a co za tym idzie spadkiem zamówień dla budowlanki.

Wzrost bezrobocia będzie hamowany przez wciąż wysokie zainteresowanie firm zagranicznych inwestowaniem w Polsce. Zdaniem Moździerza nasz kraj wciąż jest bardzo atrakcyjnym miejscem lokowania dużych przedsięwzięć, szczególnie w przemyśle. Dla przykładu, w grudniu pojawiła się informacja, że Mercedes zbuduje na Dolnym Śląsku fabrykę elektrycznych samochodów dostawczych za kwotę ponad miliarda euro.

Polsce sprzyjać będzie także proces postpandemicznego „nearshoringu”, czyli przenoszenia fabryk bliżej siedzib koncernów międzynarodowych, by skrócić tzw. łańcuchy dostaw. Położona zaraz obok Niemiec i wciąż relatywnie tania Polska będzie jednym z największych beneficjentów tego procesu.

– Jeśli tylko unikniemy głębokiej recesji, to nie powinno być dramatycznej sytuacji na rynku pracy. Jeżeli jednak spełni się pesymistyczny scenariusz, wzrost bezrobocia okaże się nieunikniony – wyjaśnia Bocian.

Najprawdopodobniej jakaś recesja w Polsce będzie miała miejsce, chociaż jest duża szansa, że nie będzie trwała długo i będzie raczej płytka. Wiele też zależy od sytuacji międzynarodowej. Rezygnacja z polityki „zero covid” w Chinach może być pozytywnym impulsem dla wzrostu ekonomicznego na świecie.

– Prognozujemy recesję w pierwszym kwartale 2023 r. ze względu na bardzo wysoki wynik w początkach roku 2022, gdy firmy gromadziły zapasy. Sądymy, że PKB spadnie o 0,3 proc. Od drugiego kwartału PKB powinien być już na niewielkim plusie. Na przestrzeni całego roku spodziewamy się wzrostu na poziomie 1,2 proc. Jeśli jednak spowolnienie w pierwszym kwartale nie będzie silne, to całoroczny wzrost okaże się odpowiednio wyższy – mówi Piotr Arak.

Szczyt problemów zanotujemy prawdopodobnie w lutym,

gdy inflacja konsumencka przekroczy 20 procent.

Pod koniec roku powinna zejść do 8 procent, a w przyszłym – do 6-7 procent.

Jej motorem wciąż będą m.in. wysokie marże firm.

Według dyrektora PIE, już teraz wiadać, że wydatki na zakupy motoryzacyjne oraz sprzętu RTV i AGD spadają, co jest efektem m.in. wysokich stóp, czyli gorszej dostępności do kredytów. Rosną za to wydatki na artykuły pierwszej potrzeby, żywność i farmaceutyki, co z kolei jest spowodowane napływem do Polski uchodźców z Ukrainy. Wojna podniosła nieco ceny, ale była też jednym z motorów tegorocznego wzrostu gospodarczego. Według PIE bez napływu uchodźców byłby on niższy o niespełna punkt procentowy (finalnie wyniósł w 2022 r. ok. 4,5 proc.).

Budżet pod napięciem

W całym roku 2023 uwagę powinien również przyciągać budżet państwa. Rząd zakłada drastyczne podniesienie nakładów na wojsko, co jest z jednej strony zrozumiałe, ale z drugiej każe się zastanowić, czy nasza wspólna kasa to wytrzyma. Przecież oprócz tego wzrosnąć powinny również nakłady na opiekę zdrowotną. Rząd będzie także rekompensował spółkom energetycznym zamrożenie cen energii elektrycznej, wciąż będzie działać tarcza antyinflacyjna, wypłacone zostaną czternaste emerytury. Tegoroczne potrzeby pożyczkowe państwa przekraczają 200 mld złotych, tymczasem oprocentowanie polskich obligacji znacząco wzrosło.

– Nie zajmujemy się prognozowaniem deficytu budżetowego – zaznacza Arak. – Ale patrzymy na prognozy Komisji Europejskiej, która bierze pod uwagę cały sektor finansów publicznych, a nie jedynie

sam budżet. Według nas szacunek KE o deficycie sektora rządu 5,5 proc. PKB dobrze oddaje to, co się może wydarzyć. Komisja wzięła już pod uwagę pieniądze dla spółek ciepłowniczych, zamrożenie cen gazu dla gospodarstw domowych, ceny maksymalne prądu i utrzymanie zerowego VAT na żywność. Siłą rzeczy nie uwzględniła jednak tego, co rząd dopiero może wprowadzić w związku z rokiem wyborczym.

W tej chwili wydaje się, że deficyt sektora finansów publicznych w relacji do PKB będzie ok. półtora punktu procentowego niższy niż w pandemicznym roku 2020, gdy przez wiele miesięcy trwał lockdown. W zeszłym roku sytuacja budżetowa była zaskakująco dobra, co może zachęcić rządzących do wprowadzenia przedwyborczych świadczeń pieniężnych dla wybranych grup społecznych.

– Przy całej skali wydatków wyniki budżetu w zeszłym roku były całkiem niezłe. W trzecim kwartale zeszliśmy z długiem publicznym do poziomu 50 proc. PKB. Spodziewałem się gorszego wyniku – przyznaje Arak. – Pomimo obniżenia podatków udaje się utrzymywać wysokie dochody państwa, co jest efektem podwyższonej inflacji i nadal jeszcze wysokiej aktywności gospodarczej. W 2023 r. nasz dług publiczny zapewne jednak wzrośnie, chociaż wciąż powinien być niższy od 55 proc. PKB.

Krzysztof Bocian dodaje: – Dług publiczny w całej UE wynosi średnio ponad 85 proc. PKB. Na tym tle sytuacja budżetowa Polski nie jest więc zła. Ale trzeba pamiętać, że dla mniej zamożnych państw, takich jak nasze, bezpieczny próg poziomu zadłużenia jest niższy niż dla krajów bogatych.

Kredytobiorców hipotecznych i ich krewnych najbardziej interesują stopy procentowe. Rada Polityki Pieniężnej być może rozpocznie ich redukcję za około rok, o ile wskaźnik inflacji spadnie do poziomu jednocyfrowego. Obniżki te będą jednak rozciągnięte w czasie – na pewno nie będą spadać tak szybko, jak wzrastały. Zadłużeni Polacy muszą więc uzbroić się w cierpliwość. I przede wszystkim pamiętać o tym, by wypełnić wniosek o tegoroczne wakacje kredytowe. Na prawdziwe wakacje wielu z nich nie pojedzie.



KONSTANTIN YUGANOV / ADOBE STOCK

Przeciętnie, czyli dobrze

CVETA DIMITROVA, PSYCHOTERAPEUTKA:

Gdyby iść za definicją faszyzmu, że jest on triumfem woli nad rozumem, to nasze próby przezwyciężenia własnych ograniczeń czasem ją spełniają. Nasz wewnętrzny faszyzm podpowiada: nie bądź zwyczajny.

DOMINIKA TWOREK: Jakie skojarzenia niesie za sobą słowo „przeciętność”?

CVETA DIMITROVA: Ma ono wiele negatywnych konotacji i kojarzy nam się z czymś nieatrakcyjnym, mało pociągającym, niepożądanym. Dla wielu osób przeciętny to znaczy zwyczajny, niewyróżniający, pozbawiony charakteru, nieciekawym. Taki sposób myślenia o przeciętności sprawia, że od razu chce się od niej stronić.

W mojej bańce społecznej większość osób mierzy się z lękiem przed byciem przeciętnym. Ta obawa dotyczy głównie dwudziesto- czy trzydziestolatków. Jedynie znajomi po czterdziestce, już ugruntowani na różnych płaszczyznach, uważają inaczej.

To bardzo powszechne doświadczenie, gdyż wszyscy – mniej lub bardziej – jesteśmy zanurzeni w tym samym kontekście

społecznym. Bierzymy udział w ogromnym wyścigu, a globalne tendencje przyczyniają się do coraz większej potrzeby wyróżniania się. Jeżeli ma się poczucie, że stanowi to kwestię przetrwania, siłą rzeczy trudno przystawać na przeciętność.

Być może starsze osoby mają na nią większą zgodę, bo doznały już w swoim życiu różnych rozczarowań. A większe osadzenie – czy to w roli społecznej, czy świadomości, kim jestem – powoduje, że mamy mniej „kompulsywnej” potrzeby, żeby jakąś rzecz osiągnąć.

Co ten lęk przed przeciętnością mówi o świecie, w którym żyjemy?

Dziś nader często to, co nie jest „wow”, wcale nie wydaje się przeciętne, tylko gorzej – od razu klasyfikowane jest jako beznadziejne, wręcz godne pogardy. Wynika to w dużej mierze z faktu, że obecnie mamy bardzo określoną wizję – z mojego punktu widzenia wypaczoną i nierealistyczną – tego, czym jest dobre, wartościowe życie, dobrze wykonywana praca albo bycie kimś, kto ma dobre relacje z innymi. Współcześnie dysponujemy niewieloma opowieściami o tym, że jest coś atrakcyjnego i wartościowego w życiu, które nie jest spektakularne, nie ma w nim nieustannego pasma sukcesów, nie robi się rzeczy, które są absolutnie nadzwyczajne i wyjątkowe. A w tym pojęciu „dobre życie” wcale nie ma obrazu, któremu towarzyszyłoby jakieś niesamowite fajerwerki, bo nie na tym to polega.

Ja dodałabym do tego epitet – „wystarczająco dobre”.

To sformułowanie ma swoją genezę w pojęciu „wystarczająco dobrego rodzica”, które wprowadził na początku lat 70. Donald Woods Winnicott, brytyjski psychoanalityk. Chodzi o to, że w gruncie rzeczy dziecko nie potrzebuje rodzica, który jest absolutnie niezawodny i zaspokaja wszystkie potrzeby. Jemu wystarczy, że rodzic jest właśnie „wystarczająco dobry” – wystarczająco dostrojony, budujący dziecku bazę pod to, żeby mogło się rozwijać, eksplorować świat i mierzyć z utratą swojego poczucia onnipotencji, gdy będzie napotykało na rozczarowania. Wystarczająco dobry rodzic jest w opozycji do rodzica idealnego – kategorii, za którą wszyscy, na nieświadomym poziomie, tęsknimy. Tymczasem nie istnieje świat idealny, w którym inni ludzie

→ zaspokoją wszystkie nasze potrzeby, pragnienia i fantazje. A po drugie, jest on też źródłem bardzo głębokich frustracji.

Cały akcent w przestrzeni publicznej kładziony jest dziś na postaciach, które odniosły sukces. Niewidoczne są obrazy ludzi, którzy są „wystarczający”.

Rzeczywiście, nie jesteśmy na to wyczuleni, choć zarazem jest to coś, czego można po prostu doświadczyć. Bo nasze otoczenie wcale nie funkcjonuje dzięki temu, że dookoła są ludzie, którzy nieustająco robią coś spektakularnego, a dzięki tym, którzy wystarczająco dobrze wykonują swoją pracę, często o monotonnym, żmudnym charakterze. To dobrze pokazał moment pierwszego lockdownu, kiedy wszyscy tkwiliśmy w głębokiej dezorientacji i przerażeniu. Tym, co podtrzymywało całą strukturę, w jakiej żyjemy, była praca przez nas niezauważana: opiekunek, sprzedawców, kierowców czy urzędników.

A z czego lęk przed przeciętnością wynika na poziomie indywidualnych przyczyn?

Historie, które stoją za tym lękiem, będą u każdego poskładane z różnych kawałków. Jednak częstą figurą jest dziecko, które czuje, że nie istnieje, jeśli nie dostarcza sobie różnego rodzaju „podniet”. Takie dziecko nie jest zauważane przez swoich rodziców, bo oni głównie zwracają uwagę na to, czy dobrze radzi sobie w świecie zgodnym z kryteriami, które są w ich mniemaniu właściwymi – czy ma dobre oceny w szkole, jest popularne i lubiane przez rówieśników. A dzieci mają jednak bardzo głęboką potrzebę bycia widzianymi przez rodziców z różnymi swoimi aspektami, także tymi, które są trudne albo wiążą się z uczuciami nieprzyjemnymi – złością, rozpaczą, frustracją.

Z jakich powodów rodzice zachowują się tak wobec dzieci?

Rodzic może akcentować to, co jest w dziecku świetne, i oczywiście robi to w dobrej wierze, ale pod tym często kryje się potrzeba zaspokojenia własnego deficytu. On sam ma różne niespełnione ambicje, również czuł się zauważany tylko w obszarach, w których był dobry, a w innych czuł się niechciany i beznadziejny. Może w jego domu nie było dość miejsca

Chęć wyróżniania się jest próbą poradzenia sobie z bolesnym uczuciem, że się nie liczymy. To jest szalenie niebezpieczny mechanizm, prowadzi do frustracji i złości.

na swobodne wyrażanie uczuć i zorientował się, że pewne rzeczy trzeba skrzętnie przed otoczeniem chować? Tym samym nie nauczył się tolerowania trudnych stanów, bo nie doświadczył bezpiecznego towarzyszenia mu w tym.

To sięga jeszcze głębiej. Dla niektórych osób robienie rzeczy i osiąganie równa się istnienie. Nie mogą po prostu być; bez osiągania, przewyższania własnych ograniczeń, wykorzystywania potencjału, „wychodzenia poza strefę komfortu”. Osoba, która nie może istnieć bez dostarczania sobie coraz to nowszych „bonusów”, w gruncie rzeczy jest w permanentnym stanie głębokiego poczucia zagrożenia. To może być też próba chronienia się przed popadnięciem w stan depresyjny.

Jakie uczucia kryją się pod lękiem przed przeciętnością?

Przed wszystkim wstyd, który jest doświadczeniem charakterystycznym dla dynamiki narcystycznej. Jestem zawstydzona tym, że jestem „zwykłą”; że odstaję na niekorzyść. Że muszę być perfekcyjna, bo taka będę kochana. I nie mówię o tym, że wszyscy ludzie, którzy zmagają się z lękiem przed przeciętnością, mają jakiś problem narcystyczny, tylko o tym, że to jest aspekt osobowości każdego z nas, bo wszyscy mamy narcystyczne potrzeby. Także w dobrym sensie tego słowa, na przykład potrzeby uznania. A w dzisiejszej kulturze akcent najsilniej położony jest właśnie na uznanie, więcej – na bycie na piedestale. Tu nie ma miejsca na prozę życia.

Potrzeba bycia nieprzeciętnym objawia się też w chęci bycia kontrkulturowym, choćby to oznaczało nałogi. Używki stanowią dla niektórych osób atrybut oryginalności.

Można mieć różne fantazje na temat tego, z czym kojarzy nam się dana używka – z buntem, podkreśleniem swojej indywidualności, oderwaniem od tłumy. Kłopot w tym, że różne rzeczy, które dostarcza nam rynek, byśmy czuli się wyróżnieni, tak naprawdę wcale nie są takie wyjątkowe. Dziś bardzo trudno się buntować, ponieważ wszystko, co jest elementem takiego wizerunku, szybko zostaje zassane do maszyny rynkowej, czyli czegoś, co służy przede wszystkim konsumpcji i prowadzi do uniformizacji. Wiele rzeczy, które możemy kupić, reklamuje się dziś za pośrednictwem hasła: „to cię wyróżni”, „uczyni wyjątkowym”, „pozwoli ci się wyrazić”. A w rzeczywistości jest to coś, co szereg różnych innych osób dookoła nabywa w tym samym celu. I wszyscy, wybierając z czegoś, co jest ogólnodostępne, stają się do siebie podobni. Nie chodzi o to, żeby na siłę się różnić, tylko o postawienie sobie pytania: „Czego boję się w tym, że nie będę się odróżniać, i czy są też inne sposoby, żeby siebie wyrazić?”.

Jakie odpowiedzi padają, gdy zadaje je Pani w gabinecie?

Chęć wyróżniania się jest próbą poradzenia sobie z bardzo bolesnym poczuciem, że się nie liczymy. To jest szalenie niebezpieczny mechanizm. Bo dopóki udaje nam się kręcić w tym kołowrocie – czyli z lęku przed przeciętnością mobilizować się do robienia rzeczy, które są nieprzeciętne – możemy czuć umiarkowaną satysfakcję. Umiarkowaną, bo to uczucie jest bardzo ulotne. Ale w momencie, w którym zderzamy się z różnymi ograniczeniami, zaczynamy przeżywać ogromną frustrację i złość. Te uczucia najczęściej kierowane są przeciwko sobie, co wytwarza strukturę silnej wewnętrznej opresji. Że jeżeli nie uniknę poczucia bycia zwykłym, to znaczy, iż kompletnie zawodzę. Krótko mówiąc, jestem nikim. To kreuje system wewnętrznej tyranii, w której kategoria „wystarczająco dobre” znika z horyzontu. Pozostają tylko frustracja i niezadowolenie z tego, że nie jest tak, jak powinno być. A to „powinno” bardzo się modyfikuje. Bo jak udaje się jedną rzecz osiągnąć, to niemal natychmiast przestaje ona być źródłem satysfakcji i już dąży się do kolejnej.

To prowadzi do pragnienia osiągnięcia doskonałości?

W pewnym stopniu tak, nawet jeśli mamy świadomość, że to jest niedościgniony horyzont. W dążeniu do tego, żeby uniknąć niedoskonałości oraz bólu i frustracji, które się z tym wiążą, jest zarazem bardzo dużo iluzji. Bo nie możemy uchronić się przed cierpieniem związanym z naszymi własnymi oraz dostarczonymi przez świat ograniczeniami. Nie zapominajmy też o kontekście kulturowym; to wszystko odbywa się w klimacie ogromnej rywalizacji.

Cały czas osadzamy ten lęk w naszej współczesnej kulturze. A może dążenie do bycia nieprzeciętnym jest konstytutywną ludzką cechą, w związku z czym to zjawisko stare jak świat?

Oczywiście, że jest! Wszyscy mamy jakieś deficyty i to, że próbujemy je czasem kompensować, wcale nie musi być takie straszne. Ale współcześnie mamy mniej punktów odniesień, które nie poruszają się po skrajnościach. Mało tego, dzisiaj nie ograniczamy się do wąskiej społeczności, w której żyjemy, tylko do całego świata, a pod spodem tkwi narracja, że jak ktoś się bardzo postara, czyli będzie unikał tej przeciętności, to może mieć wszystko.

A gdyby spojrzeć na ten lęk jak na coś rozwojowego, motywującego do działania?

Nie twierdzę, że nie warto różnych rzeczy próbować. Ale spójrzmy na pewien przykład. Dla młodszego pokolenia źródłem inspiracji są dziś influencerzy. Ci młodzi ludzie mają poczucie, że super jest być kimś takim. Ale nie wszyscy nimi będą. Czy to, że ja nim nie zostanę, oznacza, że jestem do niczego? Nie!

Gdyby iść za definicją faszyzmu Timothy'ego Snydera, że jest on triumfem woli nad rozumem, można pokusić się też o teorię, że nasze próby przewyciężenia własnych ograniczeń czasem prowadzą właśnie ku czemuś takiemu. Że mamy swój wewnętrzny faszyzm polegający na tym, iż jedyne, co jest możliwe, to nie być w czymś zwyczajnym.

To nie jest – jak to pięknie nazwał prof. Jacek Hołówka – „bycie dobrym średniakiem”, to jest nic. W tym sensie mówimy o wewnętrznym tępieniu wszystkiego, co nie wpisuje się w nasz obraz rzeczy wartościowych. Mimo narracji rozwojowej, która za tym stoi, często wbrew za-



MIKOŁAJ STARZYŃSKI

CVETA DIMITROVA jest absolwentką filozofii na UW, psychoterapeutką, założycielką ośrodka Znaczenia. Psychoterapia.

mierzonym celom, prowadzi to do wewnętrznej destrukcji, czasem nienawiści do siebie. Powoduje ogromne cierpienie.

Boimy się, że jak sobie odpuścimy, dopadnie nas gnuśność?

Lęk przed tym, że nie mogę nie stawiać na palcach, jest właśnie o przekonaniu, że liczy się tylko i wyłącznie stawianie na palcach i jeśli tego nie zrobimy, to wpadniemy w otchłań lenistwa. Może czasem tak, ale kiedy indziej odpuszczenie jest też gestem odwagi.

Lęk tym różni się od strachu, że jest odpowiedzią na wymaginowane zagrożenie. A może należałoby zmienić tę narrację o przeciętności i zacząć postrzegać ją jako coś, co jest w ogóle nierealne, bo każdy człowiek jest wyjątkowy, więc nieprzeciętny?

To prawda, że każdy z nas jest absolutnie jedyne w swoim rodzaju. Ale to, co pani mówi, jest zbudowane na innym systemie wartości niż nieprzeciętność, o której rozmawialiśmy. Skoro każdy jest nieprzeciętny, to nikt się nie wyróżnia. Nie bierze udziału w wyścigu.

Jeżeli dziś od uczestnictwa w tym wyścigu zależy nasze przetrwanie, a lęk przed przeciętnością jest w nas wpisany – jak zachować balans, żeby z niego czerpać, i nie stać się dla siebie tyranem?

Można zacząć zadawać sobie pytania. Pomyśleć o tym, jaka jest funkcja tego

lęku, skąd się bierze, przed czym chroni? I tutaj odpowiedzi mogą być w pewnym sensie proste, na przykład, że chodzi o poczucie bezpieczeństwa. Nad tym można się zastanowić. Czy naprawdę dzięki temu osiągnę ten stan? Czy poczuję się bardziej wartościową osobą? Będę miała przekonanie, że jestem ważna dla innych? Czy da mi to poczucie, że jest dla mnie odpowiednie miejsce w świecie? Czy dzięki temu będę miała bliskie i dobre relacje?

Co z tego, że sobie na te pytania odpowiemy?

Wtedy mamy wybór. Jung często cytował takie powiedzenie: „Jeżeli wiesz, co robisz, jesteś zbawiony”. Nie jest żadnym nakazem czy imperatywem, że ktoś ma się zmieniać albo nie robić tego, co robił do tej pory, zwłaszcza jeżeli to spełnia istotną rolę w jego życiu i nie pociąga za sobą szkód. Zawsze można wybrać opcję maksymalistyczną, ale jeżeli czujemy, że to jest wbrew nam, to może osiągnęliśmy dobry punkt wyjścia, żeby dokonać innego wyboru i zmienić swoją ścieżkę w życiu.

Dlaczego w dyskursie publicznym lęk przed przeciętnością nie cieszy się takim powodzeniem jak na przykład depresja?

A czy dla pani sformułowanie „lęk przed przeciętnością” jest jakoś atrakcyjne?

Niezbyt.

No właśnie. Co więcej, zarówno ten lęk, jak i depresję interpretowałabym bardziej jako objaw niż tylko chorobę.

Zapewne ludzie nie przychodzą do gabinetów psychoterapeutów z diagnozą: „Boję się przeciętności”.

Wiele osób idzie na terapię, żeby „naprawić” to, co przestało działać. Wcześniej byli w stanie cały czas się mobilizować – pracować po kilkanaście godzin dziennie i stawiać na palcach – a nagle nie mogą. Coś się stało i potrzebują zmiany. Mają poczucie, że jeśli problem „przepracują”, będą mogli funkcjonować jak wcześniej. Ale moment, kiedy ktoś trafia na terapię, może stać się też początkiem konfrontacji z tym, co tkwi u źródła cierpienia. I stanowi impuls do zrekonstruowania dotychczasowego obrazu siebie.

© Rozmawiała DOMINIKA TWOREK

W Sądzie Rejonowym w Nowym Sączu pod sygnaturą akt I Ns 1027/22 toczy się sprawa z wniosku PGNiG Obrót Detaliczny Spółka z o.o. z siedzibą w Warszawie z udziałem Gminy Nowy Sącz oraz nieznanymi z miejsca pobytu Mateusza Kantora i Emilii Kantor reprezentowanych przez kuratora o stwierdzenie nabycia spadku po Piotrze Pawle Kantorze, zm. 29 marca 2021 r. w Nowym Sączu, ostatnio stale zamieszkałym w Nowym Sączu.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłego, aby w terminie trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili i udowodnili przysługujące im prawo do dziedziczenia pod rygorem pominięcia ich praw.

W Sądzie Rejonowym w Sanoku I Wydział Cywilny toczy się postępowanie z wniosku Mirosława Chromy pod sygn. akt I Ns 442/22 o stwierdzenie zgonu Piotra Jana Chroma s. Jana i Marii z d. Suszko, ur. 21 maja 1963 r. w Sanoku, a przed śmiercią przebywającego w USA w miejscowości New Jersey. Ostatnia wiadomość o zaginionym pochodzi z 2011-2012 r. kiedy najprawdopodobniej Piotr Jan Chroma zmarł.

Wzywa się zaginionego Piotra Jana Chromę, aby w terminie trzech miesięcy zgłosił się, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi jego zgon. Sąd wzywa również wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o zaginionym, aby w terminie trzech miesięcy przekazały je sądowi.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydział Cywilny w sprawie o sygnaturze akt I Ns 653/22 z wniosku Józefa Zielińskiego toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Zielińskiej, nazwisko rodowe Jabłońska, c. Jana i Heleny, zm. 11 września 2008 r. w Chełmie, ostatnio stale zamieszkałej w Chełmie.

Wzywa się spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydział Cywilny w sprawie o sygnaturze akt I Ns 190/22 z wniosku Ireny Dolak i Stanisława Dolaka toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Matyszczyk, nazwisko rodowe Woleczek, c. Józefa i Marii z d. Palec, zm. 24 lutego 2022 r. w Chełmie, ostatnio stale zamieszkałej w Chełmie.

Wzywa się spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Przysusze I Wydział Cywilny postanowieniem wydanym w dniu 12 lipca 2022 roku w sprawie I Ns 175/21 nakazał wpłacić do depozytu sądowego kwotę 77,00 zł (siedemdziesiąt siedem złotych zero groszy) tytułem odszkodowania za ustanowienie na rzecz każdorazowego właściciela działki nr 281/1 położonej w miejscowości Łęgonice Małe gm. Odrzywół, dla której Sąd Rejonowy w Przysusze V Wydział Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą nr RAIP/00044656/6 służebności drogi koniecznej biegnącej od drogi oznaczonej jako działka nr 295 położona w miejscowości Łęgonice Małe gm. Odrzywół, przez działkę nr 279 położoną w miejscowości Łęgonice Małe gm. Odrzywół, przedstawioną na mapie sporządzonej dla celów niniejszego postępowania przez biegłego sądowego Grzegorza Eliasza, zaewidencjonowaną w Starostwie Powiatowym w Przysusze w dniu 9 grudnia 2021 r. za nr P.1423.2021.1352 jako służebność gruntowa SG1 o powierzchni 0,0134 ha, wyznaczona liniami koloru czerwonego na tej mapie. Złożona do depozytu sądowego kwota zostanie wydana właścicielowi działki nr 279 położonej w miejscowości Łęgonice Małe gm. Odrzywół, który będzie legitymował się dokumentem stwierdzającym jego własność.

Przed Sądem Rejonowym dla Warszawy Mokotowa w Warszawie w II Wydziale Cywilnym w sprawie o sygnaturze akt II Ns 167/21 toczy się postępowanie z wniosku Aleksandry Jagielskiej z udziałem Pracowniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „Idealne Mieszkanie” z siedzibą w Warszawie, Jacka Gleby, Spółdzielni Budowlano-Mieszkaniowej „Merkury” z siedzibą w Warszawie, Hanny Kalbarczyk, Berty Puig-Velasco, Wandy Walencik i Weroniki Kępy o stwierdzenie, że Aleksandra Jagielska nabyła z dniem 1 stycznia 2003 r. przez zasiedzenie prawo własności nieruchomości gruntowej położonej w mieście stołecznym Warszawie, w dzielnicy Ursynów, stanowiącej działkę gruntu o numerze ewidencyjnym 101 z obrębu 1-12-16 o powierzchni 0,0713 ha, niemającej urzędzonej księgi wieczystej.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, w szczególności nieznanymi z imienia i nazwiska właścicieli nieruchomości, aby w terminie trzech miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły swój udział w sprawie i udowodniły swe prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym przypadku Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Jarosławiu I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 656/21 toczy się postępowanie z wniosku Bronisławy Olejarki z udziałem: Waldemara Walanusa, Jacka Walanusa, Mariusza Walanusa i Antoniny Stańko o stwierdzenie nabycia w drodze uwłaszczenia własności nieruchomości składającej się z działki oznaczonej ewidencyjnie numerem 2528/4 o powierzchni 0,1291 ha położonej w miejscowości Pełkinie, Obręb 0007 Pełkinie, woj. podkarpackie, będącej w samoistnym posiadaniu Bronisławy Marii Olejarki, c. Michała i Teresy, zamieszkałej pod adresem: Ujezna 63, na którą to nieruchomość nie ma założonej księgi wieczystej. Działka nr 2528/4 o powierzchni 0,13 ha powstała po II etapie ewidencji gruntów na pgr. 2528/4, a po modernizacji gruntów i budynków o powierzchni 0,1291 ha. Parcela gruntowa 2528/4 powstała z podziału pgr 2528/1, objętej Lwh 1539 (zamkn.) gminy katarskiej Pełkinie (która podzieliła się na nowe pgr. 2528/3, pgr. 2528/4 i pgr. 2528/5), gdzie jako właściciel figuruje Antoni Ciecierka s. Jana, który zmarł 28 sierpnia 1955 r. w Ujeznej.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane – a w szczególności spadkobierców Antoniego Ciecierki – aby w ciągu trzech miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosiły się i udowodniły swoje prawa do tej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności działki na rzecz wnioskodawczyni, o ile zostanie ono wykazane.

TOMASZ

Stawiszyński: W świecie mroku



„ŻYJEMY W ŚWIECIE MROKU” – POWTARZAJĄ co i rusz bohaterowie nieudanego ponoć filmu „Tenet” Christophera Nolana. Cóż, jeśli nawet jest to film nieudany – choć ja oglądałem go z mieszaniną ekscytacji, napięcia i zaciekawienia, a czegoż chcieć

więcej od kina, było nie było, rozrywkowego – to mamy tu do czynienia z porażką z gatunku tych, które co najwyżej potwierdzają wielkość twórcy (do tej szczególnej kategorii zalicza się również „Diuna” Davida Lyncha).

Aczkolwiek, przyznaję, chyba nie sposób ze zrozumieniem śledzić akcji „Teneta”, a przynajmniej nie przy pierwszym podejściu. Nawet para moich przyjaciół naukowców, o rozległej erudycji w zakresie *science fiction* oraz równie rozległej wiedzy z dziedzin ścisłych, nie była w stanie płynnie podążyć za fabularną adaptacją konceptu „odwróconej entropii” – mającego skądinąd umocowanie w rozważaniach wybitnych fizyków Richarda Feynmana oraz Johna Wheelera – i z wyraźnym zniecierpliwieniem wyłączyła telewizor gdzieś w połowie seansu. Intensywnie namawiam ich jednak do kolejnej próby i mam nadzieję, że ją podejmą. Być może niekoniecznie koncentrując się tym razem na scenach przedstawiających ruch obiektów „pod prąd” czasu (owszem, czasami bywa to, wbrew intencjom twórców, dość zabawne), lecz raczej na przenikającej to wszystko specyficznej aurze tajemniczego, a fundamentalnego zagrożenia.

Przy czym nie jest to zagrożenie, które byłoby choć trochę podobne do czegokolwiek, co znane, a w każdym razie do czegokolwiek, co się w pierwszej kolejności jako zagrożenie jawi i narzuca. Osobliwe przedmioty zachowujące się wbrew wszelkim regułom, do jakich przyzwyczajają nas konwencjonalna percepcja, są nieledwie śladami, a właściwie należałoby powiedzieć: zwiastunami niebezpieczeństwa. Takiego jednak – oto nie pierwszy i nie ostatni paradoks – które już się gdzieś jakoś wydarzyło, no bo w końcu obserwujemy jego odpryski, ale zarazem... dopiero nadejdzie. Protagonista zaś – pod takim, *nomen omen*, pseudonimem ukrywa się główny bohater grany z brawurą powściągliwością przez Johna Davida Washingtona (z tych Washingtonów) – niczym genialny detektyw z nieśmiertelnej prozy Conan Doyle’a stara się z tych odprysków złożyć całościowy obraz. Nie wiedząc przy tym wszakże, że, z uwagi na czasowe splątania, jego rola

w tym dramacie jest zupełnie inna, niż mu się w danej chwili wydaje. Miejscem dramatu jest cały świat, a wśród podmiotów uczestniczących w toczącej się na naszych oczach, ale zasadniczo niejasnej grze – której stawką, jakżeby inaczej, jest przetrwanie ludzkości – znajdujemy niezwykle głęboko zakonspirowane służby specjalne, miliarderów-psychopatów oraz piękne znawczynie twórczości Goi. Jednym słowem – gdyby rzecz nie była aż tak zawikłana, mielibyśmy bez wątpienia komercyjny hit, a tak mamy jedynie estetycznie frapującą, a przy tym dającą do myślenia metaforę współczesności.

Czyli świata mroku, w którym niewątpliwie żyjemy. Najpierw, a może przede wszystkim dlatego, że – jak sugeruje Nolan – lokalizujemy zagrożenie nie tam, gdzie faktycznie można je spotkać. Poszukujemy go bowiem w oczywistościach tego, co nas otacza, podczas gdy przychodzi ono niejako z zewnątrz, choć zarazem jest ściśle immanentne. Podlegamy mu i nie wiemy, na czym naprawdę polega, a jednocześnie – choć to trudne do pomyślenia – jest ono tak czy inaczej wynikiem naszych własnych działań, ślepych na potencjalnie tragiczne konsekwencje.

Czy chodzi tutaj o technologię? Być może. Ostatecznie, jak twierdzi Daniel Dennett, wkroczyliśmy, jako ludzkość, w epokę – jakkolwiek ekscentrycznie to brzmi – w pewnym sensie analogiczną do czasów prehistorycznych. Mechanika świata była przed nami wówczas całkowicie zasłonięta, nie mieliśmy najdrobniejszego pojęcia, czym właściwie jest rzeczywistość. Potem stopniowo – wraz z rozwojem filozofii, nauki i technologii – zaczęliśmy poszerzać pole naszego poznania, aż wreszcie doszliśmy do momentu, w którym... znowu przestaliśmy cokolwiek rozumieć. Tym razem jednak dotyczy to naszych własnych wytworów. Nie pojmujemy, jak działa sztuczna inteligencja zdolna do głębokiego uczenia się – podobnie jak bohaterowie „Teneta” nie pojmują pocisków o odwróconej entropii – a zarazem to właśnie takie rozwiązania już wkrótce będą w krajobrazie technologicznym dominować.

Ale to chyba nie wszystko. Żyjemy w świecie mroku, to znaczy – nie rozumiemy także siebie nawzajem. Systematycznie tracimy zdolność komunikacji, rozpoznawania naszych własnych i cudzych emocji, motywacji, intencji. Tymczasem niebezpieczeństwo narasta wykładniczo. Można powiedzieć, że tym szybciej, im mniej zwracamy na jego realne źródła uwagę.

Czy zatem chodzi o katastrofę klimatyczną? O kolejną wojnę światową, do której jest bliżej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat? A może o jeszcze coś innego, czego z wewnątrz nie jesteśmy w stanie dostrzec, zanadto skupieni na tym, co dookoła, podczas gdy sedno sprawy tkwi dalece gdzieś indziej? ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMiani.pl

PARAFIA NA TACY

KS. LESZEK SLIPEK, PROBOSZCZ PARAFII ŚW. ANDRZEJA APOSTOŁA W WARSZAWIE:

Pewnej niedzieli ogłosiłem, że za tydzień po mszy świętej każdy może przyjść i zająrzeć do naszych ksiąg finansowych. Chętnych było niewiele.



KS. LESZEK SLIPEK: Dzwonię w samo południe, jak się umawialiśmy.

ARTUR SPORNIAK: Może jednak odzwonię, żeby Ksiądz nie płacił.

Nie ma problemu, w końcu trafiło na proboszcza warszawskiego!

Jeszcze zobaczymy, jak te proboszczowskie finanse wyglądają, bo Ksiądz zgodził się je ujawnić. To rzadkość.

Nieprzejrzystość finansowa Kościoła rodzi wiele pytań i czasami niechęć do Kościoła. Wobec tego dobrze jest podawać dane. Ludziom na przykład myli się taca z pensją księdza. Pensja księdza w naszej parafii składa się z dobrowolnych ofiar przy okazji odprawianych mszy, ślubów, chrztów i pogrzebów. A do tego jeszcze wpływy okresowe, czyli część pieniędzy otrzymanych podczas kolędy i z okazji wypominek.

Ile to średnio miesięcznie?

Moja proboszczowska waha się od 2 do 3 tys. zł brutto. Uważam, że najwyższa nie jest. W różnych parafiach dochody księży są różne. Ale także w tej samej parafii dochody różnią się w zależności od miesiąca. Na przykład, jeśli w danym miesiącu nie ma ślubów czy chrztów, dochody są mniejsze. W naszej parafii większość to osoby starsze i są miesiące, kiedy nie ma żadnych ślubów ani chrztów. Czasami więc mam 1900 zł, a czasem 3500 zł.

A Księdza wydatki?

Z pensji muszę opłacić ZUS i urząd skarbowy, czyli miesięcznie ok. 270 zł plus 320 zł, w sumie 590 zł.

A czy ZUS-u nie pokrywa za Księdza Fundusz Kościelny?

To pytanie do diecezji.

Jaką stawkę podatku Ksiądz płaci?

To widelki ryczału, zależnego od liczby mieszkańców. Nasza parafia liczy 8 tys. mieszkańców. Ksiądz podatek płaci sam, bo nie ma pracodawcy, biskup nie jest przecież pracodawcą. Inne stawki są dla proboszcza, a inne dla wikarego. Oprócz tego płacę na dom emerytów ok. 100 zł miesięcznie. Wikary płaci 80 zł. Składam się też na jedzenie. Miesięcznie dla nas czterech to wydatek ponad 3 tys. zł.

Kto gotuje?

Gospodyni. Oprócz niej zatrudniamy zakrystiankę i organistę. W sumie na miesięczne pensje razem ze składkami na ZUS idzie dla nich 10 tys. zł.

A kto sprząta kościół?

Trochę zakrystianka, a trochę osoba, która robi to na zasadzie wolontariatu. Jeszcze paliwo. Ponieważ jeżdżę samochodem w sprawach parafialnych, za benzynę płacę pół na pół – połowę z pensji, połowę z parafialnych pieniędzy.

A ile macie aut?

Każdy ksiądz ma swoje.

To ile zostaje, żeby odłożyć, zaoszczędzić?

Święto Bożego Miłosierdzia w Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach. Kraków, 27 kwietnia 2014 r.

W tej chwili jest bardzo trudno zaoszczędzić. Najczęściej wychodzimy na zero. Czasem, jak dojdą wypominki związane z modlitwą za zmarłych, to wpadnie jeszcze ze dwa tysiące.

Trwa kolęda. Czy ona się zmieniła po pandemii w Waszej parafii?

Mniej ludzi przyjmuje księdza. Ale u nas kolęda zawsze wyglądała tak, że idziemy tam, gdzie jesteśmy oczekiwani. Gdy tutaj przyszedłem w 2001 r., napisałem list do parafian związany z kolędą, który został zaniesiony do każdego mieszkania. W tym liście wy tłumaczyłem, na czym polega wizyta duszpasterska, i potem na osobnej kartce zadałem trzy pytania: „Czy Państwo życzą sobie, żeby kolęda ograniczyła się do tradycyjnej formy modlitwy i pobłogosławienia mieszkania?”. „Czy Państwo mają jakiś temat, na który chcieliby porozmawiać?”. „Czy Państwo nie życzą sobie księdza po kolędzie?”. I prosiłem o zwrot. Oczywiście wróciło niewiele więcej niż 10 procent. Ale jeżeli starsza pani przyjmowała dotychczas księdza po kolędzie, bo był tego ślad w kartotece parafialnej, to wiadomo było, że do niej także idziemy. I tak się wytworzyła pewna znajomość mieszkańców.

Na osiem tysięcy mieszkańców parafii do ilu zagłądacie?

Dotychczas do 1200. W tym roku jeszcze nie wiem.

Czy chodząc po kolędzie, przyjmujecie koperty?

Co roku piszę list do parafian, proponując tematy do rozmowy podczas kolędy. W tym roku jedno z pytań, które zadałem, brzmiało: „Jak Państwo realizują przykazanie kościelne dotyczące odpowiedzialności za wymiar finansowy parafii?”. Czyli jak to w rodzinie – dyskusja także jest o finansach. W jedną niedzielę ludzie mieli możliwość wglądu do księgi finansowej. Mogli się zorientować, jakie są przychody i wydatki parafii. Jeśli korzystasz z tego, co parafia proponuje, jaki jest twój wkład w jej utrzymanie? Może sam potrzebujesz pomocy? Porozmawiajmy! Ten temat jest w naszej parafii normalną rzeczą. Jeżeli ktoś chce – przyjmując podczas kolędy księdza – jakieś pieniądze, to oczywiście ksiądz



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

→ bierze z wdzięcznością, ponieważ parafia ma funkcjonować. I w większości ludzi dają.

Ile jest dochodu rocznie z kolędy?

To się zmieniało w ostatnich latach z powodu pandemii. Ale średnio z kolędy bywa około 30 tys. zł. Około 20 procent dostają księża, reszta idzie na potrzeby parafii.

Jakie na przykład?

Brama do podwórza. Oprócz tego robimy zbiórki inwestycyjne, bo jeśli odnowiam kościół, to 5 czy 10 procent musi parafia dołożyć do tego, co dostajemy na przykład od konserwatora zabytków. Czasem zbieramy do puszek. A na ekstra wydarzenia duszpasterskie – wyjazdy dzieci i młodzieży podczas ferii i wakacji czy mikołajkowe paczki dla ministrantów i scholi – musimy szukać sponsorów i bogatszych ludzi dobrej woli. Parafii na to nie stać.

Czy księża uczą katechezy?

Moi dwaj wikarzy mają po pół etatu w szkole. I to są ich dochody.

A ksiądz rezydent jest na emeryturze?

Tak. Emerytura to też jego dochód. Ja od 65. roku życia także otrzymuję emeryturę – 1900 zł miesięcznie.

Do tego dochodzą pieniądze z ofiar składanych z okazji sakramentów?

Rezydent ma stypendia mszalne, czyli ofiary przekazywane przy okazji zamawiania mszy. Nie otrzymuje za śluby, chrzty i pogrzeby.

Ile wynoszą stypendia mszalne miesięcznie?

Średnia intencja mszalna to 50 zł. Razy 30 dni to 1500 zł miesięcznie.

Po ile składacie się na utrzymanie plebani?

Składamy się po 200 zł. Ale w domu parafialnym odbywają się też duszpasterskie spotkania, więc do jego utrzymania dokładamy z pieniędzy parafialnych.

A ile jest pieniędzy z tacy?

Około 18 tys. zł miesięcznie, czyli co niedzielę mniej więcej zbieramy 4,5 tys. Za samo ogrzewanie kościoła rocznie



BARTOSZ KRUPA / EAST NEWS

KS. LESZEK SLIPEK

(ur. 1953) pochodzi z Legnicy. Świecenia otrzymał z rąk kard. Stefana Wyszyńskiego w 1978 r. Na uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie uzyskał doktorat z teologii duchowości. Funkcję proboszcza pełni od 1987 r., a od 2001 jest proboszczem parafii św. Andrzeja Apostoła na Chłodnej w Warszawie.

płacimy ok. 48 tys. zł, czyli 4 tys. miesięcznie. Ale wydatki obejmują dziesiątki innych rzeczy: kancelaria, wydawanie biuletynu, śmieci, podatek od nieruchomości.

Za śmieci ile płaciecie?

Sto złotych miesięcznie.

Czy macie dochody z wynajmu?

Mamy nieruchomość, którą wynajmujemy na szkołę. Mamy z tego 4,5 tys. miesięcznie.

Żadnych anten telefonii komórkowej i gruntów pod Warszawą?

Żadnych.

A na prąd ile wydajecie?

Mniej więcej 1200 zł miesięcznie. Do wydatków należy dołożyć świadczenie na rzecz Kościoła diecezjalnego i powszechnego, czyli około 30 tys. rocznie, co wychodzi 2,5 tys. zł miesięcznie.

Na co to idzie?

Na seminarium, dom emerytów, potrzeby diecezjalne, Stolicę Apostolską, misje.

Gdzie to się wpłaca, na konto?

W kasie w kurii. Ale jeszcze są wydatki, których ludzie nie biorą pod uwagę, na przykład związane z rokiem liturgicznym – zrobienie Grobu Pańskiego, żłóbka czy dekoracje świąteczne: na to idzie około 6 tys. rocznie. Potem komunikanty, świece, oliwa, kwiaty, żarówki, pranie szat liturgicznych, środki czystości, renowacje paramentów liturgicznych, księgi liturgiczne, konserwacja i naprawa urządzeń gazowych, elektrycznych, wodnych i kanalizacyjnych...

Wino mszalne...

Tak. I jeszcze ubezpieczenie kościoła.

Za ubezpieczenie ile?

3 tys. zł rocznie. Dalej: opłacenie rekolekcjonistów.

Ile się im płaci?

Tego nie mogę zdradzić. W każdym razie różnie – w zależności od tego, kto i jak prowadzi rekolekcje. Ale należy im się honorarium – zgoda?

Zgoda. Nie powie mi też Ksiądz, ile dostaje biskup za wizytację?

Za wizytację nic nie otrzymuje.

Tak jest w Warszawie?

Podczas spotkania opłatkowego z księżmi w okresie Bożego Narodzenia biskup otrzymuje od nas składkę na potrzebujących księży, którzy na przykład są chorzy. Od księży z naszej parafii przy tej okazji otrzymuje 1000 zł. Natomiast podczas wizytacji parafii nic nie otrzymuje. Jak by to wyglądało? Gdyby ktoś przyjechał do firmy robić audyt i od tej firmy za to otrzymywał pieniądze – jak by się audytor czuł? Sugerowanie czegoś takiego uwłacza biskupowi. Pieniądze, żeby wizytacja dobrze wypadła?

Na początku lat 90. na jubileusz pewnego zakonnego kościoła przyjechał ówczesny prymas. Dostał za to – w przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze – kilka tysięcy złotych. Wówczas obowiązywał – a zapewne i dziś obowiązuje – nieformalny cennik: najwięcej dostaje kardynał, potem arcybiskup, potem biskup ordynariusz i najmnie biskup pomocniczy.

To co innego! To zaproszenie do wygłoszenia wykładu. Za to należy się honorarium.

Prymas odprawiał mszę.

Ale podczas mszy wygłosił słowo budujące, które musiał przygotować. Poza tym wydał na benzynę. Wobec tego otrzymał honorarium jako wdzięczność.

A jak od kuchni wygląda biskupia wizytacja? My, świeccy, widzimy tylko uroczystości liturgiczne.

Wcześniej pojawia się ekonom diecezji, który sprawdza księgi finansowe. Rozmawia na temat dochodów, ubezpieczeń i tak dalej. Przyjeżdża też ksiądz z wydziału katechetycznego i wypytuje o różne rzeczy związane z lekcjami religii. I jemu zdaje sprawę. Więc gdy pojawia się biskup, ma raporty odpowiednich dykasterii kurialnych. A program wizyty jest różny. Zawsze jest spotkanie z radą parafialną, a podczas ostatniej wizytacji było także spotkanie z młodą inteligencją, która chciała rozmawiać na temat wyzwań Kościoła dzisiaj. Było spotkanie z dyrektorami szkół. Każdy z księży spotykał się z biskupem osobno.

Mogli się na Księdza poskarżyć.

Mogli. Mogli wykrzyczeć, co chcieli. Oni wiedzą, że mogą powiedzieć biskupowi albo mnie, co myślą... byleby stali trzysta metrów za plebanią (*to z dowcipu oczywiście, o bacy*).

I biskup przekazuje swoje krytyczne uwagi?

Potem dostaję protokół powizytacyjny.

Z zaleceniami.

Jeżeli takie są. Zwykle jest to opis parafii.

A może Ksiądz zdradzić, jakie na przykład krytyczne uwagi otrzymał w ciągu swojej proboszczowskiej kariery?

Kiedyś otrzymałem uwagę biskupa wizytującego, że mój ksiądz wikary podczas mszy trzymał za szeroko wyciągnięte ręce. Nawiasem mówiąc, biskup nie miał racji, gdyż wyciągnięte ręce przez księdza przy modlitwie „Ojcze nasz” są znakiem Chrystusa ukrzyżowanego. To jest bardzo piękny, przejmujący i starożytny, bo z IV wieku, gest. W ten sposób przed przyjęciem komunii mówię: Boże, nie patrz na moje grzechy bezpośrednio, patrz na nie przez pryzmat krzyża Chrystusa!

Nieprzejrzystość finansowa Kościoła rodzi wiele pytań i czasami niechęć do Kościoła.

Ludziom na przykład myli się taca z pensją księdza.

Dobrze jest więc ujawniać szczegółowe dane.

Są biedne parafie, choćby na wsi. Czy Księża jakoś je wspomagają?

To jest w gestii biskupa, nie naszej. Wspomniałem, że biskup ma fundusz na potrzebujących księży. Natomiast nie ma osobnego funduszu na biedniejsze parafie.

Abp Józef Życiński jako pierwszy biskup w Polsce publikował bilans roczny diecezji. To się jednak nie przyjęło. Czy Ksiądz taki bilans publikuje?

Wspomniałem, że pewnej niedzieli ogłosiłem, że za tydzień po niedzielnej mszy każdy może przyjść i obejrzeć księgi finansowe parafii. Ludzie niechętnie to robili. Pewno chcieliby wiedzieć, ile pieniędzy parafia ma, ale nie bardzo chcą słyszeć, jakie są wydatki. Bo jeżeli zobaczą, jakie są wydatki, zyskają świadomość, że my nie możemy właściwie nic zrobić z działalności duszpasterskiej, która wymaga funduszy. Wspominałem też o sponsorach, których znam i do których mogę się zwrócić – oni często są parafianami innych parafii, ale są na tyle majętni, że mogą dać na jakiś dobry czyn.

Prawo kościelne zobowiązuje, żeby w każdej parafii była rada ekonomiczna. Jak ona w Księdza parafii funkcjonuje?

Z radą ekonomiczną jest problem, bo trudno jest znaleźć ludzi, którzy chcieliby się na serio zająć przychodami i rozchodami parafii. Chętnie zatrudniłbym świeckiego księgowego za odpowiednią pensję, a nawet dodatkowo z premią 10 procent od pieniędzy zdobytych dla parafii. I takiego chętnego nie mogę znaleźć. Spotykamy się w miarę potrzeb, dlatego *ad hoc* w sprawach finansowych pytamy o radę ludzi z rady parafialnej, którzy mogą coś powiedzieć. Nie organizujemy natomiast sztucznie zebrań rady finansowej – o czym byśmy mieli rozmawiać? Ile znowu zebraliśmy na tacę? Doradca musi mieć kompetencje.

Ma Ksiądz w radzie parafialnej ekonomistów?

Mam na przykład byłego prezesa dużej firmy, który w różnych rzeczach się dobrze orientuje i czasem mi doradza.

Co doradza?

Gdy mamy jakiś remont, znajduje ludzi, którzy potrafią oszacować, czy kosztorys nie został zawyżony. Albo gdy podpisuję umowę prawną, jeden z członków rady parafialnej, który jest radcą prawnym, sprawdza, czy wszystko jest w porządku.

Dostaje za to honorarium?

Nie, to jest jego wkład w funkcjonowanie parafii.

Proszę jeszcze zdradzić, jaki procent z tych 8 tysięcy mieszkańców parafii pojawia się w niedzielę w kościele?

Obecnie, po pandemii, około 10 procent. © P Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

POŻEGNANIE

Ze smutkiem żegnamy

Andrzeja Dudzińskiego

wybitnego artystę, grafika, karykaturzystę, ilustratora,
twórcę ptaka Dudiego

Rodzinie i Bliskim składamy wyrazy współczucia

ZESPÓŁ MUZEUM KARYKATURY



Papież Franciszek podczas rekolekcji dla przywódców Sudanu Południowego ucałował ich stopy. Watykan, 11 kwietnia 2019 r.

Pielgrzymka do jądra ciemności

WOJCIECH JAGIELSKI

Papież spędzi cztery dni w stolicy Demokratycznej Republiki Konga i półtora dnia w stolicy Sudanu Południowego.

FRANCISZEK WYBIERA SIĘ W ODKŁADANĄ apostolską podróż do Afryki, ale szlak jego pielgrzymki wiedzie wprost do conradowskiego jądra ciemności, krajiny przemocy i grozy, gdzie jego wezwania do pokoju okazały się głosem wołającym na puszczy.

Historia grzechów głównych

Dzieje Konga, kolosa w samym centrum afrykańskiego kontynentu, przypominają mroczną przypowieść o zbrodni, wy-

zysku, niewoli, tyranii, a także chciwości, pysze i wszystkich grzechach głównych.

Pod koniec XIX w., gdy zachłanne europejskie mocarstwa dzieliły między siebie świat na podległe im kolonie, olbrzymie Kongo przypadło królowi małej Belgii, Leopoldowi, który przerobił je na prywatne łowisko, plantacje i kopalnię. Do niewolniczej pracy w nich zapędzeni zostali afrykańscy tubylcy. Według obrachunków amerykańskiego badacza Adama Hochschilda w kongijskim

folwarku Leopolda zginęło dziesięć milionów Kongijczyków, co piąty z mieszkańców zniewolonego kraju. Zbrodnie, jakich dopuszczali się nadzorcy na plantacjach, w kopalniach i faktoriach Leopolda, ujawnione przez europejskich podróżników, dziennikarzy i pisarzy (Joseph Conrad, Mark Twain), doprowadziły do tego, że belgijski król musiał pozbyć się Konga i sprzedać je Belgii na kolonię.

Jako niepodległe państwo Kongo powstało w 1960 r., gdy po II wojnie światowej kolonializm wyszedł z mody, a uznawszy go w dodatku za nieprzynoszący już zysku przeżytek, europejskie potęgi przyznawały swoim koloniom wolność. Wraz z wolnością przyszła do Konga wojna. Wojna o władzę, której Zachód nie chciał oddać wybranemu na premiera rewolucjonistę Patrice'owi Lumumbie, a także o bogactwo, bo natychmiast po ogłoszeniu niepodległości Konga secesję od reszty państwa ogłosiła zachęcana przez Zachód najbogatsza w surowce Katanga.

Wojennemu chaosowi pierwszego dziesięciolecia kres położył młody oficer Joseph-Désiré Mobutu, który dokonał wojskowego przewrotu i ogłosił się prezydentem. W podzielonym na nowo między Wschód i Zachód świecie Mobutu bez wahania stanął po zachodniej stronie, po czym, naśladując belgijskiego króla Leopolda, zaczął uważać Kongo, jego bogactwa i państwowy skarbiec za prywatną własność. Zmienił mu nazwę na Zair, a sam, nawołując do powrotu do afrykańskich korzeni, przezwiał się Mobutu Sese Seko. Panował ponad 30 lat, stając się uosobieniem kleptokracji, który plądrując własne państwo doprowadził je do całkowitego niemal upadku.

Wojna, wojna, wojna

Koniec rządów Mobutu położyło zbrojne powstanie, które wybuchło na wschodzie kraju i wkrótce przerodziło się w największą i najkrwawszą wojnę współczesnej Afryki. Początek wszystkiemu dała ludobójcza zbrodnia, jakiej w Rwandzie, wschodniej sąsiadce Konga, rządzący Hutu dopuścili się na Tutsi. Zajęci pogromami nie byli jednak w stanie stawić czoła partyzantom Tutsi, przybyłym z Ugandy na ratunek mordowanym rodakom. Tutsi przejęli władzę w Rwandzie, a winni ludobójstwa Hutu schronili się po kongijskiej stronie granicy, pędząc ze sobą kilka milionów uchodźców jako zakładników.

Mobutu przyjaźnił się z przywódcami Hutu i udzielił im schronienia, choć rwandyjscy Tutsi ostrzegali, że zbrodniarze chcą stworzyć na uchodźstwie nową armię i wrócić do Rwandy z nową wojną. W końcu, nie mogąc się doprosić Mobutu o interwencję, Rwandyjczycy skrzyknęli w partyzantkę Tutsi ze wschodniego Konga i udzielając im zbrojnego wsparcia, zachęcili do powstania. Partyzanci w ledwie pół roku przemierzali ogromne Kongo ze wschodu na zachód i w maju 1997 r. wkroczyli do porzuconej przez Mobutu stolicy, Kinszasę.

Ale powstańcemu przywódcy Laurentowi-Désiré Kabilu, umieszczonemu przez Rwandę u władzy w Kongu, wkrótce zamarzyła się niezależność, nie chciał jedynie spłacać długów wdzięczności dobrodziejom z sąsiedztwa. Rwanda wraz z Ugandą i Burundi wywołały więc na wschodzie Konga nowe powstanie, tym razem przeciwko Kabilu. Zanim w styczniu 2001 r. został zabity w zamachu, Kabila wezwał na pomoc sąsiadów i sojuszników z południa – Angolę, Namibię i Zimbabwę. Wkrótce w kongijską wojnę wmieszały się także Sudan, Republika Środkowoafrykańska, a nawet Czad. Zanim w 2003 r. dyplomatom z ONZ i Unii Afrykańskiej udało się ją przerwać, od kul, chorób i poniewierki zginęło cztery-pięć milionów ludzi.

Wierni i niewierni

Wojna przycichła, ale nigdy nie wygasła, zwłaszcza na kongijskim wschodzie. Rwanda, afrykańska Sparta, ilekroć miała pretensje do rządzących z Kinszasą, pod-

burzała kongijskich Tutsi do zbrojnych buntów. Partyzanci z Ruchu 23 Marca (M-23), którzy jesienią wznowili walki na wschodzie, prowadzą wojnę już od ponad dziesięciu lat. Chwytają za broń, jeśli Rwanda chce zmusić Kongo do ustępstw. Jesienią rządzącym w Kigali nie spodobało się, że Kongo próbuje zrównoważyć swoją zależność od Rwandy przyznaniami z Ugandą i Kenią. W grudniu w Kongu mają się odbyć wybory prezydenckie, w których pochodzący z zachodu kraju prezydent Félix Tshisekedi będzie bronił władzy, odebrać mu ją zaś spróbuje Joseph Kabila, który nastąpił po ojcu, rządził w latach 2001-19 i ma polityczną bazę na wschodzie.

Podczas pielgrzymki, pierwszej od podróży Jana Pawła II, który dwukrotnie – w 1980 i 1985 r. – był gościem Mobutu, Franciszek chciał odwiedzić Gomę, stolicę niespokojnego wschodu, ale gospodarze odradzili mu tę wyprawę jako zbyt niebezpieczną. Poza partyzantami M-23 na wschodzie Konga działa setka innych zbrojnych grup, w tym miejscowa filia Państwa Islamskiego, która od jesieni morduje chrześcijan i pali kościoły.

Chrześcijanie stanowią niemal całą, ponad stumilionową ludność Konga, a katolicy ponad połowę chrześcijan. Kongijczycy są najliczniejszą wspólnotą katolicką w całej Afryce, a Kościół katolicki postrzegany jest w Kongu jako obrońca uciśnionych. W upadłym państwie Mobutu chrześcijańskie misje przejęły w znacznej mierze opiekę nad chorymi i szkolnictwo, a duchowni ze zmarłym

przed półtora roku kardynałem Laurentem Monsengwo upominali się o prawa obywatelskie i demokrację.

Najmłodsi w Afryce

Sudan Południowy, najmłodsze państwo Afryki, do którego papież przyjedzie po wizycie w Kongu, zdaje się powtarzać los kongijskiego sąsiada. Niepodległość ogłosił w 2011 r., po trwającej pół wieku wojnie secesyjnej, którą afrykańskie i wyznające chrześcijaństwo ludy południa Sudanu wzniciły, by przeciwstawić się dominacji i prześladowaniom ze strony rządzących w Chartumie Arabów i mułmanów.

Zanim Chartum, zagrożony widmem bankructwa, zgodził się na początku stulecia na niepodległościowy plebiscyt i rozstanie z południem, w wojnie, w której Zachód i zachodnie kościoły wspierały powstańców, zginęło ponad dwa miliony ludzi.

Radość z wolności nie trwała jednak długo. Nie minęły bowiem dwa lata, a rywalizujący między sobą o pierwszeństwo niedawni przywódcy partyzanczy zrzucili się sobie do gardeł, by pozbyć się rywala i przejąć całą władzę dla siebie. W bratobójczej wojnie górą wciąż pozostaje Salva Kiir, wybrany w 2011 r. na pierwszego prezydenta (żadnych wyborów od tego czasu nie urządzano, przekładając w nieskończoność termin elekcji – ostatnio wyznaczono ją na koniec 2024 r.). Jego rodacy, Dinkowie, stanowią prawie połowę 13-milionowej ludności kraju i zapewniali prezydentowi przewagę w rywalizacji z jego wiceprezydentem, a jednocześnie nienawistnym wrogiem Riekiem Macharem i jego Nuerami (jedna szósta ludności).

W południowosudańskiej wojnie domowej w niespełna dziesięć lat zginęło ponad pół miliona ludzi, a wszystkie wojujące strony – poza głównymi wrogami walczą ich pomniejsi sprzymierzeńcy – dopuściły się wszystkich możliwych zbrodni. Mordowani są głównie cywile, gwałcone kobiety, równane z ziemią wioski, palone pola i spichlerze, zatrutowane studnie i wodopoje. Niedługo, walcząc o wolność, powstańcy z Południa skarżyli się, że Północ próbuje ich zagłodzić na śmierć. Dziś dawni powstańcy sami z upodobaniem stosują głód jako oręż w walce o władzę, a ich krwawe porachunki sprawiają, że najmłodsze państwo Afryki jest większym ciężarem dla życzliwych mu sąsiadów z Etiopii, Kenii i Ugandy niż w czasach, gdy walczyło o wolność. ©P

Błaganie o pokój

W NOWOROCZNYM

przemówieniu do korpusu dyplomatycznego Franciszek przyznał, że z pielgrzymką do Demokratycznej Republiki Konga (od 31 stycznia do 4 lutego) wiąże nadzieję, „iż ustanie przemoc na wschodzie kraju i że zwycięży droga dialogu i wola pracy na rzecz bezpieczeństwa i dobra wspólnego”. Podobnie myśli o wizycie w Sudanie Południowym (4-5 luty)

– on i towarzyszący mu abp Justin Welby z Kościoła anglikańskiego oraz pastor Iain Greenshields z Kościoła prezbiteriańskiego „chcą przyłączyć się do wołania ludzi o pokój i przyczynić się do procesu pojednania narodowego”. Wraz z honorowym zwierzchnikiem anglikanizmu od jakiegoś czasu papież próbuje mediuować między skłóconymi prezydentem i wiceprezydentem

Sudanu Południowego. Jest do tego stopnia zdeteminowany, że podczas ich wizyty w Watykanie w 2019 r. uklęknął przed politykami, ucałował ich stopy i namawiał do zawarcia pokoju. Program pielgrzymki przewiduje m.in. spotkanie w Kinszasie z ofiarami konfliktu na wschodzie Konga, a w Dżubie z wewnętrznymi uchodźcami Sudanu Południowego. ©P ASK

Przecież tego nie skuja

KAROL KLECZKA

Co zrobić z obecnymi w przestrzeni sakralnej dziełami artysty oskarżonego o przestępstwa seksualne?

CZY MOŻNA ZAPRASZAĆ NA ADORACJĘ Najświętszego Sakramentu osoby wykorzystane seksualnie do kościoła, którego ściany udekorowane są mozaikami wykonanymi przez artystę oskarżonego o gwałcenie zakonnic? Przed takim pytaniem stanęli świeccy zaangażowani w inicjatywę Modlitwa za Zranionych. Chodzi o comiesięczną adorację w Sanktuarium św. Jana Pawła II w Krakowie, którego górny kościół pokryty jest mozaikami słoweńskiego jezuity Marko Rupnika. W grudniu 2022 r. włoskie konserwatywne serwisy informacyjne opublikowały przeciek z dochodzenia Kongregacji Nauki Wiary, prowadzonego w sprawie Rupnika przez kilka lat. Okazało się, że zakonnik już w 2015 r. zaciągnął na siebie ekskomunikę, rozgrzeszając zakonnicę, którą wcześniej zmusił do współżycia, a to było tylko jedno z jego wielu przestępstw.

W maju 2022 r. pisałem na tych łamach o podobnym problemie dotyczącym sprawy dominikanina André Gouzes'a, autora popularnych kompozycji sakralnych, oskarżonego o wykorzystywanie seksualne nieletnich. Dominikański Ośrodek Liturgiczny zasugerował wtedy, by do czasu rozstrzygnięcia winy współbrata powstrzymać się od wykonywania jego utworów podczas liturgii. O ile jednak odstawienie śpiewnika na półkę nie jest trudne, o tyle kwestia Rupnika dotyczy potężnych mozaik, które znajdują się w ponad 220 obiektach sakralnych na całym świecie, w tym kilku w Polsce. Trudno wyobrazić sobie proboszczów, którzy masowo je skuja. Jednak obecność takich mozaik w świątyniach może być odczytana jako usprawiedliwianie dla wizji artysty-przestępcy. Co więc z nimi zrobić?

To pytanie o relację między życiem moralnym artysty a jego dziełem – i o to, czy z tej relacji cokolwiek wynika.

Nowy Michał Anioł

Pochodzący ze Słowenii jezuita zyskał sławę w 1999 r. po wykonaniu mozaiki w papieskiej kaplicy Redemptoris Mater w Watykanie. Pierwotnie dekoracje w kaplicy miał za aprobatą Jana Pawła II zrobić prawosławny artysta Aleksander Kornouchow. Dzieła dokończył jednak – skuwając fragmenty pierwotnego projektu – Marko Rupnik, któremu powierzono to zadanie za wstawiennictwem jego zakonnego protektora i przyjaciela, późniejszego kardynała Tomáša Špidlíka. Podsycana przez artystę legenda głosi, że sam Jan Paweł II nakłaniał go do tej pracy, a gdy usłyszał sprzeciw Rupnika, odparł, że kiedy Michała Anioła proszono o wykonanie polichromii Kaplicy Sykstyńskiej, też nie chciał przyjąć zlecenia, tłumacząc, że jest rzeźbiarzem.

– Rupnik przez lata pieczołowicie buduje swój wizerunek – ocenia dominikanin o. Tomasz Biłka, malarz, grafik, opiekun Wspólnoty Twórców Chrześcijańskich Vera Icon. – Jego dzieło ma być odpowiedzią na posoborowe pragnienie powrotu do pierwotnego chrześcijaństwa i odnalezienia nowego kościelnego stylu w sztuce, którego brak po baroku – wobec nieufności Kościoła do modernizmu i jednoczesnej skłonności do sentymentalnego realizmu, który miał odpowiadać potrzebom klasy robotniczej. Język sztuki Rupnika stanowi jednak tylko pozorną odnowę. Kiczowaty sentymentalizm i blichtr kolorów odpowiadają wier-nym nawykłom do sztuki masowej, ale to niewyczerpane złoza kanonu ikonograficznego umożliwiają Rupnikowi snucie teologicznych opowieści. Właśnie na ikonografii będzie on pasożytniczy – przekonuje dominikanin.

Uczeń Špidlíka zostaje mianowany nadwornym artystą Watykanu, zaś wehikułem do wdrażania jego pomysłów staje się Centrum Aletti, powstałe z inicjatywy Rupnika i Špidlíka – w zamy-

śle miejsce spotkania chrześcijaństwa Wschodu i Zachodu w kontekście sztuki. Mozaiki z Aletti trafiają do sanktuariów w Lourdes, Fatimie, San Giovanni Rotondo czy Aparecidzie. W Polsce można je zobaczyć oprócz Krakowa także w Częstochowie, Katowicach, Szczecinku i Tarnowskich Górach.

Ekskomunikowany na ambonie

Medialne doniesienia z grudnia 2022 r. wskazują jednak, że od początku lat 90. Rupnik dopuszczał się molestowania zakonnic, pełniąc funkcję kapelana i przewodnika duchowego. O pierwszych przypadkach jezuita mieli wiedzieć jeszcze przed zleceniem artyście prac w Watykanie i dotyczyły siostry Anny z prowadzonej przez Rupnika Wspólnoty Loyoli (późniejsze zeznania ujawniły, że Rupnik miał skrzywdzić co najmniej dziewięć zakonnic). Špidlík bagatelizował sprawę, nakłaniając jedną z pokrzywdzonych do zrezygnowania ze ślubów zakonnych, a przełożona wykorzystywanej seksualnie zakonnicę przekonywała jej rodzinę, że ta choruje na schizofrenię.

Kolejne osoby Rupnik molestował oraz krzywdził psychicznie już w Rzymie jako szef Centrum Aletti. Za rozgrzeszenie jednej z wykorzystanych nowicjuszek zaciągnął na siebie w 2015 r. ekskomunikę *laetiae sententiae*. Dochodzenie prowadzone w tej sprawie trwało od października 2018 r., a w maju 2020 r. Kongregacja potwierdziła fakt ekskomunikacji – w tym samym miesiącu ją zdjęła po przyznaniu się Rupnika do winy i przyjęciu pokuty. Zaskakujące, że w marcu 2020 r. – gdy jeszcze toczyło się przeciw niemu postępowanie – głosił wielkopostne kazania dla papieża Franciszka.

Na Rupnika nałożono szereg kar, które nie były zbyt pilnie egzekwowane, skoro przez cały ten czas prowadził działalność duszpasterską i artystyczną. Kolejne dochodzenie toczyło się w latach 2021-2022 i stanowiło powrót do spraw z lat 90. ze Wspólnoty Loyoli. Dziewięć zranionych kobiet złożyło zeznania, proces karny jednak nie odbył się z uwagi na przedawnienie przestępstwa, choć kongregacja miała prawo je zawiesić. Sposób, w jaki jezuita przez lata obchodził się ze słynnym współbratem, urąga zasadzie zera tolerancji dla przestępstw seksualnych: charakteryzuje się lekceważeniem świadectw ofiar, prowadzeniem śledztw przez znajomych i pozornością kar.





Marko Ivan Rupnik w pracowni „Aletti” podczas pracy nad mozaiką na fasadę bazyliki w Lourdes. Rzym, 2007 r.

Gdyby Akwinata mógł przemówić

– Perspektywa skrzywdzonych rodzi potrzebę jakiegoś oznaczenia dzieła Rupnika, aby było jasne, że Kościół, sankcjonując jego obecność w świątyni, nie usprawiedliwia przestępczych działań twórcy – przekonuje o. Biłka.

Pierwsze takie działania widzimy w Polsce w Szczecinku, gdzie parafia św. Krzysztofa wystosowała oświadczenie w sprawie prac słoweńskiego jezuitę w tamtejszej świątyni. „Współczujemy wszystkim skrzywdzonym przez duchownego. W modlitwie przed Bogiem prosimy o naprawę powstałego zła i zalecenie ran tych, którzy zostali dotknięci cierpieniem” – czytamy w koszalińsko-kołobrzesckim „Gościu Niedzielnym”. Autorzy oświadczenia zwracają uwagę, że zlecając prace Rupnikowi nie wiedzieli tego, czego dowiedzieliśmy się w grudniu. W podobnym tonie wypowiada się salwatorianin ks. Krzysztof Wons, dyrektor Centrum Formacji Duchowej w Krakowie, gdzie Rupnik prowadził konferencje.

– Bliskie jest mi stanowisko św. Tomasza z Akwinu, który w kwestii etyczności dzieła sztuki wypowiada się w sposób z pewnością zaskakujący dla dzisiejszego odbiorcy – zauważa o. Tomasz Biłka. – Stwierdza on bowiem, że celem moralnego działania człowieka jest jego własne dobro (*bonum operantis*), zaś ce-

lem dzieła sztuki jest dobro dzieła (*bonum operis*), czyli jak najlepsze jego wykonanie. Powie zatem, że „od sztuki nie wymaga się, aby artysta był moralny, lecz aby tworzył dobre dzieła”, w przeciwnym wypadku tylko święci mogliby malować świętych. Jakkolwiek z kwestii o charyzmatach jasno wynika, że na owocność dzieła wpływa współpraca z łaską, to jednak życie moralne nie warunkuje tworzenia takiej sztuki.

Dominikanin odwołuje się do fragmentu Ewangelii o odrzuconych, którzy zdziwieni powiedzą: „Panie, Panie, czy nie prorokowaliśmy mocą twego imienia?” (Mt 7, 22). – To ci wszyscy, którzy myślą, że sam dar przepowiadania, choćby przez sztukę, będzie dla nich wystarczającym powodem usprawiedliwienia. Gdyby więc Akwinata miał oceniać dzieło Rupnika, z pewnością krytykowałby je z powodu wątpliwej wartości artystycznej, a nie przestępstw, które obciążają twórcę mozaik.

Pozostaje pytanie: czy znajdujemy jakiś ślad seksualnych dewiacji teologicznych Rupnika w jego mozaikach?

O. Biłka odpowiada: – Bardziej niż doszukiwanie się spaczenia seksualnego, dzieło Rupnika cechuje chaos kompozycyjny i kolorystyczny; użycie niejednokrotnie tanich materiałów (kamyczki malowane złotą farbą), które dają efekt

sztuczności i tandety; zły rysunek postaci i rażący schematyzm oczu, który sprawia, że zatraca się osobowość poszczególnych świętych, postaci zaś wyglądają jak fantomy obcego.

Nowy ikonoklazm

Pytania o dalsze losy mozaik Rupnika błyskawicznie się pojawiły. Tomasz Terlikowski w komentarzu dla Onet.pl wprost zastanawia się, czy powinny pozostać na swoim miejscu. „Tak, wiem, że warto oddzielać twórcę od sztuki, ale w przypadku sztuki sakralnej, inspirowanej ikoną, niekoniecznie jest to możliwe. Tak się bowiem składa, że Rupnik w swoich freskach przekazywał swoją teologię, a ta służyła za usprawiedliwienie przemocy seksualnej. Jeśli ktoś w seksie grupowym widzi obraz Trójcy Świętej, niekoniecznie powinien malować obrazy sakralne, bo zawarta w nich treść jest sprzeczna z tym, czym jest Ewangelia” – pisze publicysta.

– Nie znajduję w tych mozaikach tego, co wydaje się znaleźć redaktor Terlikowski we „freskach” Rupnika. Choć przyznaję, że nie znam jego wszystkich realizacji. Ważne z kolei wydaje mi się postawienie pytania, czy obecna kultura wymazywania nie stanowi przejawu nowego ikonoklazmu. Uważamy, że jeśli sam artysta jest przestępcą, to również jego wizja jest duchowo czy moralnie skażona – twierdzi o. Biłka.

Dominikanin argumentuje: – W postsekularnym, odczarowanym świecie wcale nie znikło pragnienie *sacrum*. Być może jest ono nawet bardziej dojmujące. Dzieło sztuki ma dla nas wciąż jeszcze aurę „świętości” i mam tu na myśli nie tylko sztukę sakralną. Uważamy na przykład, że dzieło van Gogha musi być naznaczone jako jego cierpieniem, ale też geniuszem. Czytamy obrazy nie tyle poprzez ich wizualność, nawet nie poprzez temat, co poprzez biografię twórcy. Skoro więc twórca okazuje się być przestępcą, dzieło sztuki musi być siłą rzeczy „skażone” złem swego kreatora. Tak powraca mityczne rozumienie obrazu, który (co nowe) jest obrazem bardziej twórcy niż przedstawionej rzeczywistości. Subiektywizacja dzieła, myślenie o sztuce w kategoriach osobistej ekspresji, świętości lub demoniczności, prowadzi do dzisiejszego ikonodulstwa i ikonoklazmu, które stanowią awers i rewers tej samej monety. To myślenie przenika od romantyzmu także do katolickiej teologii.

→ Zdaniem o. Biłki wyrazistym przykładem tego dualistycznego myślenia o sztuce jest fragment słynnego „Listu do artystów” Jana Pawła II z 1999 r.

– Papież na początku punktu drugiego przywołuje odrębność ludzkiej twórczości i moralności, ale błyskawicznie wiąże je ze sobą. Nawet jeśli tworząc dzieło, jak chce papież, „artysta wyraża samego siebie do tego stopnia, że jego twórczość stanowi szczególne odzwierciedlenie jego istoty – tego kim jest i jaki jest”, to poprzez dzieło Rupnika objawia się co najwyżej jego własna banalność. Być może ona właśnie stanowi najstraszniejszą – bo powszechną coraz bardziej – wersję zła – ocenia o. Biłka.

Pedofil w Westminsterze

Czesław Miłosz, odpowiadając Janowi Pawłowi II na tych łamach w tekście „List i jego odbiorcy”, podkreśla, że papież umoralniając sztukę, przemilcza jej możliwą diabelskość. „Artyści kończącego się stulecia mieli bez ustanku do czynienia, i to również w sobie samych, z podszeptami sztuki demonicznej. Ich fascynacja złem i cierpieniem poszła tak daleko, że uznali je, pod wpływem nauk przyrodniczych, za prawo ziemi, za prawdziwe oblicze Ducha Ziemi. Diabelski grymas stał się cechą wybitnych dzieł, tak że wielu naszych współczesnych dopatruje się w tych dziełach oznak opętania, wzywających egzorcysty” – podkreśla poeta.

– Idealistyczna wizja Jana Pawła II nie uwzględnia ani buntu artysty wobec Boga, ani możliwej nieprawidłowości moralnej twórcy dzieła – twierdzi o. Biłka, podążając za Miłoszem. – Kościół oczekuje sztuki autentycznej, ale uznaje, że źródłowo będzie ona miała swoje rozpoznanie religijne. Jak to zmierzyć? Istnieje przecież sztuka, która nawet jeśli nie czerpie ze „zła”, to porusza się w pustce symulaków. To dzisiaj główny grzech sztuki kościelnej. Papieskie orędzie omija te problemy. Możemy zastanawiać się nad moralnością artysty, ale ostatecznie o kryteriach dopuszczenia bądź niedopuszczenia dzieła do przestrzeni sakralnej powinna decydować ocena formalna dzieła – argumentuje.

W dyskusjach nad sztuką sakralną tworzoną przez niemoralnych artystów jednym z najczęstszych przykładów jest morderca i „najsłynniejszy malarz Rzymu”, Caravaggio. Ojciec Biłki podkreśla jednak, że takich świadectw jest więcej.

Lekceważenie świadectw ofiar, prowadzenie śledztw przez przychylnych zakonników, pozorność kar – tak jezuici obchodzili się ze słynnym współbratem.

To urąga zasadzie zero tolerancji dla przestępstw.

Szczególnie interesująca jest stosunkowo niedawna historia brytyjskiego rzeźbiarza Erica Gilla (1882-1940), pioniera ożywiania tradycji średniowiecznej rzeźby, autora m.in. monumentalnego posągu Ariela i Prospera znajdującego się nad wejściem do siedziby BBC. Jeden z najwybitniejszych artystów angielskich znany jest również z głośnego nawrócenia. Dominikański tercjarz w latach 20. XX wieku wraz z rodziną i przyjaciółmi założył artystyczną wspólnotę, skupioną na związku sztuki i duchowości. Szczegółem jego twórczości sakralnej jest zaprojektowana dla katedry Westminsterskiej monumentalna droga krzyżowa.

W 1989 r. ukazała się biografia Gilla autorstwa Fiony MacCarthy, która udowodniła, że w latach religijnego przebudzenia artysta regularnie molestował seksualnie swoje córki, żył w kazirodczej relacji z siostrami, a nawet dopuszczał się zoofilii.

– To bez wątpienia mroczna postać. O ile jednak dzieła Rupnika są po prostu słabe formalnie, tutaj niewątpliwie mamy do czynienia z wybitnym artystą, choć wprowadzenie erotyzmu do dzieł sakralnych sprawia, że stają się one dwuznaczne – twierdzi o. Biłka i zwraca uwagę na drugą stację drogi krzyżowej, w której Jezus biorąc krzyż na swoje ramiona, kieruje swoją rękę w stronę krocza jednego ze swych oprawców. – Można zatem domniemywać, o jakim krzyżu Gill myślał.

W 2017 r. w Ditchling, gdzie znajduje się cenione Museum of Art & Craft (Muzeum Sztuki i Rzemiosła), miała miejsce wystawa „Eric Gill: The Body”. Celem ekspozycji było przedstawienie życiorysu Gilla z wyeksponowaniem jego uwikłania w przemoc seksualną, co samo w sobie wywoływało sprzeciw społeczny. Jeszcze kilka lat wcześniej w Wielkiej Brytanii powstała komisja postulująca usu-

nięcie westminsterskiej drogi krzyżowej oraz innych dzieł sakralnych Gilla. Większość galerii usunęła również prace Gilla ze swoich kolekcji, lecz Ditchling było wyjątkiem – prawdopodobnie dlatego, że muzeum powstało na miejscu dawnej pracowni artysty.

Dyrektor muzeum Nathaniel Hepburn zdecydował się na taką ekspozycję w celu ukazania złożoności życiorysu artysty, ale także swego rodzaju wyegzorcyzmowania jego prac. Wystawę poprzedziła seria warsztatów skierowanych dla kuratorów, muzealników, ludzi sztuki i nauki poświęconych życiu artysty z naciskiem na perspektywę osób skrzywdzonych seksualnie. Hepburn podkreśla, że wpłynęło to choćby na używany przez muzealników język: zaczęli wystrzegać się mówienia o „ofiarach” lub „ocalałych”, zastępując te zwroty „osobami, które doświadczyły przemocy”.

Piękno zwodnicze

O. Tomasz Biłka twierdzi, że nasze podejście do sztuki, zwłaszcza tej dawnej, jest idealistyczne.

– Stefan Chwin w eseju „Zwodnicze piękno” opisuje Kościół średniowiecza i napięcie w nim obecne. Píše, że „gotyckie piękno miało swój ukryty rewers; że jego podstawą była tortura niewolnictwa, udręczenie ludzi, z których darmo-wej pracy szły pieniądze na wyrafinowany ornament portali, rozet i witraży, łuków, fiali i tryptyków”. Całe to potężne, systemowe zło nie dewaluowało jednak dzieł artystycznych – ocenia dominikanin. – Możemy tęsknić za dawnymi mistrzami, którzy – jak pisze Herbert – „obywali się bez imion”. I doprawdy nikła pociecha z infamii, którą nakładamy na niedysyjszych „bogów”.

Czy dzieła słabe pod względem formalnym są odzwierciedleniem jakiegoś chaosu w duszy artysty? Nic za tym nie przemawia. Może zatem podejście takie, jak w przypadku prac Gilla, oparte na szerokiej edukacji i publicznej dyskusji nad biografią artysty, informowaniem o niej w miejscach ekspozycji, jest rozwiązaniem lepszym, dającym fundament trwalszy niż prosta cenzura?

A inicjatywa Modlitwa za Zranionych zdecydowała się przenieść comiesięczną adorację do kaplicy Najświętszego Serca Pana Jezusa w dolnym kościele Sanktuarium św. Jana Pawła II w Krakowie.

ZUZANNA

Radzik:

Na przekór wytrwałości



ZREZYGNOWAŁA. TAK PO PROSTU. OŚWIADECYŁA, że nie starczy jej na to baterii. Nie ma siły na zaangażowanie, którego wymaga kampania wyborcza i kierowanie krajem. Jeszcze wiele miesięcy do wyborów, partia ma czas na rekonfigurację i zastąpienie charzmatycznej premierki nową twarzą. „Odchodzę, bo z tak uprzywilejowaną pozycją wiąże się odpowiedzialność. Odpowiedzialność za to, by wiedzieć, kiedy jesteś odpowiednią osobą, żeby przewodzić, a kiedy nie. Wiem, ile wymaga ta praca. I wiem, że nie mam wystarczająco dużo benzyny w baku, by oddać jej wymaganiom sprawiedliwość. To jest tak proste”.

Tak proste, że włącza się obserwatorom podejrzliwość, czy nie chodzi o coś innego. Że może się przed czymś uchyla, przeskrobała coś, co zaraz wypłynie. Przed czymś ucieka. Może przed porażką w kolejnych wyborach? Przecież nie odchodzi się tak po prostu z takiej pracy! Można trwać i przegrać, ale zrezygnować?

Jacinda Ardern, bo oczywiście o niej mowa, ma dopiero czterdzieści dwa lata, przez ostatnich pięć lat rządziła niewielką Nową Zelandią. Jej styl premierowania uczynił z niej światową ikonę feministek i centrolewicy. Gabinet, który powołała, był najbardziej zróżnicowanym w historii polityki na wyspie, ze sporą reprezentacją kobiet, Maorysów i społeczności LGBTQ. Świat obiegły zdjęcia ze zgromadzenia ONZ, na którym pojawiła się jakby nigdy nic z córką, urodzoną zresztą już po objęciu rządów. Jest dopiero drugą w nowoczesnej historii polityczką rodzącą w czasie sprawowania władzy. Premierka na macierzyńskim? Polityczka z becikiem, karmiąca matką i przywódczyni państwa na międzynarodowym szczycie? Pracujące matki rozpoznały się w tym obrazie łączenia pracy i macierzyństwa wniesionym na salony wielkiej polityki.

Ale poza tym nie było różowo. Ardern trafiła na kadencję pełną kryzysów. Przeprowadziła kraj przez żałobę po zamachu terrorystycznym na meczet (zginęło 49 muzułmanów), a jej rząd przeforsował zakaz posiadania broni półautomatycznej. Parę mie-

sięcy później wybuch wulkanu zabił kilkudziesięciu turystów, a potem trzeba było kierować wyspiarskim krajem w czasie pandemii. Podejmowała szybkie i zdecydowane decyzje, tworząc własny wizerunek nowoczesnej przywódczyni.

To jest ta słoneczna strona jej politycznej kariery. Jednocześnie jej styl rządzenia miał swoje koszty. Stając się globalną ikoną progresywnej polityki, ściągnęła na siebie lokalny i globalny hejt. Wskutek twardych decyzji w czasie pandemii zwróciła na nią uwagę brać antyszczepionkowców. Skala nienawiści wyrażanej pod jej kierunkiem w internecie była tak wielka, że była premier Nowej Zelandii Helen Clark w oświadczeniu zadała społeczeństwu pytanie, czy godzi się na rosnącą polaryzację, która sprawia, że uprawianie polityki staje się nieatrakcyjnym powołaniem: „Presja na premierów jest zawsze wielka, ale w erze mediów społecznościowych, clickbaitu i medialnego cyklu 24/7, Jacinda zmierzyła się z poziomem nienawiści, który według mojego doświadczenia nie miał dotąd miejsca w naszym kraju”. Podobno kampania przeciw Ardern charakteryzuje się niespotykanym dotąd w nowozelandzkiej polityce poziomem mizoginii, nienawiści, wezwań do przemocy i wieszania polityków.

Ardern, rezygnując, obiecała córce, której całe życie upłynęło z mamą jako premierką, że teraz już będzie miała dla niej czas i będzie z nią w ważnych momentach. A o swojej rezygnacji mówiła jeszcze: „Jedyną interesującą perspektywą mojej rezygnacji jest to, że po sześciu latach wielkich wyzwań jestem człowiekiem, politycy są ludźmi. Dajemy, ile możemy, tak długo, jak możemy. A potem nadchodzi czas. Dla mnie nadszedł ten czas”.

Słabość zatem, bycie człowiekiem czy, jak piszą niektórzy, „kolejna lekcja przywództwa” w wykonaniu Jacindy Ardern, jeszcze przez parę dni premier Nowej Zelandii? Niby czemu lekcja? Bo świat uparcie premiuje nieustępliwość i wytrwałość. Rezygnacja, odchodzenie, oddawanie – to nie są wartości, które chwalimy. Męczy nas trzydziestoletnia dominacja tych samych polityków, ale na nagłówki gazet wrzucamy ze zdziwieniem jej odejście po pięciu latach. Promowanie wytrwałości sprawia, że umiemy sobie raczej wyobrazić szlachetne trwanie, niż zachwalać wyczucie odejścia w odpowiednim momencie. Rezygnacja często oznacza utratę części tożsamości, zainwestowanego czasu czy pieniędzy. Im więcej włożyliśmy, tym trudniej opuścić. Nie pomaga też ponoć w rezygnacji optymistyczne podejście do życia.

Trudne, ale to kawałek sztuki życia, którego opanowanie może pomóc uniknąć zmarnowanego czasu, wypalenia, strat finansowych. Lekcja warta zauważenia. Nie tylko przez polityków. ©

TYGODNIK
POWSZECHNY

Zapraszamy na kawkę...

...oraz na rozmowę, zwiedzanie naszej siedziby, studia podkastowego, a także okolicy – z przewodnikami i przewodniczkami z naszej redakcji.

Zapraszamy do wzięcia udziału w naszej aukcji na rzecz **Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy** i do wylicytowania fascynującej podróży po Tygodnikowych przestrzeniach. Aukcja trwa do 9 lutego 2023.

Szczegóły pod adresem powszech.net/kawka

Na zdjęciu Grażyna Makary, szefowej działu foto – Marcin Żyła, reporter, zastępcą redaktora naczelnego, oraz Iguasu.





ROASTED UGANDA

Wyobrażam sobie moją pierwszą powojenną książkę.
Ona będzie o wszystkim, tylko nie o autach. Po wojnie w ogóle kupię sobie rower
i nie będę nawet patrzył na auta. I będę pisał dużo, nadrabiając pauzę
wymuszoną przez wojnę.

ANDRIJ LUBKA



CARL COURT / GETTY IMAGES

Chwila odpoczynku na linii frontu, około 150 m od pozycji wroga. W obwodzie zaporoskim, październik 2022 r.

„Roasted Uganda”. Rzecz bardziej na Instagram niż na front.

Jednak ona wykonywała całkiem obronną funkcję, choć pomagała chronić nie ciało, lecz to, co jest ważniejsze od ciała. Ludzkie w człowieku. Wcześniej, gdy pisałem wiersze, nazwałbym tę dziwną substancję duszą, a teraz niech będzie psychiką. Ta kawa pomagała chronić psychikę, bo tworzyła poczucie, że nie jesteś po prostu kawałkiem mięsa, celem dla snajperów i bomb, lecz człowiekiem. Człowiekiem ze swoimi gustami, upodobaniami i nawykami.

Espresso pod Słowiańskiem

Dobrze pamiętam ten ranek. Początek maja, kiedy noce były jeszcze chłodne, ale o świcie powietrze szybko nabierało ciepła i zapachów. Wieś gdzieś za Słowiańskiem w Donbasie. Wieś, gdzie obecnie wojskowych jest znacznie więcej niż mieszkańców. Mieszkańcy w większości wyjechali, bo niemal codziennie ostrzeliwują tę okolicę, nocą nie da się zasnąć od wybuchów. A tak poza tym, w nocy słychać je lepiej, nabierają głębi i złowieszczą roznoszą się w ciemnej ciszy, jak cudze bicie serca.

Tamtego razu nasza grupa wolontariacka przyjechała do punktu dyslokacji oddziału wojskowego zbyt późno. Długo nas sprawdzali na posterunkach, droga była trudna, z powodu braku zasięgu trochę błądziliśmy po nieznanym drogach, dlatego przybyliśmy na miejsce w momencie, gdy jeszcze nie było ciemno, ale już miało się ochotę włączyć światło. To oznaczało, że byliśmy zmuszeni nocować z wojskowymi – nie da się w nocy wyjechać z takich miejsc z powodu maskowania. Mapy online nie działają, okolicy nie znamy, włączanie świateł jest zabronione. Dlatego zostaliśmy na noc.

A kiedy po krótkim i trwożnym śnie, przerywanym dźwiękami bliższych i dalszych wybuchów, obudziliśmy się, trzeba było szybko wyjeżdżać do następnego punktu. Jednak mój przyjaciel, który po 24 lutego włożył wojskowy mundur i teraz służył w tym oddziale, zatrzymał nas: poczekajcie, mówił, zaraz zaparzę kawę. Prądu nie było, dlatego włączył agregat zasilany dieslem, podłączył do niego nieduży ekspres do kawy, nalał wody, a wtedy z pu-

dełka, które mu wczoraj przywiozłem, wyciągnął paczkę kawy. „Roasted Uganda” – było na niej napisane. Wsypał do ekspresu i już po minucie majowe poranne powietrze zapachniało doborową arabiką.

Myślę, że mniej więcej tak pisana była Biblia. Kiedy Jezus zaczął dzielić rybę i chleb wśród ludzi, oni musieli zdziwić się nie mniej. Bo to było jakieś dziwo, by w jednym z najgorszych miejsc na świecie, gdzieś pod Słowiańskiem w Donbasie, w środku wojny, otrzymać metalowy kubek z idealnie przygotowanym espresso. Możliwe, że była to najsmaczniejsza kawa, jaką wypilem w swoim życiu. Brzmi banalnie, ale co zrobisz, skoro właśnie tak było.

Widząc nasze zdziwienie, mój przyjaciel zrobił teatralną pauzę, a wtedy odpowiedział na pytanie, którego nikt nie odważył się zadać na głos: „No co? Może dzisiaj zginę, więc czemu miałby to być dzień, gdy nie wypilem swojej tradycyjnej porządnej, porannej kawy? Niech spierdalają, nie mam zamiaru rezygnować z kawy. Żaden putin [pisownia oryginalna – red.] tego nie zmieni. Przywykłem pić poranne, smaczne espresso. Chyba mam do tego prawo?!”.

Aby pozostać sobą

Później jeździłem do innych oddziałów wojskowych czternaście razy: na północ, na południe i na wschód; pod rosyjską granicę na Charkowszczyźnie, na wyzwolone terytoria ukraińskiego wybrzeża Morza Czarnego nieopodal Chersonia i do Donbasu, którego nie wiem, czy nie znam już lepiej od mojego rodzimego Zakarpacia. Jednym słowem, w ciągu tych miesięcy wiele widziałem, słyszałem i przeżyłem, ale ta fraza wryła mi się w pamięć. Bo w niej odbija się coś ważniejszego od geopolityki, teatru działań zbrojnych i pasków informacyjnych.

Wyobraź sobie człowieka, który do 24 lutego był absolutnym cywilem, może nawet uśpionym pacyfistą, a po rozpoczęciu inwazji na pełną skalę znalazł się na froncie. W jego życiu zmieniło się wszystko – został oderwany od domu i rodziny, swojej pracy i kręgu znajomych, codziennego życia i planów na przyszłość, ubrany w mundur maskujący, który pomaga zlewać się z milionem innych wojskowych, a także z otaczającą go przyrodą. Taki człowiek, choćby zakuty w najgrubszy pancerz, nagle okazuje się goły aż do kości. Nie ma niczego, co

ZE WSZYSTKICH RZECZY, KTÓRE WZIŁEM ukraińskim wojskowym na front, najważniejszą była paczka kawy. Kilogramowy pakunek świeżo palonej kawy z pewnej hipsterskiej kawiarni-palarni w centrum Użhorodu, stolicy obwodu zakarpackiego. Prostkątny i błyszczący ze stylową naklejką



→ tworzyłoby właśnie jego, nie ma swojego mięsa ani krwi. Wszystko to służy wspólnemu, powszechnemu celowi.

Wówczas otwiera się jeszcze jedna wojna – o prawo, aby być sobą, posiadać własne gusta i za ogromną cenę utrzymywać swoje codzienne rutynowe nawyki. W końcu pić ulubioną kawę rano to jakby znaleźć się w domu i spędzić czas ze swoją rodziną. Pobyć sobą. Bodaj trzy minuty na dzień, które masz na ogólne cele, nie dla państwa, tylko dla siebie. Fraza mojego przyjaciela o fundamentalnym prawie człowieka do ochrony swojej indywidualności, własnego oblicza, prawie do bycia nie tylko je d n y m z miliona ukraińskich wojskowych, którzy bronią rodzimej ziemi, ale też pozostawia ją je d n y m. Jedynym takim.

Taksówką na front

Tak, to jeszcze jedna wojna – niewidzialna wojna o swój prywatny czas. Od dziesiątków żołnierzy słyszałem, że podczas wart w okopach i ziemiankach dużo czytają. Szczególnie te książki, które pominęli na uniwersytecie, a także światowe bestsellery z marketingu i historii imperiów biznesowych. Czytają, bo w taki sposób mają poczucie, że nie marnują tych dni, tylko wykorzystują dla własnego rozwoju. Bo wojna kradnie nam wszystko, ale – może – w pierwszej kolejności kradnie nasz czas, nasze produktywność, lata, okres, który określa się idiomem „w kwiecie wieku”. Kradnie

bezpownotnie. Co więc ma robić cywil, gdy znajdzie się w okopach, jeśli nie próbować złapać tego czasu za ogon, oderwać kawałek też dla swojego – cywilnego – życia? Dlatego uczą się na froncie języka niemieckiego na smartfonie za pomocą Duolingo, czytają historię powstania korporacji IKEA czy tuż przy polu boju biorą lekcje nauki jazdy. Czytają i uczą się, żeby czas nie wydawał się zmarnowanym. Tak, wiem, że to oszukiwanie siebie, ale pomaga ono człowiekowi to wytrzymać.

Może właśnie z powodu tej wiedzy jeżdżę do naszych wojskowych na front. Wszystko zaczęło się w kwietniu, gdy mój przyjaciel – wczoraj cywilny, a teraz wojskowy – zadzwonił i podczas rozmowy wygadał się, że jego oddziałowi najbardziej potrzebny jest samochód z napędem na cztery koła. Rzecz w tym, że po rozpoczęciu wojny ukraińska armia urosła siedmiokrotnie. Żołnierzy zwerbowali, wydali im mundury i karabiny, ale z pojazdów mieli chyba tylko jakieś wielkie ciężarówki i stare autobusy, natomiast transportu osobowego i pasażerskiego nie ma.

Dam taki przykład. Nowo stworzony oddział z mojego rodzinnego Użhorodu na początku marca wysłali do Donbasu. No i ten oddział – jak już powiedziano: nowo stworzony – nie miał zupełnie żadnego transportu. Wojskowym wydano stary szkolny autobus. Do Donbasu z Użhorodu jest dalej niż do Wenecji, dlatego niedziwne, że ten żółty autobus popsuł się po drodze. Wojskowi niemal

dobę przeczekali na mrozie – w pierwsze marcowe dni kraj jeszcze przebywał w chaosie, więc na pomoc niczego im nie wysłano. W rezultacie wojskowi, którzy – przypominam – jeszcze jakieś dwa tygodnie wcześniej byli cywilami, sami zrzucili się i za własne pieniądze przejechali ostatnie dwieście kilometrów taksówką. Ukraiński wojak, który wyrusza na front taksówką, to jeszcze jeden z symboli tej wojny.

Moje pierwsze dwa dżipy

Tak więc gdy wiosną roku 2022 usłyszałem od mojego przyjaciela, że jego oddział bardzo potrzebuje dżipa, pojawiła się we mnie naturalna chęć, by pomóc. Zaczęłem szukać wśród znajomych i fundacji charytatywnych, które mogłyby szybko rozwiązać tę sprawę, ale zaraz uświadomiłem sobie, że tak szybko nikt tego nie zrobi. To znaczy trzeba szukać nie organizacji dobroczynnych, tylko spojrzeć w lustro i samemu brać się do roboty. Tego wieczora napisałem na Facebooku ogłoszenie, że zbieram pieniądze na dżipa dla oddziału wojskowego w Donbasie, i podałem numer mojego konta bankowego. Gdy się obudziłem, na moim rachunku były pieniądze na dwa dżipy.

Takim sposobem – jakby sama z siebie – została określona moja obecna sfera odpowiedzialności podczas tej wojny. Od kwietnia 2022 r. już nie jestem pisarzem, bo zupełnie niczego nie piszę. Zamiast tego zbieram pieniądze i kupuję samo-



Od lewej:
Andrij Lubka
(na pierwszym
planie) z odbiorcami
busa volkswagen T5,
przekazanego
połączonemu
batalionowi
bojowemu Policji
Państwowej
„Zachód”.

Styczeń 2023 r.

Tak wyglądał jeden
z samochodów
dostarczonych
przez Andrija Lubkę
po tygodniu służby
na froncie.

Sierpień 2022 r.

chody dla ukraińskiej armii. My z grupą osób myślących podobnie remontujemy je, malujemy w barwy maskujące i odwozimy prosto na front. Zgodnie ze stanem na dzisiaj kupiłem 98 aut dla Zbrojnych Sił Ukrainy i 15 razy jeździłem do wojskowych.

Wszystko to stało się możliwe dzięki moim czytelnikom, którzy wcześniej czytali moje teksty i przychodzili na prezentacje książek, a dzisiaj wspierają moją wolontariacką działalność swoimi pieniędzmi. To osobiwa przyjemność i uznanie dla pisarza – widzieć, jak twoi czytelnicy ufają ci w realnym życiu, rozumieją, że napisane wcześniej książki stworzyły niewidzialną, ale niezawodną wspólnotę. Pisarz, który niczego nie pisze, to także prawdopodobnie jeden z symboli tej wojny. Czasem żartuję, że czytelnicy tak aktywnie wysyłają mi swoje datki, że-

bym zajmował się właśnie samochodami i niczego więcej już nie tworzył.

Będę pisał o ludziach

Chociaż mam o czym pisać. Gdy jechaliśmy kolumną dziupów na wschód, a taka podróż zajmuje półtorej doby w jedną stronę, miałem dużo czasu na refleksje i marzenia. Podczas tych godzin wyobrażałem sobie moją pierwszą powojenną książkę. Ona będzie o wszystkim, tylko nie o samochodach. Po wojnie w ogóle kupię sobie rower i więcej nie będę nawet patrzył na samochody, bo tak mi doskwierają. I będę pisał dużo, nadrabiając pauzę wymuszoną przez wojnę.

Będę pisał o ludziach, o tym, co ludzkie, o sytuacjach i głosach. O wojnie jako prywatnym doświadczeniu, a nie geopolitycznym hymnie sakralnym. Napiszę o tym, jak strasznie było jechać po raz

pierwszy z Użhorodu, w którym panował pokój, na frontowy Donbas. Ale kiedy dojechałem na miejsce, okazało się, że tam, obok wojny, strachu nie ma, bo strach to pojęcie wewnętrzne, a nie geograficzne.

Napiszę o jednym z kierowców naszej grupy, który podczas postoju w Słowiańsku szykował nam kanapki i rozciął rękę, otwierając puszkę z konserwą. Za pięćdziesiąt lat, gdy wnuki zapytają go: „Dziadku, a co ty robiłeś podczas wojny?”, on będzie mógł powiedzieć im prawdę: „Wiele opowiedzieć nie mogę, powiem tylko, że przełałem swoją krew w Słowiańsku”.

Nie napiszę tylko o rozmowie z jednym wojskowym, który przyjechał do domu na krótką przepustkę, przesadził z winem i zwierzał mi się: „Wiesz, ja chcę tylko jednego. To artyleryjska wojna, większość czasu siedzimy w okopach i modlimy się, żeby nie nakryły nas pociski ani bomby. Już dziewięć miesięcy jestem na wojnie, a wciąż nie widziałem w celowniku żadnego Rosjanina. Tak więc boję się, że spadnie na mnie bomba i umrę. Jestem gotowy umrzeć, nie boję się śmierci. Boję się śmierci od bomby, we śnie, podczas obiadu, za stołem albo – strach pomyśleć – w toalecie. Bomba przecież nie wybiera miejsca. Ja poszedłem na wojnę i zaakceptowałem możliwość śmierci, ale proszę tylko o jedno: niech zabije mnie człowiek, a nie bomba, niech zobaczę wroga na własne oczy. Niech Bóg daruje mi ostatnią ludzką łaskę – pozwoli zginąć z rąk człowieka. Czy ja proszę o tak wiele?!”

© Przełożył PAWEŁ PIENIAŹEK

ANDRIJ LUBKA (ur. 1987) jest ukraińskim pisarzem, poetą i tłumaczem (m.in. z języka polskiego), a obecnie również wolontariuszem – organizuje pomoc dla armii. W Polsce ukazał się m.in. jego zbiór opowiadań „Killer” i powieść „Karbid”.

Lead i śródtytuły od redakcji „TP”.

Zapraszamy na spotkanie Klubów „Tygodnika Powszechnego”

REZERWUJ
CZAS!

KATOWICE, środa 8 lutego,
spotkanie z Piotrem Fuglewiczem „Cokoły
przechodnie. Życiorysy z pogranicza” / stacjonarne /

WARSZAWA, sobota 4 lutego,
spotkanie programowo-organizacyjne
/ stacjonarne /

zrezygnuj i sprawdź



KLUB TP
KLUBTYGODNIKA.PL

jt
STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji
na KlubTygodnika.pl/wydarzenia



ALAMY / BE&W

Prace wydobywcze w kopalni odkrywkowej w Majdanpeku. Serbia, styczeń 2023 r.

Gdy jest cicho, słysząc, jak góra płacze

MARTA SZPALA ZE WSCHODNIEJ SERBII

Wielka chińska inwestycja miała pomóc górnictwu miastu Majdanpek. Zamiast tego zmobilizowała mieszkańców do walki – także z własnym rządem.

DROGA DO MAJDANPEKU PROWADZI przez pagórkowaty krajobraz wschodniej Serbii. Na puste pola i łąki opada mgła, w oddali widać pojedyncze domy. Cisza i spokój – wydaje się, że dalej będzie tylko jeszcze bardziej dziewiczo.

Ale to złudzenie. Przejeżdżając przez tunel prowadzący do miasta z rdzewiejącym już napisem „Kopalnia Majdanpek” trafiamy do innego świata. Wita nas księżycowy krajobraz kopalni odkrywkowej – puste zwały czarnej ziemi i szarej skały, gdzieś tam rachityczne drzewa. Trudno oddychać, powietrze jest ciężkie od zanieczyszczeń. Po jednym dniu w Majdanpeku mój samochód pokryje się grubą warstwą tłustego pyłu. Dopiero po kilku płucach przyzwyczajają się do panujących tu warunków.

W wąskiej dolinie za kopalnią przycupnęło miasto – otoczone górami, które kryją największe bogactwa tej okolicy:

złoto i miedź. Rozwój Majdanpeku był powiązany z górnictwem – złoto wydobywano tu już w czasach antycznych.

Zapada noc. Teraz słysząc już tylko odgłosy ciężkich maszyn. A także – wysoko, w rejonie szczytu Staricy, czyli góry będącej symbolem miasta, a dziś chroniącej je przed groźnymi wyziewami z okolicznych hałd – pojedyncze głośnie wybuchy. To one niepokoją mieszkańców. Nie dają zapomnieć o agresywnej eksploatacji lokalnych złóż przez chińskich inwestorów, obecnych właścicieli kopalni. Państwo serbskie umywa ręce – a wręcz chroni i wspiera taką działalność.

Ratunek z Pekinu

W 2018 r. chiński koncern Zijin Mining przejął kompleks górniczo-hutniczy RTB Bor, do którego należy kopalnia w Majdanpeku. Kiedyś ta kompania z siedzibą

w mieście Bor była dumą komunistycznej Jugosławii. Choć warunki pracy były bardzo ciężkie, górnikom i ich rodzinom żyło się dobrze. Ale czas zmian gospodarczych i demokratyzacji Serbii po 2000 r. przyniósł stopniową zapaść przemysłu w obu miastach. Kompleks górniczy zaczął przynosić straty (choć niektórzy mieszkańcy twierdzą, że był to raczej wynik pazerności skorumpowanych serbskich elit niż faktyczna nierentowność kopalni, w której przecież wydobywano złoto), a chętnych na jego zakup nie było.

Chińczycy mieli zmodernizować wydobycie i zagwarantować dobrze płatną pracę. Prezydent Serbii Aleksandar Vučić oświadczył nawet, że będzie błagać polityków w Pekinie, by przejęli RTB Bor. Inwestycja Zijin Mining zapowiadana była jako jedna z trzech sztandarowych inwestycji chińskich – obok przejęcia huty w Smederewie przez firmę Hesteel i budowy fabryki opon przez koncern Linglong w Zrenjaninie.

– Choć budziła kontrowersje, gdyż rządowi zarzucano faworyzowanie chińskiego inwestora, to z początku wszystko wyglądało obiecująco – mówi Irena Barbulović, radna Majdanpeku, gdy siedzimy w jej małym mieszkaniu. – Pensje wzrosły, w kopalni zatrudniono nowych pracowników. Dziwiło nas wprawdzie, że byli to głównie ludzie z okolicznych wsi, a nie z samego miasta, ale uznaliśmy, iż ktoś komuś jest coś winien i musi zatrudnić osoby z polecenia. Teraz myślę, że to była przemy-

ślana strategia. Ludzi spoza miasta nie obchodzi, co tutaj się dzieje, i łatwiej ich przekonać do działań na jego szkodę – opowiada radna. Ale wtedy mieszkańcy odetchnęli z ulgą. Przyszłość zakładu pracy oraz miasta wydawała się zabezpieczona.

Starica się kruszy

Po przejęciu kopalni chiński koncern skokowo zwiększał wydobywanie. Niektórzy twierdzą, że nawet dziesięciokrotnie. Tempo eksploatacji i niekontrolowane powiększanie pól wydobywczych zaczęły niepokoić mieszkańców.

– W ciągu trzech lat wykopali tyle, co my przez pięćdziesiąt – konstatuje Vlado Božić, jeden z lokalnych działaczy. – Co więcej, kiedyś to nam służyło. Z kopalni korzystało państwo i jego obywatele. Teraz wszystko jest natychmiast wywożone ciężarówkami do czarnogórskiego portu w Barze. Na miejscu nie przerabia się nic – mówi.

Skalę wydobycia oddają dane o handlu zagranicznym. Jeszcze parę lat temu serbski eksport do Chin był niewielki. W 2021 r. wyniósł już ponad 826 mln dolarów, rok później – przekroczył miliard. Jego lwią część stanowi właśnie miedź wydobywana w Majdanpeku i sąsiednim Borze. Trafia ona zresztą nie tylko do Chin (wartość całej wywiezionej z Serbii rudy miedzi to prawie 2 mld dolarów).

Punktem zwrotnym dla mieszkańców był 5 czerwca 2022 r. Tamtego ciepłego dnia budynkami wstrząsnął silny wybuch, a zboczami Staricy w kierunku domów w dolinie potoczyły się skały i kamienie. Jak na ironię, stało się to w Światowym Dniu Środowiska.

Vlado Božić: – Na początku nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Szybko zorientowaliśmy się, że na zboczach góry prowadzone są intensywne prace. Następowyły kolejne wybuchy. Naruszone skały szybko wywożono, a jeden z grzbietów góry z każdym dniem stawał się coraz niższy.

– Powiedziano nam, że ma to na celu zabezpieczenie miasta, gdyż zła eksploatacja poprzedzająca przybycie Chińczyków naruszyła podstawy górotworu – dodaje Mira, partnerka Vlada. Mało kto jednak w to uwierzył. Szeroki zakres prac, jak twierdzą aktywiści, wskazywał na to, że chodzi raczej o eksploatację złóż we wnętrzu góry, a nie o jej ochronę.

Starica to symbol miasta. Na jej zboczach bawiły się całe pokolenia mieszkańców górniczej osady. To tu grano w chowanego, bawiono się w wojnę, uczono łapać zające czy chodzono na romantyczne spacer. Miejscowe lasy pozwalały się chować przed rodzicami i wścibskimi sąsiadami. Oraz oddychać pełną piersią wśród przyrody i śpiewu ptaków. Takich miejsc jest w Majdanpeku mało. Góra jest także naturalną barierą dla miasta i chroni je przed trującymi wyziewami z ciągnących się po horyzont kopalnianych hałd. Już teraz w mieście trudno się oddycha. Co będzie, gdy góry zabraknie i pyły z kopalni będą nas zasypywać? – pytają mieszkańcy.

Inwestycje specjalnego traktowania

Irena Barbulović: – Podstawowym problemem jest nietransparentna działalność Zijin Mining, co jest standardem przy chińskich inwestycjach w Serbii. Nikt nie wie, jakie są zamiary inwestora, jeśli chodzi o dalsze poszerzanie kopalni. Widzieliśmy plany, które zakładają, że cały teren miasta jest przeznaczony pod eksploatację. Czy to oznacza, że będziemy musieli się wyprowadzić?

Chińscy inwestorzy uzgadniają warunki realizacji przedsięwzięć bezpośrednio z władzami w Belgradzie, często kosztem interesów lokalnej społeczności, tłumaczy Barbulović: – Nam nikt nie mówi, wszystko jest załatwiane ponad naszymi głowami.

Snežana Todorović, lekarka w miejskim ośrodku zdrowia i miejska radna, tłumaczy, że najgorsza jest niepewność oraz brak informacji. – Ludzie nie wiedzą, jaka przyszłość ich czeka, znaleźli się w pułapce – mówi. – Z jednej strony ich życie zależy od kopalni, z drugiej kopalnia zagraża miastu. Sama pochodzę z górniczej rodziny od pokoleń związanej z Majdanpekiem. Nie mam dokąd wyjechać i nie chcę tego robić.

Co więcej, jak wskazuje Mira, prace na Staricy rozpoczęto bez odpowiedniej dokumentacji. Nie przygotowano raportów dotyczących wpływu tej inwestycji na środowisko.

Może nawet nie musiano tego robić. Inwestycja chińska jest realizowana na podstawie porozumienia o strategicznym partnerstwie, które wyłącza spółkę spod regulacji dotyczących ochrony środowi-

ska. Oficjalnie ma to dotyczyć początkowego okresu działalności, ale ten nie został zdefiniowany. Można więc zakładać, że tak będzie już zawsze.

– Im chodzi tylko o to, by wykopać jak najszybciej, jak najwięcej i jak najtaniej – mówi Vlado. – Nie obchodzi ich, co będzie z nami. Wykopią wszystko i odejdą, a to my będziemy musieli się mierzyć ze wszystkimi konsekwencjami ich działalności dla ludzi i dla środowiska – dodaje.

– Dla nich to tylko projekt, my jesteśmy tanią siłą roboczą, a to jest przecież całe nasze życie – mówi Snežana Todorović. – Żyjemy w bardzo złych warunkach. Nikt nie przejmuje się poziomem zanieczyszczenia, hukiem ciężarówek rozjeżdżających miasto, zabezpieczeniem transportów rudy.

– Poziom wód gruntowych w związku z prowadzoną eksploatacją znacząco się obniżył – relacjonuje Irena Barbulović. – W wakacje zamiast do miasta woda trafiała do kopalni i przez 42 dni byliśmy jej pozbawieni. Co będzie dalej, nie wiadomo.

Obóz na szczycie

Vlado, Mira i Irena należą do organizacji Ne Dam/Nu Dau (dwujęzyczna nazwa odwołuje się do wołoskiego dziedzictwa okolicznych wsi). Wspierani przez innych aktywistów, postanowili zorganizować obóz na szczycie góry. Oficjalnie działka, na której są prowadzone prace, należy do serbskich lasów państwowych (to kolejny zarzut aktywistów wobec władz – jakim prawem prywatna spółka prowadzi działania na gruntach państwowych).

– Nie mogli nam zabronić przebywania na górze, a serbskie prawo mówi, że jeśli ludzie przebywają w odległości mniej niż trzysta metrów, nie można dokonywać detonacji – tłumaczy Vlado. – To nam pozwoliło zatrzymać prace.

– Całe lato na zmianę trzymaliśmy wartę w obozie – opowiada Mira. – A nie było to łatwe. Jedzenie, wodę i sprzęt trzeba było wносить na plecach, dwie godziny pod górę. Ludzie się bali, bo grożono im zwolnieniami, ale starali się nam pomagać drobnymi kwotami, jedzeniem; często w tajemnicy, w obawie przed szyskanami. Rośli faceci z prywatnej firmy ochroniarskiej w maskach na twarzy, wyglądający jak komandosi, cały czas nas nękali. Sytuacja była coraz bardziej napięta.

→ – Pod koniec września, korzystając z okazji, że na górze nie było nikogo, zniszczono nam obóz – opowiada dalej Mira. – W mieście odbyły się przeszukiwania mieszkań aktywistów, kilkanaście osób przesłuchiowano, kilka zatrzymano. Pretekstem był atak na jednego z chińskich pracowników i spalenie koparki.

– To dziwna historia – mówi Snežana Todorović. – Na górze, szczególnie teraz, gdy wycięto las, strasznie wieje. Nikt tam nie przebywa sam, szczególnie w nocy, ale władze kopalni twierdzą, iż jeden z operatorów maszyny tam został i w ciemnościach zaatakowały go nieznane osoby.

W mieście powszechna jest opinia, że całą historię zmyślono, by obciążyć zarzutami aktywistów. Gdy policja ich przesłuchiwała, serbski minister spraw wewnętrznych przyjmował właśnie od Chin wielomilionowy grant na rozwój systemu alarmowego 112.

Sianie nienawiści

Zatrzymanych próbowano zmusić do podpisania zeznań obciążających kolegów. Dragan Dmitrović cichym głosem opowiada, jak został pobity przez policjantów. Ma problemy z sercem, więc chyba uznano, że łatwo będzie go złamać. Przez cienkie ściany słyszał, jak bito jego kolegów. Trzy osoby, m.in. Mladena Vladicia, męża Ireny, i Vlada Božicia, zatrzymano w areszcie. Choć pobyt tam był ciężki, najbardziej upokorzyły ich chyba postawione zarzuty.

– Zarzucono nam sianie nienawiści i nietolerancji narodowej, rasowej i religijnej – denerwuje się Mladen. – Nie mam nic przeciwko Chińczykom, chcę jedynie, by moje państwo egzekwowało obowiązujące w nim regulacje. Majdanpek był zawsze miastem wielokulturowym, mieszkało tu ponad czterdzieści różnych nacji. Ja sam jestem Wołochem,

a nasza cerkiew jako jedyna w kraju ma dwa wejścia: dla katolików i dla prawosławnych. W latach 90. XX wieku ochroniliśmy naszych Bośniaków przed prześladowaniami. W kraju, gdzie cała klasa polityczna, poczynawszy od Slobodana Miloševića do obecnej władzy, buduje kariery na nawoływaniu do nienawiści wobec sąsiadów, to mnie zarzuca się sianie nietolerancji! A tymczasem to nie spór z Chińczykami, lecz z naszym państwem, które zamiast chronić własnych obywateli, broni inwestorów zagranicznych i pozwala im bezkarnie działać w naszym kraju.

Vlado Božić dostał podobne zarzuty. – Sugerują, że mieliśmy w domu broń. Przeszukano całe nasze mieszkanie. Znaleźli tylko pogrzebaczkę, który uznano za niebezpieczne narzędzie. Nie mam żadnej broni. Może oprócz gwizdka, który zabieram na protesty – mówi.

Choć mieszkańcy Majdanpeku deklarują przyjazne nastawienie do Chińczyków, napływ pracowników z Państwa Środka budzi napięcia. Oficjalnie nie jest ich wielu, ale aktywiści mówią nawet o kilkunastu tysiącach w całych regionie borskim. W Majdanpeku skoszarowani są w miasteczku kontenerowym poza miastem i wyłączeni spod serbskiego prawa (także kodeksu pracy).

Gdy popełnią przestępstwo, odsyła się ich do Chin. Często się im współczuje trudnych warunków pracy. Ale w rozmowach z mieszkańcami można też wyczuć obawę, że z czasem wszyscy Serbowie zostaną zastąpieni pracownikami z Chin, którym będzie można płacić o wiele mniej. Irena zauważa, że w 2023 r. kończy się okres gwarancji zatrudnienia i warunków pracy dla lokalnego personelu.

Snežana podkreśla, że Zijin Mining odnotowuje ostatnio rekordowe zyski w związku ze wzrostem cen miedzi i nikt

tymi dodatkowymi zyskami się nie dzieli. Można też usłyszeć opinie, że to nie są inwestorzy, ale eksploatacyjni.

– Władze przyjęły nowe prawo o wywłaszczeniach. Pozwala ono na przejęcie gruntów pod prywatne inwestycje. Mówi się nam, że jeżeli nie będziemy się zgadzali z kwotą odszkodowań, to możemy iść do sądu, ale w Serbii nie ma praworządności i wolnego sądownictwa – mówi Mladen.

Sojusz trwa

Nie planowaliśmy, że zostaniemy aktywistami – mówią zgodnie moi rozmówcy.

– To się po prostu wydarzyło. Państwo jest silniejsze od nas i nie jest po naszej stronie, ale musimy wierzyć, że sprawiedliwość kiedyś zwycięży. Mówi się, że jesteśmy ekologami – śmieje się Vlado – ale ja po prostu domagam się przestrzegania prawa i by państwo służyło obywatelom.

Patrząc przez okno, smutno dodaje: – W nocy, gdy jest cicho, słyszę, jak Starica płacze.

W styczniu górnikom z Majdanpeku zaproponowano nowy układ zbiorowy: niższy wzrost wynagrodzeń i gorsze warunki pracy. W kopalni zaczął się strajk. By poprawić nadwyrężony protestami wizerunek, Zijin Mining przekazało hojną dotację na rzecz kobiecej reprezentacji siatkówki oraz lokalnych klubów sportowych. Prezydent Aleksandar Vučić ogłosił, że sojusz Chin i Serbii nigdy nie był silniejszy. Prace na Staricy toczą się coraz intensywniej. © MARTA SZPALA

Artykuł przygotowano w ramach BIRN's Reporting Democracy Travel and Reporting Programme.

Bliskie sąsiedztwo kopalni odkrywkowej i miasteczka Majdanpek, styczeń 2023 r.





WERONIKA TRUSZCZYŃSKA / FACEBOOK

Weronika Truszczyńska. Harbin, luty 2018 r.

W środku Państwa Środka

MACIEJ MÜLLER

Do niedawna bez telefonu i specjalnych aplikacji nie dało się wejść do placówek publicznych ani kupić jedzenia. Wiejskie zameldowanie oznacza brak perspektyw życiowych. Takie są współczesne Chiny.

NIE CHCEMY TESTÓW, CHCEMY WOLNOŚCI” – krzyczą manifestujący na szanghajskich ulicach. Jest listopad 2022 r. Między demonstrantami przeemyka dziewczyna o różowo-blond włosach. To youtuberka Weronika Truszczyńska. Blokady policyjne odcięły ją od domu. Kiedy już uda jej się bezpiecznie tam dotrzeć, wrzuci na Instagrama przestrożę dla innych obcokrajowców: nie włączajcie się w protesty, bo po pierwsze grozi to deportacją, po drugie to woda na młyn dla propagandy, że manifestacje są wzniecane przez obcą agenturę.

Truszczyńska mieszka od kilku lat w Szanghaju. Jej filmy na temat chińskiej kultury, języka i życia codziennego zgromadziły prawie 390-tysięczną publikę. Jest też współprowadzącą podcastu „Mao powiedziane” o współczesnych Chinach. Niedawno ukazała się

jej książka „Oswoić smoka”. W Polsce wartościowych pozycji na temat Państwa Środka nie brakuje, żeby wymienić tylko „Chiny bez makijażu” Marcina Jacobiego czy „Nowy długi marsz. Chiny ery Xi Jinpinga” Bogdana Góralczyka. Truszczyńska nie podejmuje się jednak kreślenia szerokich syntez na temat rozwoju państwa i jego roli geopolitycznej – jej książka to raczej zbiór obrazów „z wewnątrz”. Autorka miała to szczęście, że w chwili pandemicznego zamknięcia Chin była w Szanghaju i nie została – jak wielu cudzoziemców – odcięta od możliwości powrotu. Żeby była to pozycja reporterska, to za dużo powiedziane (choć autorka ma oko do szczegółów). Jej narracja to raczej „nawijka” w klimacie opowieści snutych z przyjaciółmi przy piwie (na co składa się również soczyste nieraz słownictwo).

Z OPOWIEŚCI YOUTUBERKI dowiemy się więc, jak to jest zostać ofiarą obławy antynarkotykowej chińskiej policji, razem z nią oburzymy się na „pet shopy”, czyli sklepy, w których zwierzęta są prezentowane na wystawach jak każdy inny towar, albo będziemy śledzić ślady działania cenzury: „Cenzurują wszystko, co im się podoba, nawet sceny erotyczne (...)”. Kiedy oglądałam film »Lady Bird«, fabuła kompletnie się nie sklejała, bo wycięto scenę łóżkową bohaterów”.

Dowiemy się też, dlaczego życie bez telefonu jest tu niemożliwe – i nie jest to metafora. Truszczyńska, przez dobę pozbawiona smartfona ze względu na awarię, trafiła niemal za margines społeczeństwa. Aby dostać się do większości miejsc publicznych, do niedawna (przed zniesieniem polityki zero covid w grudniu 2022 r.) trzeba było okazać kod zdrowotny generowany przez aplikację, która

śledziła trasy użytkownika telefonu przez ostatnie 14 dni: jeden nieświadomy, fałszywy ruch, a dostawało się pomarańczowy kolor i lądowało na kwarantannie. W restauracjach i barach akceptują jedynie płatności mobilne: karty płatnicze się w Chinach nie przyjęły, a gotówka jest niemile widziana. Zakupów bez telefonu nie robi się nawet przez internet. Nie da się też pojechać autobusem ani wypożyczyć roweru. Truszczyńska przeżyła dzięki budce ze smażonym makaronem, w której, przewracając oczami, przyjęli banknoty.

FAKT, ŻE TO PAŃSTWO TOTALITARNE, widać w takich właśnie opowieściach. Podobnie jak w anegdocie o koleżance ze studiów, która pewnego dnia zniknęła, ponieważ ktoś podkablował, że nielegalnie pracuje (wiza studencka na to nie pozwala). Z ogromnych nierówności społecznych zdamy sobie sprawę, podróżując z autorką na wieś, gdzie mieszkańcy żyją w budynkach przypominających ledwo przystosowane pustostany, bez podłogi i ogrzewania, gdzie temperatura w zimie nie przekracza pięciu stopni, a myć się trzeba w misce.

W wielu gospodarstwach brakuje rodziców, którzy za pracą wyjechali daleko od domu: dzieci wychowują się z dziadkami, a mamę i tatę widują tylko w styczniu, na Chiński Nowy Rok. Truszczyńska wyjaśnia, jak bardzo różni się los ludzi z *hukou* (w uproszczeniu: zameldowaniem) wiejskim i miejskim. Jej kolega przyznaje: „Nie mogę tutaj założyć rodziny, bo żadna rodowita szanghajka nawet na mnie nie spojrzy. (...) Mój los został przesądzony w momencie, w którym się urodziłem”. Autorka zwraca też uwagę na inne problemy trapiące społeczeństwo – jak plaga samobójstw seniorów, którzy chcą finansowo odciążyć rodzinę, czy mechanizmy wpadania młodych w zakupoholizm i spirale długów.

Jednak celem tej książki nie jest epatowanie ekstremami. To spojrzenie od wewnątrz na – żeby użyć określenia Bogdana Góralczyka – „cywilizację ubraną w szaty państwa”.

©P



Weronika Truszczyńska
OSWOIĆ SMOKA
wyd. Altenberg 2022

Fałszywki nowego typu

AGATA KAŹMIERSKA I MICHAŁ GIKOWSKI

Prezydent Ukrainy wzywający rodaków do złożenia broni czy malezyjski minister uprawiający pozamałżeński seks: materiały preparowane przez sztuczną inteligencję to coraz częstsze zjawisko. Jak sobie z nim radzić?

DO TWORZENIA ALTERNATYWNEJ Rzeczywistości nie potrzeba już zaawansowanych umiejętności informatycznych. Wystarczą proste w obsłudze programy sztucznej inteligencji dostępne online. Od zera generują fantastyczne obrazy albo też tworzą – na podstawie istniejących nagrań wideo – realistycznie wyglądające manipulacje. Ostatnio wielką popularnością cieszy się program ChatGPT: pisze on samodzielnie limeryki, kody komputerowe, hasła marketingowe czy nawet odrabia za uczniów prace domowe.

Dlatego eksperci zajmujący się dezinformacją biją na alarm: bo tego typu programy są wykorzystywane również w celach politycznych, i to bynajmniej nie w celach dobrych.

NA ZDJĘCIACH WIDAĆ mężczyzn z bronią maszynową; nie mają mundurów, lecz ubrania w stylu wojskowym. Nagranie, na którym też są ponoć widoczni, ma słabą jakość. Pod wpisem na Twitterze, gdzie je zamieszczono, rozpętała się burza – bo autor wpisu twierdził, że to zagraniczni najemnicy w mieście Goma, czyli w jednym z najbardziej zapalnych regionów Demokratycznej Republiki Konga, i że ochraniają tam kongijskiego szefa sztabu.

Część komentujących twierdziła, iż to rosyjscy najemnicy z Grupy Wagnera. Inni – i tych była większość – że zdjęcia i nagranie to podróbki, bo Goma wygląda inaczej, zwłaszcza o tej porze roku, a ten fake news ma stawiać w złym świetle kongijskie władze.

Wszystko to można by uznać za kolejną twitterową burzę, jakich wiele, gdyby nie fakt, że wagnerowcy rzeczywiście byli w Gomie, podobnie jak szef sztabu kongijskiej armii. Tyle że jakiś czas po zamieszczeniu tego tweeta.

Czy zdjęcia i nagranie z Gomy to wygenerowana za pomocą sztucznej inteligencji fałszywka, nazywana deepfake, która ma wpłynąć na sytuację polityczną? Jeśli tak, nie byłby to pierwszy taki przypadek. Niedługo po inwazji Rosji na Ukrainę w internecie pojawiło się nagranie przedstawiające rzekomo prezydenta Zełenskigo, jak wzywa rodaków do złożenia broni. Zrobiono je tak nieudolnie, że na pierwszy rzut oka widać było fałszerstwo.

Umiejtniej przygotowano za to materiały, które wysyłano na maile mieszkańców stanu Karolina Północna przed zeszłorocznymi wyborami w USA. Widać było na nich kandydata, któremu cyfrowo zmieniono napis na koszulce, by zniechęcić jego elektorat. Albo innego, rzekomo na tle policyjnej ściany, co miało dowodzić, iż został aresztowany.

Wcześniej, podczas kampanii przed wyborami prezydenckimi w USA, w sieci pojawiały się nagrania mające dowodzić problemów zdrowotnych Joego Bidena – co najmniej jedno przedstawiało go w miejscu, w którym nigdy nie był. Wcześniej w Malezji stworzone komputerowo nagrania przedstawiały ministra gospodarki uprawiającego pozamałżeński seks; zламаło mu to karierę.

TO GŁÓŚNE PRZYPADKI, gdy wizerunek polityków wykorzystywano, by ich szkalować. Ale coraz częściej zdarza się, że oni sami upatrują szansy w wykorzystaniu obrazów czy dźwięków generowanych przez sztuczną inteligencję.

Dwa lata temu miliony mieszkańców indyjskiego stanu Pendżab rozmawiały telefonicznie z botem, programem udającym człowieka, który wykorzystał głos premiera Arvinda Kejriwala, który namawiał ich do głosowania na swoje ugrupowanie. Jego rywal, Manoj Tiwari, odpowiedział realistycznie wyglądają-

cym wideo, na którym mówił w dialekcie haryanvi, choć w rzeczywistości go nie zna. Z kolei w Nigerii media społecznościowe dosłownie zalewają dziś generowane cyfrowo filmiki, na których gwiazdy – jak Salma Hayek, Idris Elba czy Matthew McConaughey – wyrażają poparcie dla kandydata opozycji Petera Obi. Wątpliwe, by działało się to bez udziału lub co najmniej przyzwolenia jego sztabu.

Wielu naukowców i ekspertów od lat ostrzega, że wraz z rozwojem generowania obrazu i dźwięku przez sztuczną inteligencję znajdziemy się w kryzysie. Ich polemiki twierdzili dotąd, że owa technologia jest na tyle niezaawansowana, iż takie podróbki łatwo poznać. Ten brak zaawansowania nie przeszkadzał jednak w cyfrowym „rozebraniu” ponad 100 tys. kobiet w komunikatorze Telegram albo w wyrządzeniu strat liczonych w milionach dolarów, a spowodowanych tym, że pracownicy odbierali telefony i słysząc realistycznie brzmiący głos przełożonego przelewali pieniądze na rachunek, który im wskazał.

WIARA W TO, CO USŁYSZYMY, a co zostało wygenerowane przez sztuczną inteligencję, to jednak zaledwie wierzchołek problemu. O tym, jak poważne konsekwencje może mieć niepewność wywołana choćby podejrzeniem, że coś jest deepfake’iem, przekonali się Gabończycy. Pod koniec 2018 r. pojawiły spekulacje, że ich prezydent Ali Bongo jest chory, a może nawet nie żyje. Okazało się, że miał udar, ale był w dobrym stanie, i aby powstrzymać spekulacje, nagrał noworoczne przemówienie. Tyle że przyniosło to odwrotny skutek do zamierzonego: wielu uznało, że Bongo wygląda nie tak jak powinien, a nagranie jest fałszywe. Tydzień później wojsko dokonało nieudanego zamachu stanu, uzasadniając go rzekomym deepfake’iem. Późniejsza analiza wskazała, że przy nagraniu nikt nie majstrował.

„Kiedy wszystko może być prawdziwe lub fałszywe, czy nadal będziemy dbać o znalezienie różnicy, czy po prostu zacznijemy wierzyć w to, w co będzie nam wygodniej wierzyć?” – zastanawiał się jakiś czas temu magazyn „Wired”. Nie chodzi tylko o to, co zobaczymy, przeglądając media społecznościowe. Wystarczy sobie wyobrazić, że ktoś nagrywa przestępstwo. Czy do zdyskredytowania go będzie wystarczyło stwierdzenie, że to deepfake,



Prawdopodobnie fałszywe zdjęcie, sugerujące przyjazd do Konga białych najemników (z Grupy Wagnera). Styczeń 2023 r.

i utnie to dalszą rozmowę – tak jak już teraz wiele niewygodnych tematów ucina oświadczenie, że coś jest fake newsem?

Oczywiście możemy liczyć na to, że powstaną specjalne programy sztucznej inteligencji, które będą za nas sprawdzać, co jest prawdziwe. Od kilku lat nad takimi rozwiązaniami pracują Facebook, Google czy DARPA (agencja Pentagonu, która dała nam internet).

Możemy też sami sobie obiecać, że będziemy sprawdzać wszystko, co wyda nam się podejrzane. O skuteczności takich postanowień może świadczyć wynik zeszłorocznego badania Sophie Nightingale z brytyjskiego Lancaster University i Hany'ego Farida z Uniwersytetu Kalifornijskiego. Poprosili oni ponad 300 osób o wskazanie, które twarze są prawdziwe, a które wygenerowane cyfrowo. Prawdliwość wskazań wynosiła 48 proc., co oznacza, że większość uczestników badania zgadywała.

Gdy zaś poproszono ich o wskazanie, które z prezentowanych twarzy budzą w nich zaufanie, twarze wygenerowane przez algorytm wskazywano nieznacznie częściej. Czyli: bardziej ufamy ludziom, którzy nie istnieją.

SZTUCZNA INTELIGENCJA może wspierać kampanie polityczne na wielu poziomach. Katerina Sedova z Uniwersy-

tetu Georgetown, badająca zagrożenia związane z wykorzystaniem sztucznej inteligencji, twierdzi, że takie algorytmiczne narzędzia mogą przeszukiwać media społecznościowe i portale informacyjne w poszukiwaniu konfliktów społecznych, które można wykorzystać i zaognić. Generatory mogą też masowo tworzyć treści w dowolnym języku, które następnie są rozsiewane przez sztuczne konta posługujące się generowanymi komputerowo zdjęciami profilowymi.

Sztuczna inteligencja może też sterować kontami w mediach społecznościowych tak, by ta aktywność wyglądała, jakby stali za nią prawdziwi ludzie. W 2021 r. zespół Sedovej wykazał, że generator tekstu GPT „sprawdza się lepiej w pisaniu dezinformacji niż pisaniu tekstów zawierających fakty” i w badanej grupie o jedną trzecią skuteczniej przekonywał do zmiany zdania na kontrowersyjne tematy niż komentarze prawdziwych ludzi.

PRZED DEZINFORMACYJNĄ APOKALIPSĄ przestrzega raport, który kierowany przez Sedovą zespół z Uniwersytetów Georgetown i Stanforda oraz organizacji OpenAI (to ona stworzyła GTP) opublikował w tym miesiącu. Upowszechnienie coraz doskonalszych i coraz łatwiejszych w ob-

łudze narzędzi może sprawić, że generowane przez sztuczną inteligencję kampanie będą prowadzone na coraz większą skalę, mniejszym kosztem i staną się bardziej perswazyjne.

Badacze przewidują, że nowym kanałem dezinformacji będą nie posty w mediach społecznościowych, ale czatboty prowadzące dynamiczne rozmowy z konkretnymi użytkownikami. Fejkowe nagrania, teksty czy „rozmówcy” dostosowani do konkretnego odbiorcy i wykorzystujący jego uprzedzenia oraz obawy staną się elementami nowej propagandy. „Firmy reklamowe i marketingowe mają motywację ekonomiczną do trenowania takich modeli sztucznej inteligencji i mogą nieumyślnie udostępniać know-how propagandzistom” – przestrzegają badacze.

Czy daleko nam do takiej przyszłości? W każdym razie narzędzia już są. W Indiach trwa kampania, której twarzą jest gwiazdor filmowy Shah Rukh Khan. Właściciele małych firm z całego subkontynentu mogą wykorzystać jego wizerunek do promocji swojego biznesu – dzięki specjalnej aplikacji stworzony komputerowo aktor powie dokładnie to, czego sobie zażyczą zleceniodawcy.

SEDNO PROBLEMU związanego ze stworzonymi na polityczne potrzeby fałszywkami dobrze obrazują wspomniane zdjęcia i nagranie z Gomy. Ich publikacja na Twitterze wraz z serią sprzecznych komentarzy mogły zniechęcić odbiorców – niepewnych, czy wierzyć w to, co widzą.

Badacze na to zjawisko ukuli już nazwę: apatia rzeczywistości. „To przeciążenie negatywnymi treściami i fałszywymi informacjami obecnymi na platformach cyfrowych, które wywołuje uczucie odrętwienia, dezorientacji i obojętności, co ostatecznie prowadzi do chęci odcięcia się od świata” – tak definiuje problem amerykański think tank The Center for a New American Security.

W wydanym pod koniec zeszłego roku raporcie Europol Innovation Lab ostrzegał, że w ciągu najbliższych trzech lat aż 90 proc. treści online może być generowanych syntetycznie. Może to sprawić, że „rosnąca ilość dezinformacji i deepfake'ów (...) doprowadzi do sytuacji, w której obywatele nie będą już mieli wspólnej rzeczywistości”.

© AGATA KAŹMIERSKA
i MICHAŁ GIKOWSKI

DWUSTU Z CZORTKOWA

Nocą z 21 na 22 stycznia 1940 r. w małym miasteczku na Podolu,
pod okupacją sowiecką, wybuchło zbrojne powstanie.
Na co liczyli jego młodzi uczestnicy?

TOMASZ BASARABOWICZ

GDY BYŁO JUŻ PO WSZYSTKIM, DOMINIKANIN Urban Szeremet tak o tym napisał w „Kronice O.O. Dominikanów w Czortkowie”: „Ciężkie było życie w czasie pierwszej okupacji bolszewickiej. Od pierwszej chwili widać było ciągłą pracę nowych rządów, zdążającą do całkowitego zniszczenia religii i polskości. Parcelowano i rozdawano majątki kościelne i prywatne. Na mityngach wszczepiano nowe zasady i głoszone nowy porządek, tzw. »raj«. Ze szkół wyrzucono krzyże oraz naukę religii, a także zabroniono się modlić. Roztoczono osławiony system szpiegowski, tak że nie można było się ruszyć bez opiekunów. Młodzież zrzeszano w komsomole i pionierach, urządzano zabawy i najrozmaitsze zawody, byle nie pozostawić chwili wolnej dla swobodnej myśli.

Urzędnikom i pracującym zabraniano uczęszczać na nabożeństwa, a niedziela z początku była dniem roboczym, później dopiero ustanowiono z niej tzw. dzień wychodny. Cel i sposób walki był wszędzie jednolity, a jednak ostrość jej zależała od władz miejscowych. Czortków popadł w złe ręce. Z dala od większych centrów, (...) ciężiej odczuł ten okres niż inne miejscowości. Prowokacją, wybuchem zapalanej młodzieży, czy wreszcie próbą było nieudane powstanie, przygotowane na noc 21/22 stycznia 1940 roku, które pociągnęło za sobą masowe aresztowania młodzieży i osób podejrzanych. Zagrożono więzieniem i Ojcom naszym, gdyż okazało się, iż spiskowcy urządzali zebra-

nia na wieży kościoła, za wiedzą, jak się zdaje, organisty”.

Druga opinia, współczesna, Jędrzeja Tucholskiego – wicedyrektora Biura Udośpienia i Archiwizacji Dokumentów Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie – jest bardziej zdecydowana: „[to był] romantyzm, połączony ze skrajną głupotą. Za swój niewątpliwý patriotyzm młodzi ludzie zapłacili bardzo wysoką cenę. Zachowały się protokoły, potwierdzające wykonanie wyroku śmierci na przeszło dwudziestu powstańcach...”.

Na kresach Rzeczypospolitej

Nie wiadomo, skąd wzięła się nazwa tego miasta nad rzeką Seret – czy od nazwiska Jerzego Czartkowskiego, któremu król Zygmunt Stary w 1522 r. nadał przywilej własności całej okolicy, czy od nazwy uroczyska Czarna Dolina lub głębokiego jaru rzeki Seret. Istnieje też hipoteza wskazująca na pochodzenie nazwy od szuwaru.

Tak czy owak, na przestrzeni wieków Czortków – położony na historycznym zachodnim Podolu, na południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej – kilkakrotnie zajmowali Tatarzy, następnie Kozacy, potem połączone siły kozacko-moskiewskie, pod koniec XVII w. Turcy, a od pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej – Austriacy. W czasie wojen napoleońskich trafił na krótko w granice Imperium Rosyjskiego, by po Kongresie Wiedeńskim znowu wrócić pod berło Habsburgów.

Według danych z roku 1939 miasteczko liczyło 22 tys. mieszkańców,

z czego 46 proc. stanowili Polacy, 30 proc. Żydzi i 23 proc. Ukraińcy (dzisiaj ma ok. 30 tys., przede wszystkim Ukraińców).

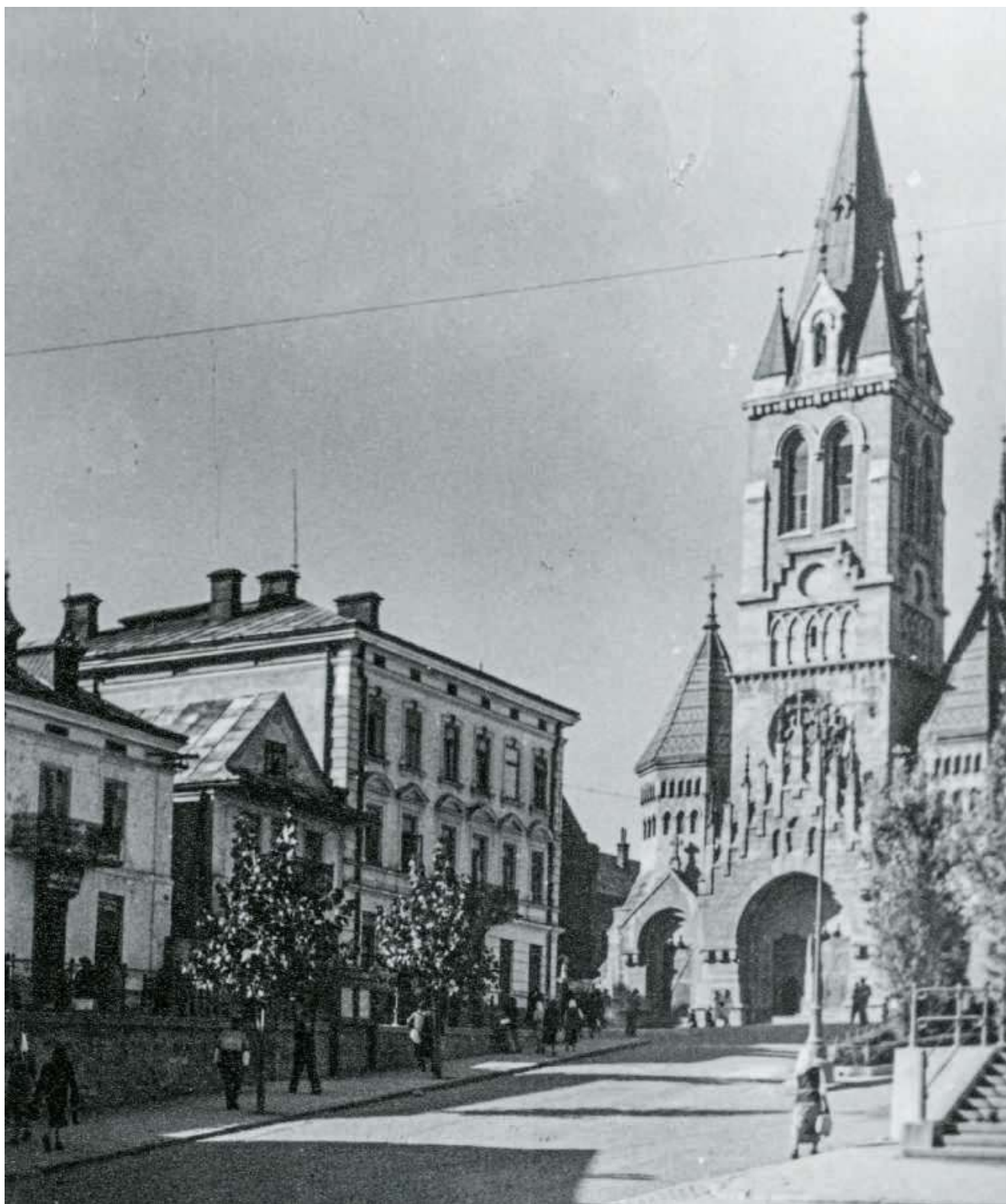
W II RP Czortków, należący do województwa tarnopolskiego, był, jak wówczas pisano, „głównym punktem oparcia dla ruchu turystycznego w tym rejonie”, choćby z powodu bliskości malowniczego Pokucia czy klasztoru w Jazłowcu.

W 1939 r., pomimo dzielnej postawy Pułku Korpusu Ochrony Pogranicza „Czortków” ppłk. Marcellego Kotarby i prób obrony sąsiedniego powiatowego Borszczowa, Kopyczyniec i Skałat, Armia Czerwona zajęła miasteczko już wieczorem 17 września, pierwszego dnia sowieckiej agresji. Ale cenne godziny, uzyskane za sprawą oporu stawianego przez KOP, pozwoliły na przekroczenie Dniestru, Czeremoszu i Prutu przez rząd RP oraz pewną liczbę wojska.

Młoda konspiracja

Już w październiku 1939 r. powstało tu konspiracyjne Stronnictwo Narodowe – organizacja, której celem było prowadzenie akcji sabotażowych, w miarę skromnych możliwości.

Założycielami konspiracji w Czortkowie byli młodzi ludzie, często gimnazjaliści, spośród których większość stanowili harcerze – jak Tadeusz Bańkowski, Henryk Kamiński i Heweliusz Malawski. Równolegle, lecz niezależnie, funkcjonowała Polska Organizacja Walki z Wrogiem, prowadzona przez nauczy-



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Kościół dominikanów, w którym zbierali się powstańcy. Czortków, lata 1939-1945.

ciela gimnazjalnego i komendanta Hufca Harcerstwa Kresowego Józefa Opackiego.

Harcerze spotykali się w willi państwa Wasilewskich przy Grunwaldzkiej 6, wciągając do konspiracji także gospodarzy – rodzeństwo Aleksandrę i Kazimierza. Szczególnie ta pierwsza zaangażo-

wana była w przygotowania do powstania. Nosząc pseudonim „Lilka”, przyszywała np. groźne „trupie główki” do ubrań konspiratorów, co w tradycji wojny polsko-bolszewickiej z lat 1919-20 było symbolem elitarnych oddziałów szturmowych.

Sowieckie organy okupacyjnego terroru były jednak skuteczne: intensywnie inwigilowały ruchy konspiracyjne. Były one rozpracowywane i szybko likwidowane, a ludzie z konspiracją związani – rozstrzeliwani lub wysyłani z długimi wyrokami do gułagów.



→ Z dzisiejszej perspektywy nie można wykluczyć, że czortkowska próba irreducenty inspirowana była przez samych Sowietów. Znamienne było tu zdanie wspomnianego Józefa Opackiego: ostrzegał swoich harcerzy przed „człowiekiem z Borszczowa” i innymi rzekomymi emisariuszami, których miał za prowokatorów. Usiłował też powstrzymać zbliżającą się akcję.

„Gizek” prosi o granaty

Tak czy inaczej, być może nie byłoby czortkowskiego powstania, gdyby nie „Gizek”.

Na temat Heweliusza Malawskiego, zwanego „Gizkiem”, jego kolega Reginald Wiśniowski mówił tak: „Ze zbiorów harcerskich przed wojną znaleźliśmy różne pomysły »Gizka«. Przynosił maski gazowe i kazał nam ćwiczyć zachowanie się w czasie ewentualnego ataku gazowego nieprzyjaciela. Z jednostki wojskowej wypożyczał czy dostawał świece dymne, petardy. Zawsze na zbiórkach czy w różnych sytuacjach chciał zrobić coś oryginalnego, niecodziennego, za wszelką cenę zaimponować kolegom czy podwładnym. Te pomysły chwyciły, bo »Gizek« był niezmiernie sugestywny w ich przedstawianiu”.

„Nie zdziwiłem się więc – wspominał Wiśniowski (prywatnie wujek autora tego tekstu) – słysząc po latach od naszego kolegi Bronka Łozińskiego, że to właśnie »Gizek« przyszedł do niego z prośbą o broń i granaty, bo zbliża się powstanie. Łoziński wyparł się, że cokolwiek wie o konspiracji w Czortkowie, granatów oczywiście odmówił i powiadomił o wszystkim naszego gimnazjalnego profesora Opackiego. Ten kategorycznie zabronił angażowania się w walkę i prosił, aby Łoziński wspomniął »Gizkowi« o negatywnej decyzji »najwyższych czynników podziemia«. Profesor zdawał sobie sprawę z tego, co znaczy i jak się skończy atak na bolszewików”.

Nie posłuchano go, bo – jak wspomina Wiśniowski – jak „Gizek” wbił sobie coś do głowy, to nie było nikogo, kto by go odwiódł od pomysłu: „Więcej powiem: gdybym nie wiedział, kto w Czortkowie ma zamiar wywołać powstanie, to pytany o projektodawcę w pierwszej kolejności wskazałbym na Malawskiego”.

Człowiek z Borszczowa

W willi przy Grunwaldzkiej 6 pojawiał się też nieznany bliżej nikomu mężczyzna w wieku lat około 45. Świadkowie

zapamiętali, że przedstawiał się nazwiskiem Pańczuk lub Zacharczuk, w zależności od wersji podawanej w relacjach. Miał być emisariuszem bliżej nieokreślonych władz konspiracyjnych i oficerem-wykładowcą przedwojennej szkoły wojskowej. To właśnie jego nazywano „człowiekiem z Borszczowa”, miał bowiem jakoby utrzymywać kontakt z silnymi strukturami konspiracyjnymi w tym sąsiednim miasteczku.

Twierdził, że powstanie w Czortkowie ma być częścią szeroko zakrojonej akcji zbrojnej na okupowanych Kresach. Jej celem miało być odbicie polskich oficerów przetrzymywanych tu w więzieniu i szpitalu, a następnie ewakuowanie ich do Rumunii. To właśnie on prowadził odprawę przed wybuchem powstania, wyznaczając poszczególne cele i zadania.

Istnieje jeszcze wątek schwytanych w tym czasie osób przekraczających granicę rumuńską, biegnącą 40 kilometrów na południe od Czortkowa. Byli to bracia Jan i Stanisław Łyżwińscy, których rodzony i bardziej znany starszy brat nazywał się Michał Rola-Żymierski. Ten, współpracując – jak dziś wiemy – z Sowietami od wczesnych lat 30., nakłonił do tego także swoje młodsze rodzeństwo (na marginesie: Jan Łyżwiński to ten sam człowiek, który w 1914 r. skazany został na 18 lat więzienia w związku z głośnym wówczas napadem na krakowską filię wydawnictwa Gebethner i Wolff).

Moment i plan

Akcję zbrojną zaplanowano na 21 stycznia 1940 r. Symbolicznie, bo w przeddzień rocznicy wybuchu powstania styczniowego. Wybrany moment był sprzyjający – garnizon sowiecki został osłabiony wyjazdem dużej części żołnierzy na front fiński.

W niedzielę z 21 na 22 stycznia około godziny dwudziestej na chórze kościoła dominikanów spotkało się może dwustu konspiratorów. Podzielono ich na cztery grupy i przydzielono im odrębne zadania. Pierwsza z nich miała opanować koszary główne, druga – koszary dolne i więzienie. Trzecia grupa miała zająć samo miasto, a czwarta – przejąć stację kolejową.

Członkowie organizacji, którzy nie brali udziału w spotkaniu w kościele, mieli meldować się przed obiektami przeznaczonymi do opanowania. Jednak z powodu mrozu i obfitych opadów śniegu na miejsce zbiórki nie zdołało dotrzeć wielu konspiratorów z odleglejszych miejscowości.

Zasadniczym celem akcji miało być odbicie więźniów, których w budynku przy ulicy Mickiewicza przebywało przeszło tysiąc, a potem przedostanie się zdobytym na dworcu pociągami przez most na Dniestrze w Zaleszczykach do Rumunii.

Sygnalem do rozpoczęcia powstania było według jednych źródeł zawołanie „Z krzyżem!”, a według innych uczestników wydarzeń – melodia „Warszawianki” odegrana na trąbce.

Walka

Około wpół do dziesiątej wieczorem ośmioosobowa grupa przystąpiła do ataku na szpital. Mimo że tylko dwóch było uzbrojonych w broń palną, po krótkiej walce udało się, wykorzystując zaskoczenie, rozbroić posterunek wartowniczy i zająć budynek.

Był to pierwszy i jedyny sukces podczas całej akcji.

Równolegle z natarciem na szpital działania podjęła licząca ponad 40 osób grupa por. Janusza Kowalskiego. Jej członkowie zostali podzieleni na dwie podgrupy. Atakujący spodziewali się zdobyć większą ilość broni, której następnie miano użyć w celu opanowania reszty miasta. Ale teraz, ruszając do walki, byli uzbrojeni tylko w kilka karabinów przechowywanych jeszcze od września 1939 r., sztucery myśliwskie, noże, szable i bagnety.

W pierwszej fazie udało im się opanować bez wystrzału jedną z koszarowych bram, jednak pilnujący innego wejścia wartownik nie dał się zaskoczyć i otworzył ogień, co zaalarmowało żołnierzy stacjonujących w koszarach. Członkowie grupy przeznaczonej do ich opanowania rozproszyli się i stracili ze sobą łączność. Atak na koszary zakończył się zatem niepowodzeniem. Sowietci stracili jednego zabitego i jednego rannego oraz dwa karabiny.

Grupa wyznaczona do zajęcia urzędu pocztowo-telegraficznego została zaskoczona przez oddział sowiecki i rozbiegła się bez podejmowania walki. Z kolei oddział dowodzony przez Edwarda Prażanowskiego, wyznaczony do opanowania dworca i ochraniającej go jednostki NKWD, rozproszył się po tym, jak sam Prażanowski w towarzystwie kilku podkomendnych natknął się na sowiecki patrol.

Niedoszli powstańcy wycofali się i rozeszli do domów. W tej sytuacji nie przystąpili do akcji również ci konspiratorzy,



„Nasza armia niesie wyzwolenie robotnikom” – sowiecki plakat propagandowy usprawiedliwiający wejście Armii Czerwonej na teren Polski. Wrzesień 1939 r.

którym nie udało się dostać na miejsce zbiórki. Do walki nie zdołali się też włączyć ci wyznaczeni do opanowania górnych koszar, siedziby NKWD, posterunku milicji i budynku sądu. Łączne straty sowieckie wyniosły trzech zabitych i dwóch rannych żołnierzy.

Skazani

Tymczasem dowództwo sowieckie zaalarmowało wszystkie stacjonujące w mieście siły. Przez całą noc poszukiwano osób biorących udział w wydarzeniach. Nad ranem z Kopiczyniec nadjechał pociąg pancerny z kolejnymi żołnierzami, którzy przystąpili do przeczesywania miasta i aresztowania podejrzanych. Część konspiratorów

została zatrzymana, zanim jeszcze zdążyła dotrzeć do domów. Wielu innych aresztowano w ciągu kilku najbliższych dni.

Bezpośrednio po wydarzeniach z nocy z 21 na 22 stycznia 1940 r. w Czortkowie uwięziono 128 ludzi, z których 91 przyznało się do winy. Jak wspomina uczestniczka wydarzeń, wśród aresztowanych byli m.in. prawie wszyscy chłopcy-gimnazjaliści narodowości polskiej. Jak czytamy w meldunku generała NKWD Sierowa do szefa tej służby Berii: „Aresztowani to przeważnie młodzież narodowości polskiej, większość należała wcześniej do organizacji strzeleckich”.

Wśród skazanych na śmierć byli: podoficer zawodowy (plutonowy), dwóch

rolników, uczeń piekarski, księgowy, malarz, ekspedient, masarz, muzyk, dwóch ślusarzy, stolarz, kierowca, woźnica, fryzjer, kolejarz, strażnik więzienny, uczeń szkoły rolniczej, uczeń szkoły handlowej i dwóch gimnazjalistów.

Po niepowodzeniu akcji zarówno Heweliusz Maławski, jak też tajemniczy „człowiek z Borszczowa” zniknęli; nigdy o nich więcej nie usłyszano.

Raport

Nieznany z nazwiska konspirator, podpisany jako „działacz wiejski Związku Walki Zbrojnej” (główniej organizacji podziemnej, potem przemianowanej na Armię Krajową), tak pisał w swoim sprawozdaniu o wydarzeniach w Czortkowie: „Ja ze względu na metody i efekt końcowy nazwałbym to raczej »awanturą czortkowską«. Nastroje w społeczeństwie były nerwowe, spowodowane ciągłym filtrowaniem wiadomości z Rumunii o rzekomej obecności tam wojsk francuskich i polskich. Jeden z oficerów, podobno nawet nie z wyższych (kapitan), zorganizował w przeciągu niespełna dwóch tygodni komitet dla przygotowania powstania, które miało wybuchnąć równocześnie w całej Małopolsce 2 lutego 40 r. Przygotowania do tego powstania nie były za tajne, tak że ze względu na to, że samo kierownictwo mogłoby się w niedługim czasie samo zdekonspirować, przyspieszono wybuch. Z powodu nienależytego przygotowania powstał w mieście nieopisany chaos i żaden z zamierzonych celów nie został osiągnięty (zdobycie koszar, więzienia i dworca). Po około dwugodzinnej bezcelowej strzelaninie, w której wzięło udział dużo osób nie wtajemniczonych, »powsta- nie« się zakończyło”.

Autor raportu konkluduje: „Skutek był taki, że zamordowano 9-ciu bolszewików i że w dwóch następnych dniach NKWD aresztowało przeszło 600 z Czortkowa i okolicznych wiosek. Dziwię się, że ZWZ nie dowiedziało się w ten czas o tem, co było nieomal publiczną tajemnicą i nie oszczędziło setek aresztowanych”.

■■■

Ponad 80 lat później, 12 czerwca 2022 r., na Czortków spadły cztery rosyjskie rakietki wystrzelone z operujących na Morzu Czarnym okrętów. W wyniku ostrzału ranne zostały 22 osoby.

Ale to już inna historia.

© TOMASZ BASARABOWICZ

CO OZNACZA RÓWNOŚĆ

Współczesna genetyka coraz wyraźniej pokazuje, że wrodzone różnice wpływają na nasze życiowe sukcesy. To politycznie zapalny i niewygodny temat, tak dla prawicy, jak i lewicy. Ale dyskusji wokół niego nie unikniemy.

JAREK GRYZ

NA CAŁYM ŚWIECIE POLITYCY OBIECUJĄ swym wyborcom państwo, w którym wszyscy mają równe szanse. W najbardziej podstawowym znaczeniu „równe szanse” to równe traktowanie, a więc brak dyskryminacji. Ale gdy myślimy o równości szans, nie chodzi nam tylko o brak przeszkód w osiągnięciu naszych celów – chcemy mieć równe szanse w osiągnięciu tych celów.

Klasyczny liberalizm zakładał, że z moralnego punktu widzenia wszyscy ludzie są równi i powinni być tak samo traktowani przez prawo. Ale sprawiedliwe państwo, mówią krytycy liberalizmu, powinno robić coś więcej – działać na rzecz usuwania barier stojących na drodze społecznej mobilności.

Co zrobić, jeśli okaże się, że niektóre z tych barier są nieusuwalne? Różnimy się od siebie zarówno z powodów środowiskowych, jak i genetycznych. Możemy niwelować różnice pierwszego rodzaju, jednak nic nie poradzimy na odmienną koloru oczu czy urody. Ostatnie lata przyniosły ogromny postęp w badaniach nad dziedziczeniem takich cech osobowości jak inteligencja, wytrwałość czy pewność siebie i okazało się, że mają one istotny komponent genetyczny. Wielu z nas przyjmuje takie wyniki z podejrzliwością i obawą, bo cechy te – w przeciwieństwie do koloru oczu – są istotne dla sukcesu życiowego.

Determinizm społeczny, jaki te odkrycia pozornie implikują, jest dla wielu ludzi, szczególnie na lewicy, nie do przyjęcia, więc kwestionują oni wartość samych tych odkryć. To nie tylko błąd, ale też ucieczka od odpowiedzialności: zamiast zastanawiać się, jak pomóc tym, którzy w genetycznej loterii wyciągnęli gorsze losy, udajemy, że ich w ogóle nie ma.

Piętno eugeniki

Genetyka ma trudną historię. Moralnie neutralne badania nad dziedziczeniem zostały bowiem uwikłane przed ponad stu laty w rasistowską teorię dzielącą ludzkość na grupy lepsze i gorsze, za którą szedł postulat genetycznej eliminacji tych drugich. Bezpodstawne odwoływanie się do genetyki było źródłem jednej z najbardziej odrażających teorii społecznych XX wieku – eugeniki.

Ojcem eugeniki był Francis Galton (skądinąd wszechstronny naukowiec i jeden z twórców statystyki), który ukuł sformułowanie „*nature versus nurture*” (geny czy wychowanie). W wydanej w 1869 r. książce „*Hereditary Genius*” Galton uzasadniał różnice w strukturze klasowej Anglii wrodzoną biologicznie doskonałością: wielcy ludzie dziedziczyli wielkość po swych przodkach. Celem eugeniki miałyby być właśnie działania na rzecz ulepszania społeczeństwa poprzez



RONALD MARTINEZ / GETTY IMAGES



promowanie ras czy rodów bardziej wartościowych kosztem tych mniej wartościowych.

Od początku XX w. postulaty eugeniki stały się zaskakująco popularne w wielu krajach. Powstawały towarzystwa promujące jej idee, organizowano konferencje na jej temat, a co najważniejsze, zaczęto używać aparatu przymusu państwa dla „ulepszania” społeczeństwa. W Japonii, Brazylii, Szwecji, USA i wielu innych krajach podjęto masowe akcje sterylizacji ludzi chorych psychicznie oraz innych osób, które rząd uznał za społecznie niepożądane. I tak do lat 70. wysterylizowano przymusowo około 20 tys. Szwedów i 60 tys. Amerykanów. Apogeum eugeniki był jednak nazizm, który nie tylko stworzył szczegółową hierarchię genetyczną „ras” ludzkich, ale na jej podstawie dokonywał ich wybiórczej eksterminacji, wszystko dla rzekomej poprawy gatunku ludzkiego.

Nazizm skompromitował eugenikę ostatecznie, niestety rykoszetem oberwała też genetyka. Wielu ludzi uważa badania genetyczne za niebezpieczne, bo doprowadzić mogą one do odkrycia wrodzonych, a więc niezmiennych różnic między ludźmi, a to nieuchronnie, jak myślą, podzieli ich na lepszych i gorszych. Dwie publikacje wskazujące na genetyczne różnice rasowe, które ukazały się w drugiej połowie XX w. w USA, ugruntowały taki pogląd.

W 1969 r. psycholog wychowania Arthur Jensen opublikował artykuł, w którym uzasadniał fiasko programów wyrównywania szans w szkołach amerykańskich niskim poziomem inteligencji uczniów, dla których były one stworzone. Iloraz inteligencji, pisał Jensen, jest w dużej mierze wrodzony, więc trudno go znacząco podnieść interwencjami środowiskowymi. Ale najbardziej wybuchowa była obserwacja autora o tym, że uczniowie czarnoskórzy mają znacząco niższy przeciętny iloraz inteligencji niż biali. Reakcja na artykuł Jensena była gwałtowna, a sam Jensen był oskarżany o rasizm.

Ćwierć wieku później wybuchła kolejna bomba. Ukazała się głośna książka „The Bell Curve” („Krzywa dzwonowa”) →

Shawn Bradley (w środku, z numerem 44), jeden z najwyższych koszykarzy w historii. Dallas, USA. 6 grudnia 2000 r.

→ Richarda Herrnsteina i Charlesa Murraya, która powtarzała tezy Jensena. Autorzy wskazali też na trudne do zaakceptowania implikacje społeczne różnic w poziomie inteligencji: powstanie nowej intelektualnej elity i nieodwracalność pozycji społeczno-ekonomicznej czarnoskórych Amerykanów. Taki determinizm społeczny nie mógł być dobrze przyjęty i reakcja większości komentatorów była krytyczna (recenzent „New York Timesa” nazwał książkę „lubieżnymi wypocinami rasistowskiej pornografii”).

Zarówno Jensen, jak i autorzy „The Bell Curve” popełnili błędy metodologiczne i faktograficzne. Nie pomogło również to, że politycznie Murray był zdecydowanym konserwatystą. Jednak główna teza książki – iż inteligencja jest w dużym stopniu wrodzona – okazała się prawdziwa.

Dla wielu komentatorów, zwłaszcza lewicowych, nie ma to jednak znaczenia, bo dla nich wszelkie badania nad dziedzicznością czy genetyką zaczęły być równoważne propagandzie rasizmu. Niektórzy uważają wręcz, że należy takich badań zaprzestać. Ekonomista Charles Manski pytał pryncypialnie w 2011 r.: „Dlaczego nadal trwają badania nad dziedziczeniem? Nie wiem, dlaczego kontynuuje się prace w tej dziedzinie”, a historyk Nathaniel Comfort skonstatował, że „badania naukowe w tej dziedzinie napędza naukowy rasizm albo genetyczny futurizm”.

Wskaźnik poligeniczny

Pomimo tak nieprzychylnego klimatu wokół niej nauka o dziedziczności była rozwijana. Jedną z najbardziej popularnych metod są w niej badania nad dziećmi adoptowanymi, zwłaszcza bliźniętami. Pozwalają one na odseparowanie czynników środowiskowych od genetycznych. Jednojałowe bliźnięta są niemal w stu procentach identyczne genetycznie, a zatem kiedy wychowywane są osobno, różnice między nimi będą rezultatem wpływu środowiska.

Od lat 90. badanie na grupie ok. 20 tys. par bliźniąt z Wielkiej Brytanii prowadzi Robert Plomin. W ciągu tylko pierwszych dwudziestu lat zebrano 55 mln indywidualnych danych od rodzin, nauczycieli i samych osób badanych. Uzyskane wyniki pokazują, że osiągnięcia w nauce, sprawność w czytaniu, łatwość uczenia się języków obcych, orientacja w przestrzeni są w dużym zakresie wrodzone. Podob-

Jesteśmy w stanie
wybaczyć jednej osobie, która
wygrała genetyczną loterię.

Ale gdyby dotyczyło
to 10 proc. społeczeństwa,
**burzyłoby to nasze
poczucie sprawiedliwości.**

nie rzecz ma się z cechami osobowości, takimi jak brak empatii, hiperaktywność, a nawet zadowolenie z życia.

Przełomem w badaniach nad dziedzicznością było zsekwencjonowanie ludzkiego genomu. Teraz nie musimy się ograniczać do stwierdzenia, że cecha X jest dziedziczona w Y proc. (na co pozwalają tradycyjne badania na bliźniętach), ale możemy wskazać geny A, B czy C, które są za nią odpowiedzialne. Złożone cechy i osiągnięcia, takie jak osobowość, choroby psychiczne, długowieczność, inteligencja, wykształcenie, okazały się zależeć od wielu genów, a nie jednego konkretnego (jak często jest z chorobami genetycznymi), dlatego obecnie popularność zyskują badania nazywane w skrócie GWAS (ang. *genome-wide association study*). Ich celem jest skorelowanie wielu indywidualnych elementów genomu z mierzalnymi cechami ludzkimi. Tego rodzaju badania znajdują już także szerokie zastosowanie w medycynie.

W 2018 r. James J. Lee i współpracownicy po przebadaniu 1,1 mln ludzi znaleźli 1271 elementów genomu skorelowanych z poziomem wykształcenia. Odpowiednio ważona suma tych elementów nazywana jest wskaźnikiem poligenicznym. Każdy z elementów tego wskaźnika ma znikomy wpływ na to, ile lat spędzimy w szkole, ale wszystkie razem wpływają na ten efekt w znaczący sposób. W innym badaniu tego typu wykazano, że tylko 11 proc. osób z niskim poligenicznym wskaźnikiem osiągnięć edukacyjnych ukończy studia, ale dokona tego aż 55 proc. osób z wysokim wskaźnikiem. Liczby te pokazują też bardzo ważne ograniczenie tego rodzaju zależności. Otóż nie jest tak, że osoby z niskim wskaźnikiem nigdy nie kończą studiów, a osoby z wy-

sokim kończą je zawsze; czynniki środowiskowe też mają znaczenie. W istocie wspomniany wskaźnik ma podobny wpływ na poziom wykształcenia jak dochody rodziny, z której pochodziła badana osoba.

Na podobieństwo bananów

Odkrycia, jakich dokonano w ostatnich latach na temat dziedziczenia, są z jednej strony fascynujące, z drugiej – trudne do zaakceptowania. To, jakie geny dostaniemy w genetycznej loterii, w dużej mierze zdeterminuje nasze życie. Geny mają znaczny wpływ na nasze wykształcenie, a to z kolei przekłada się na sukces finansowy. W 2020 r. Daniel Barth i współpracownicy pokazali, że osoby z poligenicznym wskaźnikiem osiągnięć edukacyjnych z górnych 25 proc. miały w wieku 70 lat majątek większy średnio o 475 tys. dolarów niż osoby z dolnych 25 proc. wskaźnika

Z tradycyjnych badań na bliźniętach wiemy, że w znacznym stopniu – co najmniej w 50 proc. – dziedziczona jest inteligencja. Sama inteligencja to oczywiście dla sukcesu zawodowego czy społecznego za mało i psychologowie już od dawna słusznie podkreślają wagę inteligencji emocjonalnej i społecznej. Ale jak pokazała niedawno Kathryn Harden z Uniwersytetu w Austin, takie cechy jak wytrwałość, ciekawość świata, pewność siebie czy ambicja są też w ok. 60 proc. wrodzone.

I wreszcie, rzecz dla niektórych najtrudniejsza do przyjęcia, podobnie jak indywidualni ludzie, różnić się od siebie mogą także grupy etniczne. Ludzie mieszkający od wielu pokoleń w tej samej wsi są do siebie genetycznie podobni, bo potomstwo mają z partnerami znajdowanymi lokalnie. Populacje odseparowane od siebie geograficznie przez tysiące lat w naturalny sposób wytworzą różnice w genomie. To zjawisko wykorzystują popularne, komercyjne testy genetyczne, które na podstawie badań DNA potrafią wskazać, do jakich grup etnicznych należeli nasi przodkowie.

Podkreśla się często, że wszyscy ludzie mają w ponad 99 proc. taki sam genom. Ma to rzekomo pokazać, jak bardzo jesteśmy do siebie podobni i jak nieistotne są różnice genetyczne między nami. Rzecz w tym, że znaczna część genomu zapisuje podstawowe informacje na temat naszej budowy komórkowej i fizjologii. Z tego właśnie powodu dzielimy z szym-

pansami od 96 do 98,8 proc. genomu (zależnie od metody pomiaru), a z bananami aż... 60 proc. Czy to znaczy, że jesteśmy w 60 proc. podobni do bananów? Ten drobny ułamek całego genomu, którym różnią się od siebie dwaj przypadkowo wybrani ludzie, koduje to, na co w życiu zwracamy uwagę i co jest dla nas ważne: podatność na autyzm i schizofrenię, skłonność do nadwagi, wzrost, urodę czy wreszcie inteligencję. Różnice genetyczne między ludźmi istnieją i nie ma w istocie znaczenia, jaka część genomu jest ich źródłem.

Chowanie głowy w piasek

W przypadku wielu różnic genetycznych jesteśmy skłonni machnąć na nie ręką czy wręcz je podziwiać. Shawn Bradley urosł do 228 cm i dzięki temu zarobił w swej karierze koszykarskiej 27 mln dol. Stało się tak nie dlatego, że pił tran w dzieciństwie, ale dlatego, że wygrał los w genetycznej loterii. Dlaczego jego szczęście nam nie przeszkadza? Otóż wydaje się, że tak jak w prawdziwej loterii skłonni jesteśmy „wybaczyć” jednej osobie, że trafiła szóstkę, ale gdyby trafiało ją systematycznie 10 proc. społeczeństwa, burzyłoby się nasze poczucie sprawiedliwości. Oliwy do ognia dolewają zachodni pravicowi politycy, którzy cytując wyniki badań nad dziedzicznością, odmawiają sensowności programom społecznym mającym pomóc upośledzonym ekonomicznie czy edukacyjnie grupom społecznym. Wspomniany zaś już Charles Murray pisze w swojej książce „Human Diversity” z 2020 r., że „zewnątrzne interwencje mają w sposób zasadniczy ograniczony wpływ na osobowość, zdolności czy zachowania społeczne”.

Zdumiewające jest, że wiele osób o lewicowych przekonaniach akceptuje to rozumowanie. Oto antropolog Agustín Fuentes mówi: „Jeśli wierzysz, że czyjeś sukcesy jako prezesa firmy (...) są zapisane w DNA w jakiś sposób, to nie ponosisz żadnej odpowiedzialności i możesz zostawić wszystko po staremu”. Fuentes twierdzi oczywiście, że mamy moralny obowiązek działania na rzecz bardziej sprawiedliwego społeczeństwa. Dlatego nie pozostaje mu nic innego jak odrzucenie samego założenia i zaprzeczanie, jakoby występujące między ludźmi różnice genetyczne miały społecznie duże znaczenie.

Wielu ludzi lewicy, których rozumowanie ilustrują cytowani wcześniej Fuentes, Manski czy Comfort, obraziło się

na rzeczywistość i od kilkudziesięciu lat odmawia przyjęcia do wiadomości wyników badań nad dziedzicznością. Z tego powodu metodologiczne dyskusje wśród specjalistów psychologii i genetyki, jakie toczą się stale w każdej dziedzinie nauki, przedstawiane bywały przez publicystów jako nieodwołalne dowody fiaska całego przedsięwzięcia. Badania nad bliźniętami miały być obarczone fundamentalnymi błędami statystycznymi, szacunki poziomu wrodzoności miały być źle zdefiniowane – a zatem bezużyteczne, związek między DNA a cechami fenotypu to tylko korelacje, nie związki przyczynowo-skutkowe, a nawet jeśli są to związki przyczynowo-skutkowe, to nie znamy ich mechanizmu. Każdy z tych zarzutów okazywał się nieprawdziwy albo nieistotny dla wartości wyników genetyki.

Chowanie głowy w piasek jest najgorszą strategią. Na zachodzie skrajna prawica powołuje się na odkrycia w genetyce po to, by podważać potrzebę utrzymywania jakichkolwiek programów społecznych (co wcale z takich odkryć nie wynika). Lewica zaś, zamiast kwestionować takie wnioski, podważa tylko jego założenie. A kiedy lewicowy sceptycyzm wobec odkryć genetyki okazuje się nieuzasadniony – a do tej pory niemal zawsze tak było – to właśnie prawica zyskuje na wiarygodności w oczach obserwatorów. Jeśli ludzie o postępowych przekonaniach odmówią jakiegokolwiek zaangażowania w dyskusję na temat genetyki, to druga strona tę dyskusję zdominuje.

Dyskusja, której nie unikniemy

Oczywiście są na lewicy ludzie, którzy zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa takiej postawy. W 2021 r. ukazała się książka wspomnianej już Kathryn Harden, „The Genetic Lottery”, w której autorka pokazuje, jak pogodzić ideały lewicy z naturalnymi nierównościami genetycznymi. Myślą przewodnią książki jest takie oto ostrzeżenie: „Wielkim błędem jest uzależnianie postulatów równości i sprawiedliwości od braku różnic genetycznych. Nasze zobowiązania moralne stają się przez to fundamentalnie nietrwałe; obalić je może następny artykuł opublikowany w »Nature Genetics«”. Niektórzy genetycy idą o krok dalej. W 2018 r. genetyk i badacz ludzkiej prehistorii David Reich napisał w „New York Timesie”: „Jak przygotować się na ewentualność, że w nadchodzących la-

tach badania genetyczne pokażą, iż wiele cech ludzkich uwarunkowanych jest różnicami genetycznymi i że cechy te różnią się między populacjami? Zaprzeczanie tym różnicom będzie niemożliwe, głupie i nienaukowe”.

Wydaje się, że będziemy musieli pogodzić się z tym, że nierówności genetyczne nie znikną i będą widoczne w postaci nierówności społecznych. Wyobraźmy sobie bowiem, że udało nam się zrealizować ideał lewicy i usunąć wszelkie różnice środowiskowe, a więc zapewnić wszystkim takie same szanse realizowania swych talentów. Otóż różnice między ludźmi w ich sukcesach zawodowych, dochodach czy miejscu w hierarchii społecznej wcale nie znikną! Zamiast różnic generowanych przez mieszkankę środowiska i genów otrzymamy czysty obraz różnic wrodzonych, bo tylko one będą wtedy zauważalne. Co więcej, mogą być one nawet bardziej widoczne, ponieważ czynniki środowiskowe do tej pory je maskowały. Dane historyczne dotyczące związku między genami a poziomem wykształcenia pokazują, że dla kobiet urodzonych w okresie wojennym związek ten jest dużo słabszy niż dla mężczyzn z tego samego okresu. Dlaczego? Bo wiele uniwersytetów amerykańskich nie przyjmowało kobiet aż do lat 70. ubiegłego wieku. Innymi słowy, bariery instytucjonalne skutecznie ograniczały sukces zawodowy kobiet, niwelując tym samym efekt nierówności genetycznych między nimi.

Jak zatem radzić sobie ze stratyfikacją społeczną, którą wprowadza genetyczna loteria? Przede wszystkim odrzucić trzeba skrajną tezę, że nic się nie da zrobić. Wręcz przeciwnie, właśnie dlatego, że niektórzy zostali przez naturę gorzej wyposażeni, zasługują na większą pomoc ze strony państwa niż inni. Czujemy się zobowiązani, żeby zapewniać pomoc ludziom dotkniętym np. przez nieszczęśliwy wypadek. Dlaczego mielibyśmy odmówić tego samego tym, którzy mieli pecha genetycznego? Dlaczego ktoś ma być z tego powodu karany niższymi dochodami czy statusem społecznym? Jest kwestią zwykłej sprawiedliwości, by zapewnić rekompensatę najbardziej pokrzywdzonym członkom społeczeństwa.

Z drugiej strony porzucić chyba trzeba utopię doskonałego egalitaryzmu. Również dlatego, że istnieją między nami znaczące różnice genetyczne, nierówności społeczne będą trwałe. © JAREK GRYZ

ELIZA

Kącka: Grupa modlitewna „gawiedź”



DZWONI MAMA OD TEATRÓW DLA dzieci. „pani elizo, 1863, styczeń, rocznica! trzeba coś zmontować na szybko!”. „powstanie?”. „pani to zawsze! program słowno-muzyczny”. „oho”. „chciałabym

Sienkiewicza. dopasujemy coś?”. „ba, husarie”. „super! mogą być też teksty z innych powstań”. „tylko miesiące podmienić”. „a co z kostiumami, scenografią?”. „hm, tu trzeba postawić na Artura Grottgera”. „skontaktuje nas pani?”. „u, tego jeszcze nie robiłam”. „za kogo się pani przebierze?”. „za Bukę, w kir”. „to z Muminków!”. „świetnie, przecie nie byłoby tych trolli, gdyby nie mitologia powstania styczniowego”. „żartuje pani?!”. „gdzie tam”. „niech pani o tym powie na apelu! dyrektor mówił, że pani jest ryzykowna, ale powstania nie da się przegrać, nie?”.

Wycieczka klasowa do Londynu. pytam Rudą esemesowo, co najbardziej jej się podoba. „Chinatown” – odpowiada. tak, słała zdjęcia z prze wagą czerwonych akcentów: witryny, szyldy, elewacje, lampiony, lampiony. czerwień plastikowa, atrapowata, jak w domku dla lalek. „tak trochę bajkowo” – piszę dziecku, myśląc o miejskiej karuzeli z pagodami i lateksowym smokiem. „tu jest ładny sufit” – pisze Ruda. „teraz, nad tobą?”. „ta dzielnica ma sufit”. „z lampionów?”. „tak” – i śle kolejne zdjęcia z szeregiem czerwonych uli na szarejącym tle miasta. „wiesz – piszę – sufitem jest niebo”. cisza. po godzinie dostaje: „niebo jest za daleko”.

dwie starsze w 501: „ja się boję, że mój syn się zamknął”. „nie rozmawia z panią?”. „to nie to, pani Małgosiu, on się duchowo odciął”. „aaa, duchowo, to trzeba działać!”. „co pani poleca, pani jest we wspólnocie”. „Świętego Józefa na pierwszy rzut. nowenna z postem ścisłym”. „wystarczy?”. „powiem tak: zawsze można to kombinować z Judą Tadeuszem. on jest od spraw beznadziejnych”. „rozumiem”. „tylko nie bać się ich męczyć! ja już mam taką praktykę, że umiem wyczuć, ile muszę wyklęć. pani musi ostro, nie dać się zbyć”. „od dziś”. „jedna z naszych koleżanek we wspólnocie miała też, powiem pani, dobre doświadczenia z jedną wróżką, taką modlącą. ona działa na tarotach, ale jest bogobojna”. „a to tak można?!”. „ja pani powiem, tak na dziś, że trzeba łączyć metody”.

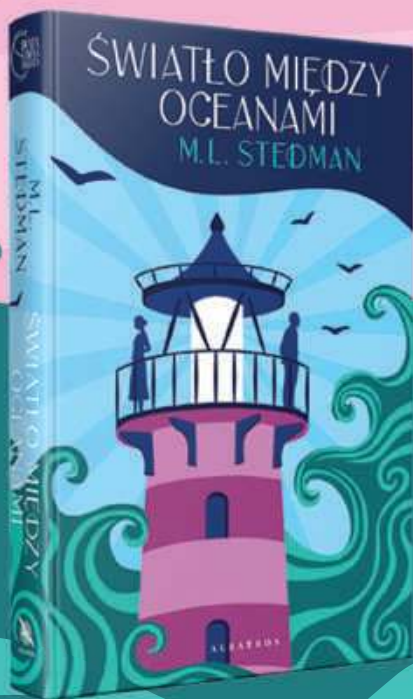
Wyimek od koleżanki-praktykantki: „Ballada to utwór, w którym musi wystąpić osoba odmienna albo po prostu z mora. Do opisu wybieram »Romantyczność« Mickiewicza. Od razu zaznaczam, że tytuł jest mylący i nie nawiązuje do treści, która mnie szokuje. Akcja dzieje się w miasteczku z prowincji nieznanym z nazwy (pewnie dla bezpieczeństwa). Na plan pierwszy wybija się Karusia, która załamała się nerwowo po śmierci partnera. Z treści wynika, że nikt jej nie pomaga a wszyscy się tylko patrzą. Jest jeszcze grupa modlitewna »gawiedź«, która pewnie boi się chorób psychicznych, co trudno im zarzucić w tamtym stanie wiedzy. Najbardziej nie podoba mi się narrator, który wprost pasożytuje na historii tej osoby. Jeśli to naprawdę Mickiewicz, to jak na wieszca daleko się posuwał. Starzec przynajmniej nie udawał empatii. Mickiewicz za to kończy swój utwór banałami o sercu podczas, gdy z satysfakcją patrzył na to jak kobieta się obmacuje publicznie. Pewnie nie zaliczę tej klasówki, ale musiałam to napisać”.

Idl, Czerniakowska, sąsiad z kamienicy. ja na wyszczerzu serdecznym spod czapki, on płoszy się: „a to żeśmy się wypuścili”. „eee, dwie przecznice raptem”. „ja zawsze tylko do Iwickiej dochodzę”. kolejne spotkanie przy mrozonkach: „sąsiadka wybaczy, cofnę się do pieczywa”. wybaczy. przy napojach: „o, znowu pani, jaki ten świat mały. może wodę?”. biorę trzy. „tam są alkohole”. „aha”. „ja tu jeszcze z zewnątrz jestem, to tylko pójde popatrzeć”. uśmiecham się. spotkanie przy kasach. nachyla się kordialnie: „no to co, od dziś zdradziliśmy biedronkę”. pakt osiedlowy.

anonis konkursu dostałam, Warmianka: „Szanowni Państwo, organizujemy konkurs literacki »Rzeki Ojczyste«. Celem konkursu jest zapoznać uczniów z wodami regionu. Rzeki od wieków inspirują Polaków. Przykładem Wanda i inni Patrioci. Karol Wojtyła uświęcił swoimi spływami wiele wód. Przez rzeki na koniu często przepływali dowódcy. Oczywiście wszystkich Polaków zwrócone są na Wisłę, lecz pora odkryć rolę rzek wyklętych z naszej pamięci. Pragniemy skłonić Państwa ku napisaniu tekstu o rzecze z Państwa rejonu. Preferujemy najchętniej wiersze (umieścimy je w dwóch rozdziałach: Wojtyliana, Pozostałe), ale przyjmujemy również rozważania. Laureatów zaprosimy na spływ rekolekcyjny z Kapitułą Konkursu (szczegóły w załączeniu)”.

Commentarz Północny, grób sąsiedni. „co gmerasz w dziadka wianku?”. „chcę kwiatek na grób kotka”. „wieniec są dla ludzi!”. „ale dlaczego nie zakopałście kotka z dziadkiem? on by się ucieszył”. „dziadek się nie cieszy, bo nie żyje”. „synku, dziadziś jest w niebie. kotek nie ma duszy i nie może iść do nieba”. „ale babcia mówiła, że ten wypadek to kara za dziadka grzechy. a kotek był dobry i nie drapał!”. ©

PORUSZAJĄCA OPOWIEŚĆ O NISZCZYCIELSKIEJ SILE NIEWŁAŚCIWYCH WYBORÓW.



O ZŁYCH DECYZJACH
DOBRYCH LUDZI.

I O SZCZĘŚCIU,
Z KTÓREGO TAK TRUDNO
ZREZYGNOWAĆ...

”

*Latarnie morskie są
niesamowicie uzależniające,
a ich historia fascynuje
i pobudza wyobraźnię.*

M.L. STEDMAN
dla „Publishers Weekly”



WYDAWNICTWO ALBATROS



PIĄTA STRONA ŚWIATA
BO ŚWIAT MA WIĘCEJ NIŻ CZTERY STRONY...

REKLAMY

1,5%


CZERWONE NOSKI
KŁOWN W SZPITALU

Wspieramy dzieci
w trakcie leczenia w szpitalu.

Łagodzimy stres, lęk i przynosimy uśmiech.

KRS: 0000428469

Przekaż
1,5 %



www.czerwonenoski.pl

BIOGRAFIA DŁONI

Za oknem, w przerwie między zasłonami, Barry Lopez widział chmury, ptaki, gwiazdy. Obcując z mrokiem, szukał światła i za wszelką cenę starał się do niego dążyć.

ADAM ROBIŃSKI

NIE WIEMY WIELE POZA TYM, ŻE TO SOBOTA; któraś z wiosennych sobót w pierwszej dekadzie dwudziestego pierwszego wieku. Światowej sławy amerykański pisarz wysiada z samolotu w Krakowie, gdzie nikt na niego nie czeka. Nikogo nie poinformował o swoim przylocie, z nikim się nie umawiał. Ma własną agendę: przede wszystkim zobaczyć „Krajobraz z miłosiernym Samarytaniem” Rembrandta w Muzeum Książąt Czartoryskich, a potem pojechać do Auschwitz-Birkenau. Ma nadzieję, że wizyta w obozie koncentracyjnym – pomniku niehumanitarnych zbrodni, które zostały powszechnie potępione – pomoże mu zrozumieć ludobójstwa, do których dochodziło w jego ojczyźnie na pierwszych mieszkańcach Ameryki Północnej. Spacerując po barakach, czuje nagły przypływ paniki, „jakby próbował pływać w benzynie”. Choć ekspozycja przeznaczona jest wyłącznie dla dorosłych i młodzieży, widzi dzieci. Słyszy rozmowy i dzwonki telefonów. Być może ten brak poszanowania dla ofiar Holokaustu – notuje wieczorem w restauracji na Starym Mieście – czyni dla wielu osób zmierzenie się z nazistowskim okrucieństwem w ogóle możliwym. Uświadamia też sobie, że to, co przeżył w Bloku 11, było załamaniem umysłowym, ale nie emocjonalnym.

Następnego dnia wraca do Oświęcimia, by zobaczyć wystawy, na które wczoraj zabrakło mu siły. W Bloku nr 13, katowni Romów, ostatecznie się rozkleja. Cztery samoloty później, już w domu, zastanawia się, co tak naprawdę oznacza hasło „Nigdy więcej”, i jeśli bierzemy je na poważnie, to czemu w muzeum Auschwitz nie ma tablicy o późniejszych zbrodniach Stalina, o gułagach, o dyk-

tatorach: Marcosie na Filipinach, Stroessnerze w Paragwaju, Taylorze w Liberii, Miloševiću w Serbii. O „*iNunca más!*”, „Nigdy więcej!”, wykrzykiwanym przy tylu innych okazach, które nigdy nie są ostatnimi.

Coś w zamian

Esej Lopeza o tym właśnie tytule – „*iNunca más!*” – kończy się pytaniem, które pisarz zadaje znajomemu dziennikarzowi, ekspertowi od spraw bliskowschodnich: na kim spoczywa większa odpowiedzialność za to, by – w wyświechtanym już hasle – wciąż kryła się jeszcze jakaś moc? Czy chodzi o rządy, czy o obywateli, mijanych na lotniskach ludzi, którzy tkwiąc w naiwności i zaprzeczeniu, po cichu zgadzają się na politykę prowadzącą do kolejnych zbrodni?

„Obowiązkiem pisarza nie może być autorytarne rozkazywanie czytelnikowi, tylko sprawozdanie: Oto, co widziałem, co o tym myślisz?” – mówił „Tygodnikowi” w 2020 r. w wywiadzie przeprowadzonym na okoliczność polskiego wydania „Arktycznych marzeń”, a więc książki, która uczyniła z niego autora rozpoznawalnego. Pytanie bez odpowiedzi – w twórczości Lopeza ów zabieg nie jest przejawem lenistwa, ale głębokiego przekonania o roli opowiadania historii w kształtowaniu postaw i społeczeństw. Więzi, która łączy twórcę i odbiorę, oraz odpowiedzialności, jaka spoczywa na tym pierwszym. Jeśli autor prosi, by poświęcić czas na jego słowa, musi w zamian dać coś wartościowego. Najlepiej – opowieść, która pomaga. Albo pytania, które zawisną na dłużej. W opublikowanym właśnie po polsku „Horyzoncie” →

Barry Lopez, California, USA, 2008 r.

PETER DASILVA / NEW YORK TIMES / EAST NEWS





→ (w Stanach Zjednoczonych w 2019 r.) Lopez prosi o mnóstwo czasu – przeczytanie ponad pół tysiąca stron książki, którą pisał 35 lat, zajmuje dni, jeśli nie tygodnie.

Obcując z jego bogatą bibliografią – począwszy od „O wilkach i ludziach” (polskie wydanie 2021; nadwiślański rynek odkrył go zaskakująco późno), przez nie-tłumaczone na nasz język zbiory esejów, po równie cenioną w Ameryce prozę Lopez – nie sposób nie zauważyć, że jawnie autobiograficzny charakter ukończonego na parę lat przed śmiercią „Horyzontu” czyni go książką w jego dorobku wyjątkową. Żeby pozostać wiernym swoim przekonaniom, na jej kartach daje czytelnikom i czytelnikom to, co ma najcenniejszego – historię swojego życia. Pacyficzne wybrzeże Ameryki, kanadyjska Arktyka, wschodnia Afryka równikowa, była kolonia karna Port Arthur na Tasmanii, Antarktyda – był niewątpliwie wiercipiętą.

Za podróżami Lopez kryła się chęć doświadczenia surowca, materii, z której budował zdania i metafory. Opuśczenia intelektualnej strefy komfortu, w której tkwił w bezpiecznym, znanym na wylot środowisku górskich lasów Oregonu.

Interesowało go to, jak ludzie wypełniają sobą i swoimi narracjami fizyczną przestrzeń. Odwiedzał przede wszystkim te miejsca, w których było jej najwięcej – a więc pustynie i obszary polarne – bo tam najłatwiej było owe opowieści odkryć. „Horyzont” to autobiografia opowiedziana takimi właśnie krajobrazami.

Wilk jako mīt

Urodził się w styczniu 1945 r. w stanie Nowy Jork. Wychował się w rozbitej rodzinie (wolał mniej piętującą nazwę „rodzina z jednym rodzicem”), z którą przeniósł się najpierw do Kalifornii, do rolniczej wówczas doliny San Fernando, gdzie płynęła niezabetonowana jeszcze rzeka Los Angeles. Potem, w wieku jedenastu lat, z ojczymem u boku matki, wrócił na wschodnie wybrzeże, na Manhattan. Przekonany, że w przyszłości będzie żyć z uprawy ziemi, ze smakami i zapachami słonecznej Kalifornii w sercu, wspomnieniem rozległej przestrzeni tamtejszych pustyń, nagle znalazł się pomiędzy drapaczami chmur, wyrwany z kontekstu społecznego, pozabawiony znanych punktów zaczepienia.

Inżynieria, którą zaczął studiować na Uniwersytecie Notre Dame, była niepo-

Pierwsze wspomnienia dłoni to piersi matki, podłoga, krawędzie mebli, dzięki którym mały człowiek staje na własnych nogach.

Edukacja dłoni przypomina uczenie się języka.

rozumieniem, jednak to właśnie na studiach odkrył w sobie pierwiastek tułaczy. W każdy weekend wsiadał w samochód i pokonywał setki kilometrów, rozglądając się po okolicy. Najwyraźniej gnała go tęsknota za tym, co zostawił na zachodnim wybrzeżu. Zacztywał się w Hemingwayu, Faulknerze, Hardym. Jednocześnie sam zaczął pisać opowiadania. Jego stosunek do słowa pisanego wykrystalizował się jednego popołudnia na drugim roku studiów, kiedy urwał się z zajęć na wieczór autorski poety Roberta Fitzgeralda, który prezentował swój nowy przekład „Odysei”. Poruszył go nie tyle sam tekst, co podniosła, emocjonalna atmosfera odczytu. Cokolwiek Fitzgerald zrobił tamtego dnia ze słuchaczami, Lopez chciał czynić to samo.

Nie wytrzymał zbyt długo na kursie pisarskim Uniwersytetu Oregońskiego, jednak zdążył nabrać przekonania, że pole akademickiego widzenia jest ograniczone. „O wilkach i ludziach” nie było jego debiutem (wcześniej wydał dwa tomy opowiadań), ale to właśnie ta książka z 1978 r. wyznaczyła mu dalszą pisarską ścieżkę. Zbierając materiały, wiedzę czerpał nie tylko z naukowych opracowań. Równie ważne były dla niego ustne przekazy rdzennych mieszkańców Ameryki Północnej. Chodził w teren z ludźmi, którzy stawali się jego oczami i uszami.

Wilk – nie tylko jako biologiczne stworzenie, ale również istota mitologiczna, obiekt zainteresowania kultury, nośnik wierzeń i uprzedzeń. Ludowość, w Europie zwykle prząsna i ciężkostrawna, w realiach amerykańskich, gdzie przekazy ustne są wciąż żywe, okazała się atrakcyjna literacko. Szła za nią autentyczna mądrość, na którą mało kto zwracał wcześniej uwagę. „Ustalane figury, które nazywamy konstelacjami, istnieją tylko dla kogoś, kto patrzy na nie z Ziemi. Gdybyśmy zapytali, gdzie jest góra, a gdzie dół czego-

kolwiek, co widzimy, albo gdzie jest lewa albo prawa strona gwieździstej kopuły, kwestia ustalenia kształtu konkretnych gwiazdozbiorów stałaby się jeszcze bardziej kłopotliwa” – pisze w „Horyzoncie”.

Nie ma jednej, uniwersalnej prawdy o świecie, są tylko perspektywy, które składają się na coś większego. Jaki jest zatem właściwy i budzący zaufanie punkt widzenia w przypadku gwiazdy Deneb? Jaką przewagę ma nazwanie paru punktów na niebie Wielką Niedźwiedzicą, nad stwierdzeniem, że to jest przecież łuk, myśliwy albo pułapka na lososie?

Skrawek nieba

Podobną metodę pracy przyjął podczas pisania „Arktycznych marzeń” (1986), za które dostał jedną z najbardziej prestiżowych nagród literackich za Atlantykiem – National Book Award. Głębokie przekonanie o słuszności własnej drogi trafiło nawet do podtytułu książki: „Wyobrażenia i pragnienia w krajobrazie Północy”. Jego mentorami stali się przedstawiciele ludów eskimo-aleuckich.

Trzeba pamiętać, że w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy „Arktyczne marzenia” miały swoją premierę, Północ nie cieszyła się specjalnym zainteresowaniem. Był to czas, kiedy koncerny naftowe dopiero odkrywały tamtejsze złoża, a turystyka omijała wysokie równoleżniki szerokim łukiem. Lopez niejako osadził Arktykę w powszechnej świadomości. Wtedy też stał się kimś ważnym dla całej masy kolegów i koleżanek po fachu. Dla nich ważniejsze było nie to, o czym, ale jak pisał. Lopez pokazał, że literatura faktu, w tradycji anglosaskiej definiowana na bazie negacji – jako non-fiction – może być włączająca, czerpać jednocześnie z poezji i prozy, nie bać się subiektywizmu autora, a wręcz się nim chlępić. Równie skutecznie co inne gatunki posługiwać się metaforą.

Lopez, podobnie jak kapitan James Cook, którego śladami podąża na łamach „Horyzontu”, był świadom, że pewnych rzeczy nie da się zmierzyć, „rozumiał, co dzieje się w chwili ciszy pomiędzy dwoma nutami”, wiedział też, że owe momenty są niezbędne. Był przekonany, że opowieść potrafi uratować czyjeś życie, że są ludzie, którzy potrzebują opowieści tak samo jak wody i pożywienia. Podróżując po ostojach rdzennych kultur, często pytał ich przedstawicieli: kim jest opowiadacz historii: „W Yellowknife na Teryto-

riach Północno-Zachodnich w Kanadzie usłyszałem, że jesteś nim, dopóki twoje historie są pomocne. Z kolei w inuktitut (języku Eskimosów) na wschodzie kanadyjskiej Arktyki opowiadacz to ten, kto tworzy atmosferę, w której mądrość odświeżania się sama”. Mądrość jako zwierzę, które można oswoić.

Po wydaniu „Arktycznych marzeń” skupił się na opowiadaniach i eseistyce. Publikował w magazynach literackich i podróżniczych. Odbывał podróże, czytał i notował ustępy „Horyzontu”, na który umowę podpisał w połowie lat osiemdziesiątych. Nigdzie mu się z tą książką nie spieszyło. Zupełnie jakby wiedział, że będzie jego ostatnią. To zresztą zaskakujące podejście – autobiografia nie jako podsumowanie, ale dzieło życia, na pisanie którego poświęcił się jego połowę. I na dodatek takie, w którego centrum stawia się nie siebie samego, tylko wszystko inne. Adoracja planety, na której spędziło się życie, a nie własnego ego: „Młody człowiek odwiedzający stanowisko archeologiczne na wyspie Skraeling jest tym samym, który pod koniec książki spotyka nieznanego na drodze do Port Famine – ale jednocześnie już kimś innym”.

Po drodze miał jednak jeszcze kilka spraw do załatwienia. W 2013 r. w głośnym esej „Sliver of Sky” („Skrawek nieba”) na łamach magazynu „Harper’s” przyznał, że jako dziecko padł ofiarą molestowania seksualnego. W wywiadzie dla „Tygodnika” tak opowiadał o okolicznościach jego powstania: „Dwadzieścia lat temu usłyszałem od znajomego, że zna tylko jedną krytyczną rzecz, jaką ludzie mówią o moich książkach: czują się podniesieni na duchu, ale ci, którzy sporo się w życiu nacierpieli, mają wątpliwości, czy można mi zaufać. Czy pisałbym to wszystko, gdybym sam się wycierpiał? Było w tym wiele mądrości, a to pytanie wisiało nade mną latami. (...) Miałem wiele powodów, by to zrobić, ale chyba najważniejszym było powiedzenie moim czytelnikom: choć tego po mnie nie widać, to naprawdę wiem, co macie na myśli, gdy opowiadacie, że zostaliście zgwałceni. Jako dziecko byłem gwałcony przez cztery i pół roku. Nie miałem ojca, do którego mógłbym się zwrócić. Musiałem sobie poradzić sam lub umrzeć. Wiem, co to znaczy żyć w przekonaniu, że jest się najbardziej bezwartościową osobą na świecie”.

Tytułowy skrawek nieba był przerwą między zasłonami a ramą okna, gdzie

wędrowało spojrzenie chłopca, do którego łóżka pakował się znajomy matki. Widział w niej chmury, ptaki, gwiazdy. Obcując z mrokiem, Lopez szukał światła i za wszelką cenę starał się do niego dążyć.

Ślad po obrączce

Kiedy w pierwszych dniach 2020 r. dzwoniłem do niego do Oregonu na potrzeby wspomnianego wywiadu, znałem oczywiście ten tekst, ale nie spodziewałem się, że Lopez sam nakieruje naszą rozmowę na tory własnych traum. Skończywszy mówić o terapii, jaką przechodził przez dużą część dorosłego życia, płynnie wkroczył w temat swoich zmagania z nowotworem. Powtarzał słowa onkolożki, które usłyszał wraz z diagnozą: to nieuleczalna choroba, nie będzie żadnej remisji, ale możemy sobie z nią radzić. Razem. Kiedy wywiad zmierzał do końca, a dyktafon był już wyłączony, pisarz zaczął pytać mnie: o to, co widzę za oknem i co będę robił przez resztę wieczoru. „Mocno uściskaj ode mnie swoich synów – dodał. – Powiedz, że to od kogoś, kto mieszka po drugiej stronie planety”. Po dwóch godzinach takiej rozmowy można się poczuć kimś bardzo wartościowym.

A gdyby tak opowiedzieć człowieka nie przez pryzmat jego umysłu czy serca, ale ciała? Trzeba by skupić się na fakturach, kształtach, odczuwaniu temperatury z otoczenia. Ranach i bliznach widocznych, *nomen omen*, jak na dłoni. Gleba, rośliny, sierść psa, płatki śniegu, własna, pomarszczona skóra, ale też cała masa kompozycji i produktów przemysłowych: klawiatura komputera, popękany wyświetlacz telefonu, kubek z kawą.

Żadne spojrzenie czy słuchanie nie zbliża tak intensywnie jak dotyk: „Moje dłonie narodziły się zimą 1945 roku, dwie godziny przed wschodem słońca. Siedząc z nimi dziś, dwa tysiące lub więcej mil od tamtego miejsca, obracając każdą z nich starannie w ostrym słońcu, obserwując, jak bezwzględne światło wydobywa blade linie dawnych skaleczeń, widząc dziwny fałd na serdecznym palcu lewej ręki, wiem, że mają swoją historię, choć nie potrafię przypomnieć sobie jej początków” – zastanawiał się Lopez w eseju „A Passage of the Hands” z tomu „About This Life” („O tym życiu”).

Pierwsze wspomnienia dłoni to muszą być piersi matki, podłoga, krawędzie mebli, dzięki którym mały człowiek staje

na własnych nogach. Edukacja dłoni, pisze Lopez, przypomina uczenie się języka: gromadzenie prostych słów, składanie ich w zdania, wreszcie umiejętność rzeźbienia pouczających metafor. Skóra szkolnego ołówka, chłód płatków kamelii, dłonie złożone do modlitwy, utrata niewinności poprzez położenie wskazującego palca na spuście strzelby. Zachwyt nad dłońmi innych stworzeń – łapą wilka, kopytem karibu, płetwą kaszalota – z pełną świadomością, że każda z nich ma swoją biografię. Albo poruszająca refleksja, która przychodzi po pozornie błahym komplemencie: „Masz dłonie swojej matki”.

Wierzbowe patyki

Z ostatnich miesięcy życia dłonie Barry’ego Lopeza zapewne zapamiętały przede wszystkim gorąc płonącego lasu Willamette. Pot ocierany z czoła podczas pośpiesznej ewakuacji, zbierane z twarzy łzy oraz pył osadzający się pod paznokciami podczas grzebania w pogorzelisku – pozostałościach po domu. Pracowni, którą znały na wylot, archiwum, które było owocem ich wieloletniego skakania po klawiaturze maszyny do pisania.

W „Horyzoncie” Lopez pisał o czułym umiłowaniu tego, co w swoim najgłośniejszym wierszu Adam Zagajewski nazwał „okałeczonym światem”. Amerykanin często sięgał zresztą po tych kilka wersów polskiego poety, chyba żaden twórca tak głośno nie wziął sobie do serca jego wiersza. Nie mógł się spodziewać, że na ostatnim etapie życia sam stanie się opiewanym w nim uchodźcą, który siedzi donikąd.

Gdy parę miesięcy po pożarze domu, wymęczony walką z nowotworem, organizm nie miał już siły na nic, pisarz siedł nad rzekę, a potem wracał do gabinetu z naręczem patyków. Chciał je mieć również przy łożu śmierci. Pozbawione kory i łyka lyse wierzbowe patyki miały mu do ostatnich chwil przypominać najważniejszą z lekcji: że cokolwiek by się nie działo, trzeba po prostu robić swoje. Tak jak od paru milionów lat robią to bobry. Jeszcze jedna pomocna metafora.

© ADAM ROBIŃSKI



Barry Lopez
HORYZONT
przeł. Jarosław Mikos,
wyd. Marginesy 2023



Peryferie w centrum

PIOTR KOSIEWSKI

Malarstwo XIX-wiecznych artystów skandynawskich jest jednym z największych odkryć ostatnich dekad. Natura jest w nim kluczową częścią tożsamości i budowania narodowej identyfikacji.

JESTEŚMY JEDNYM LUDEM – NASZE IMIĘ Skandynawowie” – deklarował Hans Christian Andersen w 1839 r. Nie była to wówczas powszechna identyfikacja. Przeciwnie, poszczególne kraje nordyckie dzieliła przeszłość, wielowiekowe często podziały, polityczne interesy. Różny był też status poszczególnych państw.

Dania, niegdyś regionalne mocarstwo, nadal władała Islandią, Wyspami Owczymi i Grenlandią. Jednak w 1814 r. straciła Norwegię, która od tego czasu była związana unią personalną ze Szwecją – niepodległość uzyskała w 1905 r. (Dania straciła też w 1864 r. Szlezwik-Holsztyn na rzecz Prus). Z kolei Finlandia w 1809 r. została podbita przez Rosję

i do ogłoszenia w 1917 r. niepodległości pozostawała częścią Imperium Romanowów. Islandia zaś niepodległość uzyskała dopiero w 1944 r.

Późno odkryte

Idea wspólnoty, która miałyby łączyć kraje nordyckie, powstała w kręgach elit intelektualnych doby romantyzmu za-fascynowanych średniowieczną historią i kulturą tego regionu, dawnymi mitami i dziejami, opisanymi m.in. w „Eddzie” i średniowiecznych sagach. W kolejnych dekadach ta koncepcja ewaluowała, by z czasem okazać się atrakcyjną także dla środowisk politycznych i dworów królewskich. Wreszcie stała się podstawą dla funkcjonującej do dziś wspólnoty krajów nordyckich.

Do pradawnych mitów, wierzeń czy odległych dziejów odwoływała się także sztuka, która, podobnie jak

w innych krajach, w XIX wieku stała się narzędziem do budowy narodowej tożsamości. Do kanonu tamtejszej sztuki do dziś należą obrazy Akselego Gallena-Kalleli przedstawiające losy bohaterów fińskiego eposu „Kalevala” czy odwołujące się do norweskich legend dzieła Gerharda Munthe’go, który podkreślał, że „nie ma innej drogi do dobrej sztuki (takiej, która w dłuższej perspektywie stanie się międzynarodowa) niż przez bycie bardzo narodową”.

Na wystawie „Przesilenie” w Muzeum Narodowym w Warszawie znalazły się prace obu artystów, w tym tkaniny wykonane według projektów Gerharda Munthe’go. Przypominają one o innym fenomenie tamtejszej sztuki – odrodzeniu rzemiosła artystycznego, czerpiącego inspirację z tamtejszej sztuki ludowej, które stworzyło podstawy dla XX-wiecznego designu, będącego dziś jednym ze znaków rozpoznawczych Skandynawii. Jednak to nie one tworzą współczesne wyobrażenia o tej części Europy, jej tożsamości, przestrzeni i ludziach ją zamieszkujących. I nie są już podstawowym narzędziem do tworzenia własnej samoidentyfikacji.

Malarstwo XIX-wiecznych artystów skandynawskich jest jednym z największych odkryć ostatnich dekad. Wyjątkiem od reguły był Edvard Munch, którego prace już dawno weszły do ścisłego kanonu nowoczesności, a nawet, jak „Krzyk”, stały się częścią kultury masowej. Teraz można wręcz mówić o swoistej modzie na Skandynawię. W Paryżu, Londynie i innych europejskich miastach organizowane są kolejne wystawy jej poświęcone, a prace skandynawskich twórców trafiły na stałe ekspozycje w najważniejszych muzeach, jak Luwr i Musée d’Orsay w Paryżu czy National Gallery w Londynie.

Codziennosc

W warszawskim Muzeum Narodowym znalazło się ponad 100 dzieł artystek i artystów z Danii, Finlandii, Islandii, Norwegii i Szwecji, którzy w przeważającej części urodzili się w latach 50. i 60. XIX w. Przyszło im tworzyć w czasach szybkich zmian społecznych, gospodarczych oraz kulturowych: kształtowania się nowoczesnej



KIRSTEN BOJSTRUP / SKAGENS KUNSTMUSEER



OVE KVAVIK / MUNCHMUSEET OSLO

Od góry:
Oscar Björck, Wodowanie łodzi w Skagen, 1884 r.
Edvard Munch, Melancholia, 1900-1901 r.

Z lewej:
Gerhard Munthe, Zalotnicy (Córki zorzy polarnej), 1908 r.



LISTASAFN ISLANDS

Þórarinn B. Þorláksson, *Rzeka Hvítá*, 1903 r.

→ świadomości narodowej, ale też demokratyzacji samych społeczeństw. Urbanizacji i uprzemysłowienia, szybkiego wzrostu miast, ale też przemian zachodzących na wsi, dla których duże znaczenie miały ruchy religijne oraz związany z nimi rozwój na masową skalę aktywności społecznej, od szkolnictwa i uniwersytetów ludowych po organizację trzeźwościową.

„Przesilenie” pokazuje twórczość będącą reakcją na te procesy modernizacyjne. Kuratorzy wystawy skupili się przede wszystkim na zainteresowaniu artystów i artystek tradycją ludową, wsią, życiem i kulturą jej mieszkańców. Wielu z nich, jak Finowie Akseli Gallen-Kallela czy Pekka Halonen, przeniosło się na prowincję. Fenomenem na europejską skalę – i wzorem dla wielu podobnych – stała się kolonia artystyczna w niewielkiej duńskiej wiosce rybackiej Skagen, w której wokół małżeństwa artystów Anny i Michaela Ancherów od lat 70. XIX w. zgromadziła się grupa czołowych wtedy twórców Danii, Peder Severin Krøyer i jego żona Marie, ale też jeden z najwybitniejszych norweskich twórców Christian Krohg czy Szwed Oscar Björck. Ich obrazy przedstawiające codzienne życie rybackiej społeczności oraz nadmorskie pejzaże to obecnie dzieła ikoniczne.

Przyroda, widoki jezior, gór, rzek, groźnych skał, podmokłych łąk, często bezludne, bez śladów zabudowy, lasy pokryte warstwami śniegu i rozświetlone plaże – stały się kolejnym znakiem rozpoznawczym skandynawskiej sztuki. Zainteresowanie tamtejszą naturą nie

tylko wynikało z podziwu dla jej surowego piękna. Była ona kluczową częścią tożsamości i budowania narodowej identyfikacji.

W tej opowieści o Skandynawii poprzez obraz pojawia się jeszcze jeden znaczący wątek – wnętrza tamtejszych domów. Obrazy przedstawiające niewielkie przestrzenie wypełnione codziennym życiem: krzątających się kobiet, dzieci przy zabawie, osób zatopionych w lekturze. To przedstawienia rodzinnego, bezpiecznego świata. Owszem, pojawiają się na nim rysy: prace przyglądające się mrocznym zakamarkom ludzkiej duszy, stanom pożądania, lęku czy melancholii. Jednak ostatecznie na wystawie wszystkie te wątki składają się na obraz społeczeństwa egalitarnego, pracowitego i celebrującego codzienność.

W tej opowieści – wynikającej przecież z wyborów twórców wystawy i pokazującej, jak dziś chcą siebie postrzegać współcześni Skandynawowie – ważny jest jeszcze element emancypacji kobiet. Na wystawie zajmują one ważne miejsce. Są tu zarówno prace Dunek Anny Ancher i Marie Krøyer, jak też Norweżki Kitty Lange Kielland czy Ester Almqvist, prekursorki szwedzkiego ekspresjonizmu. Ich obecność pokazuje nie tylko pozycję, jaką zdobyły wówczas kobiety, ale również to, w jaki sposób konstruowany jest współczesny skandynawski kanon sztuki historycznej.

Gdzie jest centrum

Tytuł wystawy, jak podkreślają jej organizatorzy, odnosi się do przesilenia letniego,

mającego w skandynawskiej kulturze szczególne znaczenie. Zwraca on uwagę na zmiany, jakie zaszły na przełomie XIX i XX wieku w tamtejszej sztuce, ale – co równie ważne – odnosi się do przemian, które zaszły w relacjach między europejskimi „peryferiami” kulturalnymi a ówczesnym centrum świata sztuki: Paryżem.

Prace skandynawskich autorek i autorów zestawiono z obrazami m.in. Anny Bilińskiej, Olgi Boznańskiej, Konrada Krzyżanowskiego, Józefa Mehoffera czy Wojciecha Weissa. To ryzykowny krok, bo trudno mówić o jakichś istotnych związkach czy relacjach, z wyjątkiem Edvarda Muncha zaprzyjaźnionego ze Stanisławem Przybyszewskim (jego grafiki w 1903 r. pokazano w warszawskim salonie Krywulła).

Nie chodzi jednak o podobieństwo podejmowanych motywów czy stylistyczne powinowactwa. Najciekawsze jest porównanie wyborów podejmowanych przez artystki i artystów w zetknięciu z nowymi prądami w sztuce. Dla Skandynawów, podobnie jak i dla Polaków, coraz ważniejszym punktem odniesienia stawał się Paryż, zarówno jako miejsce edukacji, jak też zdobywania międzynarodowego uznania. I jedni, i drudzy musieli skonfrontować się z doświadczeniem impresjonizmu, Cézanne’a, Gauguina i van Gogha, których z tak wielką uwagą śledzono.

Jak pisał jednakże w 1896 r. Richard Bergh: „we Francji pejzażysta może zostać artystą po prostu. Dzięki swojemu oku, jak np. Sisley. W Skandynawii pejzażysta musi być poetą”. Dyskusja o stosunku do francuskich nowatorów – prowadzona nie tylko w Skandynawii, ale też w Europie Środkowej czy na Półwyspie Iberyjskim – jest także nadal aktualną rozmową o modelu modernizacji. W jaki sposób nowoczesność pogodzić z tym, co rodzime, lokalne? Czy można odejść od wzorów stworzonych w Paryżu lub innych metropoliach i dostrzec wartość odrębności, inności? Zainteresowanie, jakim cieszy się dziś XIX-wieczna sztuka skandynawska, świadczy, że jest to możliwe.

© PIOTR KOSIEWSKI

PRZESILENIE.

MALARSTWO PÓŁNOCY 1880–1910

Muzeum Narodowe w Warszawie, wystawa czynna do 5 marca br., kuratorzy: Agnieszka Bagińska, Wojciech Głowacki

Zawał duszy

AGNIESZKA SMOCZYŃSKA, REŻYSERKA:

Każdy mój film traktuje o inności, ta kwestia najbardziej mnie interesuje. Jak człowiek sobie z własną innością radzi i jak reaguje na nią otoczenie.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Jak zaczynała tworzyć obsypana nagrodami reżyserka?

AGNIESZKA SMOCZYŃSKA: Byłam jeszcze dziewczynką, kiedy próbowałam zacząć się literaturą. Z koleżanką pisałyśmy książkę. Chodziłyśmy po plaży, wymyślałyśmy fabułę z tragicznymi zwrotami akcji. Wiadomo, ktoś musiał umrzeć, jak w tych wszystkich pozytywistycznych nowelkach – Antkach, Anielkach i Jankach Muzykantach – które na okrągło wałkowało się w podstawówce. Mordowałyśmy się przy tym potwornie, szło nam jak po grudzie, nie czułam żadnego wyzwolenia wynikającego z aktu tworzenia.

Męka twórcza jest nieunikniona?

Nie. Bo kiedy bawiłam się w teatr, otwierał się przede mną inny świat – natychmiast niosła mnie fantazja. Sceny, postaci, dekoracje – jakby to było moją organiczną częścią. Rodzicom kazałam siedzieć na kanapie i oglądać przedstawienia. Eklektyczne stylistycznie: najpierw pojawiały się pacynki, potem wchodził żywy plan. Obowiązkowo musiała być obecna mama, szalenie było dla mnie ważne, żeby oglądała w skupieniu i z zainteresowaniem. Przedstawienia trwały po czterdzieści minut i dłużej... Zapominaliśmy się w zabawie, widzowie dawno opuścili widownię, a my dalej na scenie prowadziliśmy dialogi i improwizowaliśmy zwroty akcji. To najpiękniejsze momenty mojego dzieciństwa.

Jak wygląda obecnie Twój pokój do pracy?

Jest wszędzie. Moim „własnym pokojem”, w rozumieniu Virginii Woolf, jest laptop. Kompletnie rozklekotany, to już mój trzeci. Tych starych nie wyrzucam,

AGNIESZKA SMOCZYŃSKA

(ur. 1978) jest reżyserką filmową. Jej pełnometrażowy debiut „Córki dancingu” (2015) otrzymał nagrodę specjalną jury na festiwalu Sundance, „Fuga” (2018) miała światową premierę na festiwalu w Cannes. Anglojęzyczny film „Silent Twins” otrzymał Złote Lwy na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni w roku 2022.

mam sentyment do zapisanej w nich przeszłości. Częścią niezbędną mojego „własnego pokoju” jest niezależność finansowa, próbuję ją zdobywać kręcąc seriale. Co mi daje niezależność finansowa? Autonomię. We „własnym pokoju” mam też zeszyty – zaczynając pracę nad filmem zakładałam nowy, notuję w nim pomysły i refleksje. Sporo korzystam z telefonu, gdzie zapisuję inspirujące mnie wyimki z książek. Aparatem w telefonie robię zdjęcia, nagrywam filmiki. Miejsca, ludzi, obiekty. W domu już na spokojnie zasta-

nawiam się, dlaczego to akurat przykuło moją uwagę.

Czyje wyimki zachowujesz w komórce teraz?

Zachwyliłam się książką Byung-Chul Hana „Społeczeństwo zmęczenia i inne eseje”. Han otworzył mi oczy, ponazywał intuicje. Twierdzi, że przestało istnieć „społeczeństwo dyscyplinarne” złożone ze szpitali, więzień, koszar i fabryk, gdzie wszystko było oparte nakazie. Jego miejsce zajęło „społeczeństwo osiągnięć” – klubów fitness, banków, lotnisk, centrów handlowych, laboratoriów. Jego sztandarowym hasłem jest niczym nieograniczone „możesz”. Wszystko da się osiągnąć, świat stoi przed tobą otworem.

Na tym bazuje praca coachów...

A my opadamy z sił, nie nadążamy za samymi sobą. Przebodźcowani nadmiarem pozytywności, aż do zawału duszy. Nadmiar podnieć, informacji, impulsów oraz presja sukcesów wywołuje depresję, dziś będącą chorobą cywilizacyjną.



KAROL MAKURAT / REPORTER



→ I jeszcze ten *multitasking* – szczególnie wymagany od kobiet, które są obsadzone w tyłu życiowych rolach naraz! A Han twierdzi, że nasza przyszłość jest w celebrowaniu jednej czynności. Jeśli jem, to jem, jeśli idę, to idę – nie rozpraszam się niczym innym. Jak w medytacji.

Czy to jest istotne, że bohaterki Twojego najnowszego filmu, „Silent Twins”, miały też ambicje pisarskie?

Ich pierwowzory, bliźniaczki Gibbons – Jennifer i June – urodzone w latach 60., żyjące w Walii, przypominały mi o innych siostrach: Ludwice i Zofii Woźnickich. Mariusz Szczygieł sportretował je w „Nie ma”. Pochodziły ze spolonizowanej rodziny żydowskiej, za okupacji ukrywały się w domu ciotki, miały po naście lat. Inni sublokatorzy nie wiedzieli, że dzielą podłogę z Żydówkami. A one nie mogły nawet korzystać z toalety, dwa lata pod kluczem, w całkowitej izolacji. Zmęczone wieczną niepewnością przebarbowały się na blond i wyjechały do Niemiec na roboty. Po wojnie wróciły do Polski i do końca życia udawały, że nie są Żydówkami. Obie literatki-pisarki i tłumaczki. Ludwika bardziej zdolna, to ona jest autorką poczytnych książek dla dzieci i scenariusza do filmu Kazimierza Kutza „Ludzie z pociągu”. W latach 80. obie popełniły samobójstwo: najpierw z okna rzuciła się Ludwika, potem Zofia – nie potrafiła żyć bez siostry.

Mówi się, że Zofia była zazdrosna o talent Ludwiki. Podobnie jak Jennifer o June.

Tak, Jennifer zazdrościła siostrze weny twórczej, natchnienia, żarliwości. Tego, że siada przy biurku i przestaje istnieć dla świata. Jest nieobecna dla drugiej. Jednocześnie Jennifer była w stanie oddać wszystkie oszczędności, by mogła się ukazać książka June – „The Pepsi-Cola Addict”. Jej bohaterem jest nastolatek uzależniony od pepsi – fantazjuje, przeżywa nieszczęśliwą miłość, wdaje się w romans z nauczycielką, dużo w tym cielesności i erotyki, w końcu chłopak trafia do więzienia. Taka powieść inicjacyjna.

Jennifer miała fantastyczne, czarne poczucie humoru. I nieograniczoną wyobraźnię, która dla obu siostr od pewnego momentu stała się azyłem.

Bo June i Jennifer zaniechały werbalnego porozumiewania się

Siostry stworzyły swój własny język, coś na kształt świergotu ptaków.

Kiedy zwalniano taśmę magnetofonową z nagraniem ich głosów, okazywało się, że mówią w języku angielskim z akcentem barbadoskim.

ze światem, lecz rozmawiały między sobą.

Stworzyły swój własny język, coś na kształt świergotu ptaków. Kiedy zwalniano taśmę magnetofonową z nagraniem ich głosów, okazywało się, że mówią w języku angielskim z akcentem barbadoskim.

Próba komunikacji na swoich warunkach?

Psycholodzy i pedagodzy głowili się, jak doprowadzić do tego, by zechciały się komunikować z resztą ludzi. Ich nauczycielka wpadła na znakomity pomysł i nakłoniła je do pisania. Spod pióra kilkuletniej Jennifer wyszło opowiadanie o papużkach w zoo, które kiedyś ktoś chciał zabrać do domu, a one mu odpowiedziały, że nie są na sprzedaż. Jennifer tą historią uchyliła rąbek świata wewnętrznego.

Powiedziały, że nie są na sprzedaż?

Ich milczenie miało uzasadnienie: po przeprowadzce do Walii, w szkole, z rozdręstwem, były jedynymi czarnoskórymi dziećmi. Na dodatek siostry poruszały się wolno i synchronicznie, jakby oddychały wspólnymi płucami i były połączone niewidzialnym sznurem. Rówieśnicy zobaczyli w nich idealne kandydatki na kozły ofiarne – ciągnęli za włosy, wyzywali, szturchali, opluwali. Dla bezpieczeństwa zwalniano je wcześniej ze szkoły, by w drodze do domu nikt im nie wyrządził krzywdy. Alternatywą dla wrogiego świata stała się dla bliźniaczek ich silna więź – jak kokon. Opowiadanie o papugach to dla mnie metafora artysty.

Jego swobody?

Kiedy June i Jennifer miały kilkanaście lat, przeszły na zasiłek, zamknęły się w swoim własnym pokoju i wymyślały

najrozmaitsze historie. Na spółkę kupiły maszynę do pisania. W fikcję przetwarzały to, co im się przydarzało w życiu. Czytały swoje kawałki – komentowały, oceniały, dawały uwagi. I chciały je opublikować, prowadziły korespondencję z wydawnictwami. Więc z jednej strony uciekały przed rzeczywistością, a z drugiej desperacko chciały być zauważone. Ale nie potrafiły tego uczynić. Ich starania były ciągiem katastrof.

Z pokoju wyrzuciły młodszą siostrę.

Tak, nikt nie miał tam prawa wstępu. Mama June i Jennifer pukała i zostawiała posiłki pod drzwiami, z najbliższymi porozumiewały się za pomocą listów i karteczek. Kiedy w salonie chciały obejrzeć w telewizji ulubiony muzyczny program, prosiły resztę rodziny, by sobie gdzieś poszła i zostawiła dla nich pustą przestrzeń. Fascynowały się siostrami Brontë, czytały ich powieści, analizowały, prowadziły ożywione dyskusje. I pragnęły zaznać prawdziwego życia, mocnych wrażeń, nie wyłączając tych bolesnych. Z powodu nieszczęśliwej miłości do chłopaka próbowały popełnić samobójstwo.

Podпалиły sklep z traktorami.

June w dzienniku napisała, że zostanie wkrótce najbardziej popularną podpalaczką świata. Za wszelką cenę chciała zaistnieć.

Rozumiesz tę skłonność?

Sklepów jako nastolatka nie podpalałam, ale robiłam inne ryzykowne rzeczy, samo przekraczanie granic jest ekscytujące. Nie, nie ciągnij mnie za język, więcej na ten temat nie powiem... Ale podpalenie sklepu przez bliźniaczki miało też być odwetem, aktem zniszczenia świata, który je bezwzględnie odrzucił. Marjorie Wallace, dziennikarka, która napisała książkę „Milczące bliźniaczki” i która z siostrami niespodziewanie złapała nić porozumienia, usłyszała, tuż przed ich wyjściem ze szpitala, jak Jennifer mówi do June, że zamierza umrzeć. A June uzupełnia: „Tak postanowiłyśmy”. „A dlaczego?” – zapytała Wallace. „Bo ja się urodziłam pierwsza. Tak jest zapisane w gwiazdach”.

W filmie jest inaczej: to Jennifer podejmuje tę decyzję.

W Londynie oglądaliśmy „Silent Twins” razem z June. To nie jest pierwszy



MATERIAŁY PRASOWE GUTK FİLM

Kadr z filmu „Silent Twins”, reż. Agnieszka Smoczyńska, 2022 r.

film na temat sióstr, widziały też operę inspirowaną ich losami, ale siedząc na widowni ponoć nawet nie drgnęły, zero emocji. A po projekcji „Silent Twins” June poruszona wyznała: „Dokładnie tak było”. Dodała, że Jennifer umarła, by ją uratować. Bo one w takim samym stopniu wspierały się, co niszczyły.

Wzajemnie się kontrolowały?

Kiedy myślały o tym, by znaleźć mężów, założyć rodzinę, wpadały w rozpacz, bo to oznaczało, że nie będą razem. Kiedy rozdzielano je jeszcze jako dziewczynki, June naprawdę chciała umrzeć – nie przyjmowała posiłków, chudła, nie wstawała z łóżka, na siłę podawano jej jedzenie. Były przygniecione tą symbiozą, nie umiały się z siebie wyzwolić. Nie chciały też rozmawiać bezpośrednio ze swoimi adwokatami. Siedząc z nimi przy stole milkły, komunikowały się z nimi wyłącznie przez telefon: June powtarzała bardzo szybko to, co jej szepotała Jennifer.

Jedenaście lat spędziły w Broadmoor.

Tak, w najcięższym szpitalu psychiatrycznym, gdzie leczono seryjnych morderców. Tylko Broadmoor zgodził się na przyjęcie bliźniaczek, które podpaliły sklep. A Jennifer i June, po czasie spędzonym w areszcie, wraz z rodzicami cieszyły

się, że jakaś instytucja będzie w stanie im pomóc.

Potem liczyły też na to, że książka Wallace pomoże im wyjść ze szpitala. Ale nie pomogła. Liczyły, że staną się sławne, ale i to się nie stało. Dziś June mieszka w Anglii, chroni swoją prywatność, po naszym filmie wróciła do pisania. Spotkał się z nią Hilton Als, znany poeta, a także dziennikarz „New Yorkera”, i napisał artykuł o rasizmie, o tym, jak bliźniaczki były wykluczane ze środowiska.

Jak siostry Woźnickie?

Wyrosłam na kinie i literaturze, gdzie wykluczanie było tematem tabu, o tym się nie mówiło. Milczało się nie tylko na temat Katynia, ale również pogromów i ludzi LGBT. To wszystko jest opisane w książkach, pod których zostaje wrażenie: „Ku Klux Klan. Tu mieszka miłość” Katarzyny Surmiak-Domańskiej i „Oni. Homoseksualiści w czasie II wojny światowej” Joanny Ostrowskiej. I każdy mój film traktuje o inności, ta kwestia najbardziej mnie interesuje. W „Silent Twins” była dla mnie fundamentalna, podobnie jak w „Córkach dancingu” oraz w „Fudze”.

Obrzeża, wykluczenie?

Tak. I to, jak człowiek radzi sobie z własną innością i jak reaguje na tę inność otoczenie. Han pokazuje, że człowiek zamieniając się w pracującą maszynę, nie umie

dostrzec innego. Zanika negatywność, każdy obiekt zostaje zrównany do porządku konsumpcji. W ogóle usiłujemy się pozbyć wszelkich form negatywności, w tym bólu, bo to oznaka słabości, bo nie daje się pogodzić z pracą i sukcesem.

Kino także coraz bardziej jest poddawane presji konsumpcji. Ma przyjmować formy dające się polubić.

Ciężkie czasy dla kina niezależnego?

Ono przestaje się opłacać, jest uznawane za zbyt ryzykowne dla inwestorów i producentów. Ciężko jest wyprodukować wysokobudżetowy film arthouse’owy. Jeśli się to uda i pojawia się na festiwalach, to kuleje dystrybucja kinowa z porządną promocją. Wystarczy spojrzeć na historię filmu Jerzego Skolimowskiego „IO”, który ma nominację do Oscara wśród sześciu innych filmów nieamerykańskich, ale u nas nawet nie miał plakatów na mieście.

No to jeszcze zapytam o odpoczynek. Jak się broniś przed zawałem duszy?

Trudno spowolnić w tej branży, nie miej złudzeń. Film powstaje kilka lat, długo się dopina budżety. Kiedy pracuję i jestem przemęczona, to oglądam w zasadzie wszystko, jak leci – filmy i seriale. A w dłuższych przerwach czytam książki. W spokoju. I ciszy.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA



Wtajemniczanie w los

ANITA PIOTROWSKA

**Chcąc poznać przyjaciela, trzeba z nim beczkę soli zjeść?
Albo wypić razem kilka beczek guinnessa? Okazuje się,
że nawet i to może nie wystarczać.**

NIECO ŁOBUZERSKIM TONEM „DUCHY Inisherin” opowiadają o różnych odcieniach rozpacz – męskiej, irlandzkiej, zwyczajnie ludzkiej. W osiemnaście lat od nagrodzonej Oscarem krótkometrażówki „Sześciostrzałowiec” Martin McDonagh powrócił na Zieloną Wyspę. A właściwie na fikcyjną wysepkę, gdzie wedle lokalnych wierzeń krążą tajemnicze wiedźmy (zwane po irlandzku *bean sí*), by przepowiedzieć mieszkańcom śmierć kogoś z bliskich. Wczesną wiosną 1923 r. mają zdecydowanie więcej do roboty; ciągle trwa krwawa wojna domowa o suwerenność Irlandii. Jednak społeczność Inisherin zdaje się trwać niczym u Pana Boga za piecem. Tak przynajmniej czuje się tutaj Pádraic (wyborny Colin Farrell), stary kawaler o poczciwym wejrzeniu, od zawsze mieszkający z siostrą. Ku jej utrapieniu, do każdego stworzenia podchodzi z sercem na dłoni, każde chciałby przygarnąć pod swój dach, chwilami aż drażni swoją szcze-

rością. W pełni zadowala go proste życie rozpięte między pracą na gospodarstwie, miejscowym kościołem oraz pubem, gdzie można pogawędzić z przyjacielem o wszystkim i o niczym. I nagle jego kumpel, Colm (w tej roli Brendan Gleeson) zaczyna mieć dosyć owych rytualnych posiadów. Natrętne „dlaczego” uruchamia w „Duchach” niekończące się znaki zapytania – o źródła melancholii, gniewu i ludzkiej pychy.

Oczywiście, najłatwiej byłoby zobaczyć w tym filmie metaforę irlandzkiego konfliktu sprzed stu lat. A może i wszelkich politycznych sporów, którymi z czasem zaczyna rządzić samonakręcający się mechanizm, zaś przyczyny i skutki rozdziela coraz większa otchłań absurdu. Tak dałoby się interpretować zapiekłą postawę Colma, kiedy grozi kumpelowi, iż za każdą próbę pojednania z jego strony obetnie sobie jeden palec. I chociaż dla urodzonego skrzypka oznacza to wyrok, zdeperowany mężczyzna wcale nie żartuje.

Podobnie jak sam McDonagh, kiedy z kamienną twarzą dopisuje kolejne akty i kolejne sensory morderczemu pojedynekowi dwóch dziwaków: mało rozgarniętego (w opinii lokalsów) prostaczka oraz tego, który za wszelką cenę chciałby nim potrząsnąć i tym samym wybudzić z letargu.

Zatem samookaleczenie ma być tu jakąś karą, nauką, prowokacją? W plenerach przesywających na wskroś swym surowym pięknem rozgrywa się gęsty, acz miejscami bardzo niejednoznaczny dramat z udziałem kilkorga bohaterów. W wiosce rządzonej przez zwyrodniałego policjanta i wścibskiego księdza płaci się wysoką cenę za „bycie miłym” – bo takim chciałby być Pádraic. Wie o tym dobrze Siobhán (Kerry Condon), jego czytana siostra, która marzy, by wyrwać się z Inisherin, lecz wówczas musiałaby zostawić brata na pastwę losu i miejscowych. Tej brutalności doświadcza szczególnie nastoletni Dominic (Barry Keoghan), uchodzący za wioskowego głupka, i Colm chciałby oszczędzić takiego losu swojemu przyjacielowi. To nie jest świat dla miłych ludzi.

Tyle, że nie można bezkarnie uszczęśliwiać na siłę ani z uporem maniaka otwierać czyichś oczu na prawdę. Dobrymi chęciami łatwo wybrukować także własne piekło. Gwałt musi, zgodnie ze swą logiką, odcisnąć się gwałtem i nie sposób potem zatrzymać tej spirali. Jakże cienka jest przy tym granica między chęcią uratowania kogoś a potrzebą obsesyjnej nad nim kontroli; między przemocą zacień umotywowaną i ślepą autodestrukcją.



DUCHY INISHERIN

(*Banshees of Inisherin*)

– reż. Martin McDonagh.

Prod. Irlandia/USA/
/Wielka Brytania

2022.

Dystryb. Disney.
W kinach.

Martin McDonagh
to brytyjski reżyser
i scenarzysta
o silnych korzeniach
irlandzkich.

Zaczynał jako
dramatopisarz,
a jego sztuki były
wystawiane również
w Polsce. Na ekranie
zadebiutował
komedią kryminalną

„Najpierw strzelaj,
potem zwiedzaj”
(2008), lecz

największy sukces
przyniosły mu
„Trzy billboardy
za Ebbing, Missouri”

(2017) z oscarową
rolą Frances
McDormand.

Nieprzewidywalna dynamika konfliktu Pádraica z Colmem to najmocniejsza część tej historii, opowiedzianej bez pośpiechu, ze swadą i sarkazmem, niczym snuta przy piwie gawęda. Choć przecież chodzi w niej o rzeczy najważniejsze.

McDonagh pokazuje, do czego może doprowadzić brutalna pedagogika i także „wtajemniczenie w los”, łącząc w sobie te dwa przeciwstawne spojrzenia, naiwniaka i tragika. Obaj stanowią swoje lustrzane odbicia i, wbrew pozorom, mają ze sobą wiele wspólnego. Chociażby rzadki na zakonserwowanej od wieków wyspie szacunek dla odważnej, samodzielnie myślącej kobiety. Oraz miłość do czworonogów (jeszcze jeden filmowy hołd dla osiołka) – pełnoprawnych bohaterów, chcąc nie chcąc, zakładników tej męskiej wojny. Pytanie, co gryzie Colma Doherty'ego, to w gruncie rzeczy pytanie o znaczenie świętego spokoju, który tak bardzo ceni sobie Pádraic, a w którym Colm upatruje egzystencjalnej pustki. Sam próbuje wypełniać ją muzyką, jakkolwiek uproszczeniem byłoby powiedzieć, że w pewnym momencie stała się ona dla niego ważniejsza niż przyjaźń. Bowiem stawka okazuje się dużo większa. Na oczach tytułowej *banshee*, długowłosej staruszki z fajką w zębach, przy baśniowych dźwiękach Cartera Burwella (reżyser zakazał mu nadużywania irlandzkiego folklu), rozgrywa się przypowieść o utracie niewinności (Pádraic) i lęku przed przemianami (Colm), dedykowana zresztą Jonowi Gregory'emu, zmarłemu rok wcześniej montażyście McDonagha.

Wisielcze, nieco skandynawskie z ducha poczucie humoru jest dalekim echem kręconego w Brugii „Najpierw strzelaj, potem zwiedzaj”, gdzie również zagrali Farrell i Gleeson, Irlandczycy z pochodzenia, rzecz jasna. Mimo że wybrzeża Inisherin leżą tysiące mil od Ebbing w stanie Missouri, a obie historie dzieli cały wiek i w języku „Duchów” wyraźnie słychać lokalny dialekt, nadal jest to stary dobry McDonagh, mistrz błyskotliwych, świetnie podawanych dialogów. Czyli artysta, którego twórczość przeczy tezie, jakoby teatr w kinie oznaczał przegadanie i sztuczność.

Najważniejsze, że film napisany, nagrany i nakręcony z taką precyzją, nominowany właśnie do dziewięciu Oscarów, kryje w sobie zwodniczą prostotę i pozostaje dziełem otwartym na interpretacje. Nie rozstrzyga za nas, kto miał rację: przebudzony buntownik czy lękający się zmian pocciwiec. I nawet w finałowym *katharsis* – na dwoje *banshee* wróżyła. ©

Lektor: Dziennik filozofa



■ Władysław Tatarkiewicz

DZIENNIKI. TOM I. LATA 1944-1960. TOM II. LATA 1960-1968.

TOM III. LATA 1969-1977. Z rękopisów odczytali i przepisali, wstępem i biografią filozofa poprzedzili Radosław Kuliniak, Dorota Leszczyna, Mariusz Pandura, Łukasz Ratajczak.

Wydawnictwo Marek Derewiecki, ss. 796 + 838 + 694.

CZY WIEK XX OKAŻE SIĘ W POLSCE STULECIEM DZIENNIKÓW?

Nie myślę o Gombrowiczu i Herlingu, tekstach publikowanych na bieżąco. Ale diariusze Zofii Nałkowskiej, Marii Dąbrowskiej, Zygmunta Mycielskiego, Jana Lechonia, Jana Józefa Szczepańskiego i wiele innych? Jedne pisane dla przyszłego czytelnika, inne traktowane jako autoterapia. Jedne ograniczające się do zapisu faktów, inne bardziej refleksyjne. Ile ich jeszcze kryje się w archiwach, jak niedawno opublikowany wojenny dziennik autorstwa zapomnianej pisarki Aurelii Wyleżyńskiej, która zginęła w sierpniu '44.

Władysław Tatarkiewicz (1886-1980), filozof i historyk sztuki, autor sławnej syntezy dziejów filozofii, stał się symbolem uczonego odpornego na ideologiczne naciski, a przy tym skromnego. „Przez wiele dekad – pisał we wspomnieniach wydanych niedługo przed śmiercią – zajmowałem się rzeczami, które mnie otaczały (a jeszcze więcej tymi, które niegdyś były i które odtwarzałem jako historyk), o swojej osobie nie uważałem, by mogła interesować czytelników”. Czy chciałby, byśmy zaglądali teraz do jego codziennych notatek i poznawali szczegóły jego dolegliwości i leki, które zażywał? A także długie listy osób, z którymi się spotykał, grywał w bridza (jakież intensywne było po wojnie życie towarzyskie!) bądź jeździł między zburzoną Warszawą a Krakowem, gdzie Tatarkiewiczowie znaleźli tymczasową przystań? Bo już wiadomo, że był namiętnym kinomanem (czasem dwa seanse dziennie!) i wszystkożernym miłośnikiem książek, sięgającym nie tylko po wielojęzyczne lektury potrzebne do pracy nad historią estetyki, ale także po powieści dla dziewcząt, dodaje nieznamy rys do jego portretu. No i w tych suchych zapiskach odbija się historia, od powstania (wcześniejsze dzienniki uległy zniszczeniu) po nużące zmagania z peerelowską władzą, notowane zresztą ze spokojem i dystansem, czasem urozmaicane wyprawą za granicę.

Edytorsko dziwne to jest dzieło: dwie książki (biografia Tatarkiewicza i jego dziennik) w jednej. Sporo można by w niej redakcyjnie poprawić, choćby zredukować liczbę cudzysłowów i usunąć błędy czy niedokładności z przypisów. No ale cieszymy się tym, co mamy. ©P

OLGA

Drenda:

Bura rzeka



„TO MIASTO ZAMIENIA SIĘ W MIASTO DUCHÓW, zamknęły się wszystkie kluby, zespoły nie chcą tu grać” – śpiewał w latach 80. Terry Hall, niedawno zmarły lider legendarnej grupy ska, The Specials. Kiedy

powstawała piosenka (w 1981 r.), tak przedstawiała się przynębiająca codzienność wielu brytyjskich miast. Przypomniana w smutnych okolicznościach odejścia tego skadina bardzo lubianego przeze mnie artysty, nałożyła się na kolejne wiadomości o zamykających się restauracjach, sklepach i barach. Każdy nowy rok zaczyna się, niestety, od kilku pustych witryn, i zawsze jest to smutne, ale ostatnio jakby więcej nam ubywa wszystkiego.

To niewesoła z wielu przyczyn perspektywa. Do i tak dokuczliwych finansowych zmartwień zwykłego obywatela dochodzi bowiem poczucie, że świat staje się jakby mniej przyjazny. Czynne miejsca, nawet gdy do nich nie wchodzimy, ale są i po prostu wiemy, że możemy wejść, planujemy wizyty, chcemy się zapraszać albo wstąpić przy okazji, budują poczucie normalności. Inaczej nasze miejscowości stają się przestrzenią tranzytową, uciążliwą trasą z punktu A do punktu B, z domu do pracy i szkoły, i z powrotem. Z miejsca, w którym trzeba jakoś wytrzymać kilka godzin, do miejsca, w którym zabijamy czas kwitnąć przed telewizorem i komputerem. To ulice i rynki, na których nie chce się być, tylko trzeba przez nie przemknąć jak najszybciej.

Przestrzeń życia staje się niegościnna, szorstka. Wycieka z niej radość i dynamika, a nawet swoboda ruchu: gdy nie ma dokąd iść, sami rezygnujemy. Wtedy następuje utajenie, a wraz z nim – nieufność. Życie przenosi się do sfery prywatnej, domowej – nie mylić z gościnną i przyjazną. To przestrzeń grodzona. Poza nią przyglądamy się sobie jak szpiedzy. Kto w końcu

Mówiąc
o burej rzece,
nie mam
na myśli
Rawy ani
Kłodnicy!



chciałby z własnej woli wychodzić dokądś, gdzie nic się nie dzieje? Chyba tylko ktoś, kto nie ma dobrych zamiarów. Świat zaczyna szczyrzyć zęby. Lepiej przemykać, na wszelki wypadek wbijając wzrok w chodnik.

Podobno w latach 80. Muniek Staszczuk prowokował w szkole kurtką z napisem „Częstochowa dusi się z nudów”. Sama pamiętam taki stan rzeczy z czasów licealnych, 20 lat później. Katowice, gdzie na początku milenium kończyłam szkołę, były miastem przynębiającym – do ogólnej biedy i słabych perspektyw dla młodych dochodziła dusząca monotonia i marazm życia. Schronienie w cieniu złotych łuków fast foodu, od święta miód pitny w piwnicy na Słowackiego (naprawdę był przez chwilę popularny wśród osiemnastolatków), przy odrobinie szczęścia koncert metalowy, a głównie zabijanie czasu na ławce czy przesiadywanie na korytarzach – to niemal wszystkie atrakcje, jakie pamiętam.

Tak było przynajmniej do czasu otwarcia słynnego baru Złoty Osioł, którego niedrogie menu i psychodeliczny wystrój wniosły nareszcie odrobinę koloru i ciepłej, bezpretensjonalnej gościnności, którą przywitaliśmy z radością oswobodzeńców. Po osiemnastej ulice cichły i stawały się równie atrakcyjne, co zrezygnowany powrót niedoświetlonym, starym autobusem do domu.

Nie znam lepszego dokumentu tamtych niewesołych czasów niż komiks Michała Śledzińskiego „Osiedle Swoboda”. Miejszem akcji jest tu Bydgoszcz, lecz zasada ta sama. Kilku kumpli stara się zabijać czas w mieście, w którym nie ma gdzie się podziać. Stałym elementem ich perypetii są ucieczki przed agresywnymi typkami. To oczywiste – agresja jest nieodłączną, brzydką siostrą nudy. Dorośli, oczywiście, miewali często jeszcze większe problemy. Pewnie też wolą tego nie wspominać.

Normalność – w znaczeniu względnego komfortu życia codziennego – jest dużym, ciężko wypracowanym osiągnięciem. To, że można gdzieś wejść przy okazji, zjeść coś za małe pieniądze bez namysłu i przygotowań, pogapić się na coś nowego i ciekawego nawet w drodze na przystanek, wracając z pracy, sprawia, że poruszamy się jakby żwawiej, świat daje nam okazję do zainteresowania się czymś i popycha jak piłeczkę w pinballu. I odwrotnie: im bardziej wszystko spowalnia, pustoszeje i grzęźnie, tym większa rezygnacja. Każdy pomysł wydaje się idiotyczny. Nic nie warto, można tylko jakoś trwać. Wszystko wydaje się wtedy jakby przetarte brudną szmatą. Z tego zniechęcenia jak myszy z kurzu lęgnię się obojętność, głupia przemoc, anomia.

Czy tak się znów może stać – nie mam pojęcia. Być może internet jest wystarczająco ekscytującą kryjówką przed marazmem i już zbudowaliśmy sobie w nim świat bis. Zawsze oczywiście może być też zdecydowanie gorzej, jeśli to jakaś pociecha. Nie jestem też władna przedstawiać jakiegokolwiek zapobiegawcze recepty, bo nie od tego – wbrew może oczekiwaniom – są felietoniści. Jestem jednak pewna, że perspektywa wejścia po raz drugi do tej samej burej rzeki, w której na przystankach sekowano ludzi za uśmiech, to naprawdę przykra wizja. Każę mi ona docenić, jak ważną zdobyczą jest to, że w ogóle chcemy otwierać do siebie nawzajem nasze nieszczesne gęby. ©

PAWEŁ

Bravo:

Efekty uboczne



CEMIL ÖZEMPIC – MOŻE PAMIĘTACIE TEGO tureckiego poetę, przedstawiciela środowiska „dziwaków” (po turecku: *garip*), którzy w pierwszej połowie zeszłego stulecia radykalnie odmienili frazę, rytm i strategię twórcze literatury młodej republiki nad Bosforem.

„Zakwitną w końcu róże bez kółców” to jego najbardziej znany utwór, świadomie kontestujący jedną z naczelných metafor klasycznej poezji dywanów epoki otomańskiej... Stop, nie złoście się na mnie za popis próżnej erudycji. Owszem, regularnie zalecam tu czytanie i słuchanie poetów, często cytuję ważne dla mnie wiersze, tym razem jednak w powyższym wstępie prawdziwe jest tylko marzenie o życiu bez trudów. Fejkowego Cemila wymyśliłem jedynie jako pomoc w szybkim utrwaleniu sobie fonetycznie turecko brzmiącej nazwy nowego dla mnie leku, o którym na pewno zaraz usłyszycie. Nie ma bowiem od czasów wprowadzenia na rynek viagry większego hitu farmaceutycznego, odsłaniającego bez skrępowań, czego tak naprawdę pragną mieszkańcy sytego (przynajmniej relatywnie do przeszłości) świata.

Niebieska pigułka i jej wszechobecność na rynku jawnym, szarym i czarnym oraz w waszym folderze ze spamem dowodnie punktuja, jaki jest klucz do satysfakcji i równowagi życiowej mężczyzny – i to w stopniu większym, niż sami gotowi są to przyznać. Ozempic z kolei (i inne podobne preparaty zawierające semaglutyd) stanowi raczej emblemat kobiecego niespełnienia. Mowa o obecnej na rynku farmaceutycznym już od dobrych paru lat substancji udającej jeden z ludzkich hormonów, która jako efekt daje m.in. obniżenie poziomu glukozy we krwi oraz wpływa na trawienie i na łaknienie. Z racji tej pierwszej funkcji ozempic wszedł przebojem do walki z cukrzycą – część osób użerających się z tą chorobą nie potrzebuje wymyślać sztuczek mnemotechnicznych, lecz ma receptę na ten lek od dawna zakodowaną w swoim telefonie. Od jakiegoś roku coraz trudniej przychodzi im zdobycie go, przynajmniej po normalnej, refundowanej, wcale nie tak niskiej, cenie. A to za sprawą efektów ubocznych semaglutylu, które stały się dla milionów niecukrzyków efektami jak najbardziej centralnymi. Ozempic i jego kuzyni (najnowszy nosi nazwę munjaro – skojarzę sobie z Alice Munro) po prostu zapewniają szybkie chudnięcie. Jeden zastrzyk w brzuch na tydzień (za paręset złotych najmarniej) i traci się zainteresowanie jedzeniem.

Trudno byłoby ustalić, jakie są proporcje pacjentów używających leku w sposób uzasadniony cukrzycą lub naprawdę groźną dla zdrowia otyłością do tych nadużywających go z racji estetycznej zachcianki. Dramatyczne relacje z USA, gdzie lek wolno przepisywać *off label*, czyli obok podstawowych zastosowań, pozwalają sądzić, że prawdziwi cukrzycy to już ułamek klienteli. Istnieje jednak ogromna szara strefa zaludniona przez miliony osób, które na zdrowy rozum są po prostu ociupinę za grube w stosunku do pożądanego obrazu siebie (lub ulubionych spodni), ale którym medykalizacja wszelkich codziennych dolegliwości wmówiła, że jest to stan chorobowy, który można, ba, trzeba koniecznie zniwelować. Najlepiej za pieniądze ubezpieczalni, wystarczy opinii publicznej wmówić, że oto kolejny życiowy problem jest potencjalnie groźną chorobą.

Znakomicie pisze o tym nasz redakcyjny kolega Łukasz Lamża w swojej najnowszej książce i nie chcę go tu wyręczać. Zauważę tylko, że niezależnie od tego, czy uznamy brak satysfakcji z własnej, skądinąd nie chorobliwie grubej sylwetki za płochę zmartwienie czy za źródło istotnych psychicznych cierpień, mocno pogarszających jakość życia, to jedno jest pewne: cały, wydawałoby się nienaruszalny dorobek ostatnich dwóch dekad tzw. ciałopozytywności i solennych zapewnień, że mordercze, anorektyczne ideały to patologia, cała więc ta organiczna praca, prowadząca czasem do tak zabawnych odkryć, jak np. szkoła terapeutyczna „intuicyjnego jedzenia”, wszystko to pryska jak bańka na wietrze ciągnącym z czołusci Instagramów i TikToków.

Moda na ozempic zdążyła na tyle okrzepnąć, że media już szeroko opisują efekty uboczne cudownego chudnięcia bez wysiłku: to zapadnięta w charakterystyczny sposób twarz, nagle starsza o dekadę. Coś za coś. Catherine Deneuve słusznie mawiała, że w pewnym wieku ma się do wyboru: albo ładna twarz, albo ładny tyłek – ale i na to jest oczywiście rada, czyli operacje wypełniania ubytków oraz naciągania skóry. Jedyna nadzieja dla takich, jak ja i wy, moi goście, słóczy w naszym oldskulowym kuchennym kąciuku, gdzie nikt nie liczy kalorii, że to wszystko okaże się jednak za drogę w naszym ciągle nie dość wzbogaconym kraju, i będę dalej oglądał wasze zadowolone, krągłe twarze przy swoim stole. A tyłki? Krzesła mam solidne, wytrzymają. ©P

„Smukła sylwetka i zdrowie” – głosił napis na peerelowskim pieczywie chrupkim będącym naszą siemną odpowiedzią na szwedzkie chrupki Wasa, pożądaną przez osoby ograniczające węglowodany. Dalej lubię

je jadać i czasami robię ich uproszczoną, domową wersję bez drożdży. Mieszmamy (jak kto ma robota, niech go zatrudni)

350 g białej pszennej mąki, 700 g razowej mąki pszennej i garść ziaren (siemka, kminek, nasiona kopru włoskiego itp.) z 0,5 l wody oraz łyżką melasy i łyżką płynnego miodu, dodając na koniec półtorę łyżki soli. Uzyskane ciasto wałkujemy na płacek grubości ok 2 mm, wycinamy nieduże prostokąty, kładziemy na blachę wyłożoną papierem do pieczenia, pieczemy ok. 10 minut w 180 stopniach aż do ożłocenia.



ZMYSŁY

CO JEST POD KOŁDERKĄ

Noma ściągała do Kopenhagi zamożnych smakoszy ze wszystkich krańców Ziemi. Wyznaczyła nowy wzorzec dla kuchni najwyższej klasy. Staż w Nomie miał być gwarancją przyszłej kariery. Jak to się kończy?

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

TO JEST NIE DO UTRZYMANIA”. TYMI SŁOWAMI ROZPOCZĄŁ rok 2023 René Redzepi, charyzmatyczny duński szef kuchni, założyciel Nomy – restauracji ogłoszonej najlepszą na świecie i uhonorowanej trzema gwiazdkami Michelin. Na łamach „New York Timesa” ogłosił on, że zamknie restaurację do końca 2024 r.

Nowa Kuchnia Nordycka

„Przez całe lata Kopenhaga była wyspą – wspominał Redzepi w eseju na łamach periodyku założonej przez siebie organizacji non-profit MAD (po duńsku „posiłek”). – Jeśli chodzi o kuchnię, przez większość współczesnej historii byliśmy oderwani od reszty świata. Myśląc o jedzeniu, mało kto myślał o Skandynawii”.

Gdy w 2003 r. wraz z szefem kuchni i przedsiębiorcą Clausem Meyerem zakładali Nomę w dawnym magazynie portowym w Christianshavn, oparli jej koncept na lokalności, sezonowości, tradycyjnych składnikach i technikach takich jak kiszenie – w *nouvelle cuisine* nie do pomyślenia! – oraz nowoczesności interpretacji kuchni północy, mającej „wyrzucić czystość, świeżość, prostotę i etykę kojarzone z naszym regionem”. Tak to zapisali w ogłoszonym rok później „Manifestie Nowej Kuchni Nordyckiej”, który podpisali szefowie kuchni z Danii, Norwegii, Szwecji, Finlandii, Islandii, Wysp Owczych i Grenlandii. Manifest w zamyśle Meyera był tyleż projektem kulinarnym i ideowym, co promocyjnym – dla kuchni i dla wartości regionu.

Wielkie kuchnie przejmują od siebie koronę drogą przewrotów pałacowych. Na przełomie lat 60. i 70. Paul Bocuse i twórcy *nouvelle cuisine* odrzucili receptury starych mistrzów *haute cuisine* i od tamtej pory sos miał już trafiać pod, a nie na potrawę. Ale to Ferran Adrià w hiszpańskiej restauracji El Bulli ogłosił, że „tworzenie to nie kopiowanie” i że szef kuchni musi komponować własne utwory – bo już nie dania: Adrià tworzył koncepty i źródła doświadczeń, przemieniając składniki w pianki i sferki, dekonstruując i reinterpretując dania przy pomocy ciekłego azotu i alginianu sodu, podając je na autorskich utensyliach, stalowych stojaczkach czy w pipetach.

Wielka kuchnia ze sfery żywienia przeniosła się w sferę kreacji, designu, doświadczenia, uczta stała się ściśle zaprojektowanym degustacyjnym spektaklem. El Bulli zdobyła wszystkie możliwe gwiazdki, a początek nowego tysiąclecia upłynął pod wyrażającym millenarystyczne nadzieje i lęki hasłem „kuchni molekularnej”.

Młody Redzepi był w El Bulli stażystą. Gdy w 2010 r. Adrià ogłaszał, że planuje zamknąć restaurację, Noma otrzymała tytuł najlepszej restauracji świata. Nowa Kuchnia Nordycka chciała wyrażać już innego ducha: szefowie kuchni mówili o dobrostanie zwierząt i dobru wspólnym, o poszanowaniu dla mórz, upraw, lasów i kultur. Urodzony w Macedonii Redzepi (jego matka była Dunką, ojciec macedońskim muzułmaninem, wyjechali do Danii w obliczu wojny na Bałkanach) wyniósł na kulinarne ołtarze dzikie składniki z lasu i morza, a lokalność zyskała wymiar etyczny. Zwłaszcza że kraje nordyckie na fali Manifestu Nowej Kuchni Nordyckiej inwestowały nie tylko w promocję samej swojej kuchni, ale

też w czynienie z niej globalnego wzorca zrównoważonego podejścia do natury i żywienia. Sam zaś Manifest brzmi jak spis treści podręcznika do zrównoważonego rozwoju.

Styl Nomy, z jubilersko zbudowanymi daniami stanowiącymi wizualne kompozycje w otoczeniu mchów, pędów, kielków i płatków, zawojował kulinarną wyobraźnię świata. Białe obrusy zastąpiło bielone drewno. Nóż szefa kuchni stracił symboliczny status na rzecz pęsety. W 2018 r. Noma przeniosła się do starego magazynu amunicji nad jeziorem, gdzie powstały też m.in. szklarnie i laboratorium fermentacji. Rezerwacje na kolejne sezony rozchodzą się w kilka dni.

Menu degustacyjne kosztuje prawie 500 euro, z wyborem win – ponad 700.

Zasoby i zasobność

Media uwielbiają się z kuchnią, a w drugiej połowie XX wieku to mass media namaszczały i detronizowały królów zbiorowej wyobraźni. Szef kuchni epoki telewizji stał się celebrytą, magiem, przewodnikiem, wreszcie kapłanem pragnień. Figury bezkompromisowych geniuszy wierzących w swoje marzenie, pokonujących przeciwności losu uporem i doskonaleniem się, żeby na koniec zdobyć róg obfitości, podbiły kulturę popularną, bo wpisują się i w archetyp artysty, i herosa. Trochę Pigmalion, trochę Prometeusz.

Jak zauważył publicysta „Guardiana” Kieran Morris, starzy francuscy mistrzowie, jak Alain Ducasse, Pierre Gagnaire czy Joël Robuchon, u szczytu sławy kolekcjonowali kolejne gwiazdki Michelina i otwierali sieci ekskluzywnych restauracji w najdroższych hotelach całego świata. Tymczasem ludzie, którzy wyszli z Nowej Kuchni Nordyckiej, herosi świata katastrofy klimatycznej i społecznych nierówności, wprowadzili do mitu szefa kuchni nowy wątek. Swoim posłannictwem uczynili „coś więcej niż gotowanie”. Potraktowali swój – nadany im przez popkulturę – status jako odpowiedzialność.

Owszem, już Jamie Oliver, ale też np. Hugh Fearnley-Whittingstall tego próbowali, walcząc z marnowaniem żywności czy karmieniem dzieci fast foodem. Ale nordyccy szefowie uczynili z tego składnik swojej tożsamości. I tak, wymienia Morris, współzałożyciel Nomy Claus Meyer stworzył linię gotowych dań z organicznych, lokalnych składników we współpracy z kopenhaskimi kooperatywami, a także program uczący więźniów gastronomii, a nawet zajął się wprowadzaniem wegańskich opcji do stołówek Ikea. Jeden z byłych kucharzy Nomy Dan Giusti założył w USA firmę Brigaid przygotowującą zrównoważone, pożywne posiłki dla uczniów za niecałe 4 dolary. Redzepi założył MAD, który zamierza przemieniać system produkcji żywności w bardziej zrównoważony i promować refleksję nad przyszłością żywienia. Meyer wraz z duńską szefową kuchni Kamillą Seidler założyli ekskluzywną restaurację w Boliwii, żeby uczyć miejscowych kucharzy.

Nowa Nordyckość obudziła nadzieje, że wielcy szefowie staną na czele zmiany, która wyprowadzi *fine dining* ze złotej klatki na ulice. Że skorzystają ze swojego statusu, żeby uczynić produkcję żywności bardziej *fair*. Że potrząsną zbiorową wyobraźnię przypominając, iż żywienie to nie obróbka klejnotów do elitarnych kolekcji, lecz prawo człowieka.

Jak jednak do zrównoważonego rozwoju – czy szerzej: do jakiegokolwiek równowagi – ma się sprzedawanie za setki

René Redzepi przed drzwiami Nomy. Kopenhaga, 2 grudnia 2022 r.



DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA X3

Dania z Nomy: grzanka z turbotem, ziołami i pyłem octowym

⇒ euro plastra grillowanego serca renifera na kołderce z pędów sosny? I to ludziom, którzy przylecieli na degustację samolotem w klasie biznes z drugiego końca globu, zostawiając za sobą ślad węglowy długości tysięcy mil? W czasach postpandemicznego kryzysu, gdy putinowska Rosja blokuje w czarnomorskich portach zboże dla najuboższych krajów? Gdy na Zachodzie ludzie o najniższych dochodach chorują z otyłości (jest tak też w Polsce: patrz powszech.net/otylosc/)? Gdy wskutek kryzysu coraz więcej ludzi przestaje być stać na zdrowy tryb życia? Gdy katastrofa klimatyczna przemeblowuje nam globalny porządek w kwestii zasobów żywności i wody?

Czy naprawdę te charyzmatyczni szefowie-aktywiści pomogą rozwiązać te problemy? Owszem, odwrót od egzotycznych składników z drugiego końca globu i zwrot ku lokalności, porzucenie ciekłego azotu i sferyfikacji na rzecz fermentacji i destylacji, a nawet wprowadzanie do menu mrówek i koników polnych – to brzmi ekologicznie. Tyle że romantyzowanie jedzenia owoców leśnego runa i owadów, kisenia i suszenia – pozwala łagodnie wyprzeć fakt, że źródłem tych praktyk i technik zawsze była bieda, i sprzedawać je współczesnym wcieleniom przebranej za pastereczkę Marii Antoniny za setki euro, czyli za kilkudziesięciokrotność wartości składnika.

Owszem, działalność takich szefów kuchni jak Matt Orlando, były kucharz Nomy i właściciel kopenhaskiej restauracji Amass, walczących z marnowaniem żywności i wymyślających potrawy z resztek, pomaga zwrócić uwagę opinii publicznej na ten gigantyczny problem – co roku na świecie wyrzuca się 1,3 mld ton jedzenia (za „Business Insiderem”). Ale od mody na chipsy z obierek jeszcze daleko do rozwiązania kryzysu żywnościowego, zwłaszcza że 40 proc. jedzenia marnowanego na świecie wyrzucają właśnie restauracje. Jak na łamach brytyjskiego magazynu branżowego „Big Hospitality” szacował Douglas McMaster, szef należącej do ruchu zero waste restauracji Silo z Brighton, podczas gdy zwykła restauracja marnuje ok. 50 proc. jedzenia, w restauracjach fine-diningowych sięga to 80 proc.

Mówiąc „nie do utrzymania”, Redzepi miał na myśli budżet Nomy, którego nie może dopiąć, i szerzej, nieopłacalność całego modelu dzisiejszego fine diningu. Ale „nie do utrzymania” oznacza też zjawisko zaburzające równowagę, pochłaniające zasoby, szkodliwe.

Reszta łosia

Na otwierającym artykule w „NYT” zdjęciu Redzepi pozuje na tle charakterystycznych drzwi z Nomy. Skandynawska elegancja bielonego drewna drzwi doskonale komponuje się ze

zbudowaną wokół nich kompozycją z rogów łosi. Wygląda to niczym manifestacja – niezamierzona? – i oświadczenie, że za całym tym wyrafinowaniem, artystyczną kompozycją z lokalnych, nieskazitelnie naturalnych składników, uwzniośleniem kulinariów do rangi sztuki kryje się ludzkie pragnienie konsumowania na taką skalę, by zostawiać za sobą tylko sterty suchych kości. Owszem, Redzepi zdaje się mieć odwagę, żeby tych kości nie sprzątać dyskretnie sprzed oczu biesiadników, tylko przybić je do drzwi. Oto reszta waszego łosia.

A jednak z jego wypowiedzi dla „NYT” nie wynika, by doszedł do wniosku, że szlachetnych celów Nowej Kuchni Nordyckiej nie da się pogodzić z praktyką fine diningu. Okazuje się on nie do utrzymania – ekonomicznie. Model restauracji ekstremalnie doskonałej wymaga nie tylko drogich składników i technik, ale może przede wszystkim sztabu pracowników mozołnie komponujących zaprojektowane przez szefa wizje. Otóż w październiku zeszłego roku, jak pisze „NYT”, koszty Nomy wzrosły o kolejne 50 tys. dolarów. Bo musiała zacząć płacić stażystom, którzy dotąd tę robotę wykonywali za darmo (sam Redzepi nie potwierdził wprost, że to właśnie stoi za decyzją o zamknięciu restauracji). Jak wykazało m.in. dziennikarskie śledztwo „Financial Timesa” z czerwca ubiegłego roku, za perfekcją i luksusem fine-diningowych restauracji stoi zupełnie inna opowieść: o wyzysku i przemocy.

„NYT” zestawia decyzję Redzepiego z falą krytyki, jaka spotkała tę branżę za traktowanie pracowników, którzy nad sprzedawanymi za setki euro daniami pracowali za grosze lub za darmo, często w pożałowania godnych warunkach. Praktyka ta opierała się na fakcie, że staż w Nomie i jej podobnych restauracjach to wymarzona pozycja w CV ambitnego kucha-



Grillowane pory z popiołem, orzechami laskowymi, jogurtem i karmelizowanym sosem z kurczaka

rza. Noma ściągała trzydziestu chętnych na trzymiesięczny, bezpłatny staż i podpisywała z nimi „nieformalne porozumienie”. Tyle że stażyści, którzy liczyli na to, że w zamian za pracę za darmo zdobędą bezcenną wiedzę, przez cały staż zajmowali się pracą przy kuchennym taśmociągu. Spektakularnym przykładem stała się relacja Namraty Hegde, 26-letniej absolwentki szkoły kulinarnej z Hajdarabadu w Indiach, która opowiadała, że przez trzy miesiące w Nomie wyrabiała żuczeki z konfitury owocowej. Dodała też, że zabraniano się jej śmiać.

„Najlepsza restauracja świata polegała w ogromnym stopniu na bezpłatnej sile roboczej” – pisał „Financial Times”. Redzepi w wywiadzie pt. „I Know This to Be True” z 2020 r., poświęconym sztuce przywództwa i pracy zespołowej, opo-

wiadał o patologiach biznesu restauracyjnego: „ludzie pracują szalone liczby godzin i powiedziałbym, że praca w tym przemyśle jest prawdopodobnie najgorzej opłacaną na świecie. To miejsce pełne szorstkiego tonu i bardzo macho – tak się sprawy mają. To maszynka do mięsa, która mieli młodych ludzi”. Jak wytknął mu kucharz i publicysta „The Atlantic” Rob Anderson, w tym samym wywiadzie szef Nomy pyta własną branżę: „Czy możemy być lepsi? A może prawdziwe pytanie brzmi: czy chcemy być lepsi?”.

Ten sam Redzepi będzie niedługo tłumaczył „New York Timesowi”, że „matematyka uczciwego wynagradzania niemal stu pracowników przy równoczesnym utrzymywaniu wysokich standardów i żołądków dla rynku cen nie działa”.

Koszary i koszmary

„Fine dining, tak jak diamenty, balet czy inne elitarne zajęcia, często ma w siebie wpisana przemoc. Każdy luksus zbudowany jest na czyichś plecach, ktoś musi za to zapłacić” – mówi na łamach „NYT” fiński szef kuchni Kim Mikkola, który pracował w Nomie. Przemoc wpisana w fine dining okazała się nie tylko – i aż – ekonomiczna. „Financial Times” przywoływał świadectwa z innych uznanych lokali, o mobbingu, rasizmie, seksizmie, homofobii, agresji fizycznej. O molestowaniu, wrzucaniu personelowi telefonów do frytury czy oblewaniu gorącymi fusami.

Już w 2015 r. Redzepi ogłosił rodzaj publicznego rachunku sumienia na łamach magazynu kulinarnego „Lucky Peach”. „Najmniejsze przekroczenia doprowadzały mnie do kompletnego szału: Dlaczego do cholery nie obrałeś poprawnie tymianku? Dlaczego przegotowałeś rybę? Co jest z tobą nie tak? (...) Przez ogromną część swojej kariery byłem tyranem. Darłem się i popychałem ludzi. Zdarzało mi się być fatalnym szefem” – napisał. Ale deklaruje też, że pracował nad sobą i się zmienił. Teraz, przyznaje rozbijając, „mówię swoim kucharzom, że jestem jedyną osobą, której wolno krzyknąć, nie chcę, by ktokolwiek inny szalał”.

Co ważne, twórca Nomy zaczyna wyznanie od tego, że w kuchniach pełnych przemocy się wychował. „Zaczynałem gotować w czasach, gdy powszechny był widok moich kolegów kucharzy policzkowanych za proste błędy, talerzy latających przez pomieszczenie i rozbijających się o kogoś, kto pracował zbyt wolno. Często się zdarzało, że nazywano mnie bezwartościową piz... albo i gorzej”. Takie relacje powtarzają się w branży kulinarnej: że zawsze tak było, że ja miałem gorzej, że zawsze się pracowało za darmo, było upokarzaniem. Przemoc, którą chroni zмова milczenia, łatwo się replikuje.

Milczenia? Przecież wielki mit szefów kuchni zbudowany został na przemocy całkowicie jawnie, przy naszej, publiczności, poklasku. Uwiódł nas Gordon Ramsay, gwiazda chętnie kopiowanego, u nas przecież także, formatu telewizyjnego, w którym przemoc jest jednym z głównych ornamentów. Chętnie śledzimy w TV kulinarne zawody wyreżyserowane tak, żeby sycić nas skrajnymi emocjami uczestników, ich płaczem, frustracją, załamaniem. Łatwo daliśmy się przekonać, że to normalne, iż gotowanie – od zarania ludzkości potężny symbol wspólnoty, współpracy, bezpieczeństwa i pokoju – musi czerpać wzorce z koszarowego piekła.

„W całej naszej branży przemocowe normy utrzymywały się nawet mimo znalezienia się w centrum uwagi za



Szpic kostny z kiszonymi warzywami

sprawą tysięcy programów i blogów kulinarnych oraz wpływu kapitału inwestycyjnego dla najbardziej znanych szefów” – napisał Anderson.

Kuchnia, która karmi

Za każdym odcinkiem serialu Netflixa „Chef’s Table” o kolejnym kulinarnym geniuszu, który spełnił swoje marzenie, kryją się setki marzeń, które się nie spełniły: porażek, bankructw, zderzonych z rzeczywistością wyobrażeń o własnej restauracji. Ostatnio, bo przyszła pandemia, a przecież – choć może to nie być oczywiste dla naprawdę wielkich szefów kuchni – trzeba było zapłacić personelowi.

Pandemia dla biznesów restauracyjnych była olbrzymim ciosem, ale przy całej traumie, wymusiła też zmiany i prze-wartościowania – idące dużo dalej niż fakt, że nawet Noma zaczęła w pandemii działać jako bar z winem i burgerami na wynos. Anderson pisze, że po pandemii „restauratorzy zaczynają podejmować decyzje służące na pierwszym miejscu potrzebom naszych pracowników, naszych firm i nas samych, a nie klientów”, oraz podaje takie przykłady jak skrócenie menu i godzin pracy czy podniesienie cen.

„NYT” opisuje wzrastającą po pandemii nową falę fine-diningowych restauracji dla zwykłych ludzi, skromniejszych i działających według całkowicie innej logiki: stałe menu degustacyjne, rezerwacje oraz przedpłaty pozwalają im dokładniej oszacować zapotrzebowanie na składniki i pracowników, mniej marnować i utrzymać niższe koszty niż w kuchni *à la carte*, wciąż zaś wykazywać się jakością i kreatywnością. Koszt kolacji nie przekracza tu kilkudziesięciu dolarów. Wygląda również na to, że chcą one przywracać fine diningowi pierwotną rolę: karmienie. Jak powiedział nowojorskiemu dziennikowi twórca jednej z takich restauracji: „wiesz, chłopie, ja po prostu chciałem gotować dobre jedzenie”.

Kto wie, czy właśnie teraz, po pandemii i wobec widma katastrofy klimatycznej oraz kryzysu żywnościowego, w obliczu inflacji i wstrząsów łańcuchów dostaw, nie zaczyna się, powoli i podskórnie, jeszcze niewidocznie, ale już odczuwalnie (np. w kieszeni po zwykłym lunchu w restauracji) czas kulinarnych przewartościowań, po których nie będzie już miejsca na robienie z żywności konceptów, dekonstrukcji i interpretacji. Wielki fine dining będzie się wtedy wspominać tak, jak dziś kuchnię Wersalu. Przed ludzkością stoją problemy znacznie poważniejsze niż to, kto nam teraz będzie serwował stuletnie cypryny islandzkie, pastę z mrówek i kaczy mózdzek podawany w czaszecze. © P MICHAŁ KUŹMIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:

Paszporty IPN-u



PRASA, I TA PRORZĄDOWA, I OWA OPOZYCYJNA, donoszą chórem i ze zgrozą, że zginęły dokumenty paszportowe Jarosława Kaczyńskiego. Wiadomo, że powinny leżeć w sejfie Instytutu Pamięci Narodowej, i także wiadomo, że ich tam nie ma.

To wszystko. Gdzie są te dokumenty? Nie wiadomo. Oczywiście, mamy w tej szokującej sprawie kilka gibkich uwag o charakterze zarówno płytszym, jak też głębszym.

Otóż to, co najłatwiejsze do powiedzenia, co ciśnie się na usta każdemu Polakowi – to bezwzględna krytyka owego polskiego ładu. Specjalnie napisaliśmy te słowa małymi literkami, bowiem dziś nie chodzi nam wcale o sławny program gospodarczy obecnych władz, ale o klasyczne tutejsze podejście do porządku w aktach. Jak to możliwe, że z sejfu jednej z najlepiej strzeżonych instytucji w Polsce giną dokumenty najlepiej strzeżonego obywatela naszego kraju? Jak mają się czuć obywatele mniej strzeżeni oraz ci kompletnie przez państwo polskie niestrzeżeni? Ano nic nie mogą czuć, poza goryczą i smutkiem. Obiecywano wszystkim nam – jak tu ponuro siedzimy – porządek i sprawne państwo, a mamy dziadostwo i sejfy z dykty. Gdzie owi szeryfowie zapowiadający cienkimi głosami, że każdy w Polsce, odkąd oni rządzą, może czuć się bezpiecznie? Czy Jarosław Kaczyński może czuć się bezpiecznie, skoro nie ma jego akt paszportowych złożonych na MO w czasach zapewne Kiszczaka? Nie może. I to w zasadzie byłoby na tyle, bowiem wszystko to razem – i owe pytania, i na nie odpowiedzi – pięknie ilustruje bezradność i brak kompetencji, nawet na poziomie skutecznego zamykania szafek pancernych.

Rzecz jasna, cała ta sprawa może mieć i drugie dno, albo – jak to często w Polsce bywa – trzecie. Zaginięcie akt paszpor-

towych Gospodarza może także świadczyć o upadku legendy i mitu. Możliwe bowiem, że Jarosław Kaczyński nie jest już najpilniej strzeżonym obywatelem w Polsce, a jego papiery także nie stanowią skarbu na miarę aktu lokacyjnego miasta Krakowa z 5 czerwca 1257 roku, sporządzonego – co wie każde dziecko – własnoręcznie przez Bolesława Wstydliwego pod czujnym okiem nieodżałowanej Grzysławawy. Działo się to – o czym zawsze przypominamy rdzennym krakowianom – w Koperni pod Pińczowem. To był wtór edukacyjny.

Wracając do meritum. Możliwe, że strażnicy jakże ważnego fragmentu dokumentacji życia Gospodarza w poczuciu, że nie jest już jak dawniej, bezrefleksyjnie poszli na kebab, zapalili bądź wypili coś na rozgrzewkę. W tym czasie ktoś wszedł, zgrzytnęła zasuwka i myk. Zniknął. Dokumentacji paszportowej nie ma. A była.

Zastanówmy się teraz, po co komu te papiery i kim był złodziej. Przychodzą na myśl różne profile psychologiczne. Do wyboru, do koloru. Pierwszy to oczywiście fanatyk. Fanatyk, wielbiciel i fetyszysta. Nie ma co się tu rozpisywać. O fetyszyzmie wiemy wszystko. Fetyszem może być cokolwiek. Może być stopa bez skarpetki, mogą być i akta paszportowe Jarosława Kaczyńskiego. Wiadomo. Rozum robi człowiekowi co rusz szokujące psikusy, czasem jednak nadchodzi refleksja i człowiek idzie do doktora. Zaiste, jest do wyobrażenia, że kiedyś, u stosownego specjalisty, pojawi się na kozetce zawstydzony człowiek, który wyzna, że cierpi na osobliwość popędliwość wobec dokumentacji paszportowej. Dostanie tabletkę i papiery z wahaniem, ale cichcem odda. Do IPN-u. Sprawa się skończy, bo czyn zostanie sklasyfikowany jako nieszkodliwy społecznie. Wtedy, w przyszłości, bo dziś pacjent trafiłby w czerwonym kombinezonie wprost do Wronek. Na lata. Wiadomo.

Można by tu jeszcze sporo napisać o ludziach, którzy chcieliby mieć w domu dokumentację paszportową Gospodarza. Mogą to być zbieracze pamiątek patriotycznych, kolekcjonerzy autografów, relikwii, rękopisów sławnych ludzi, wielbiele PRL-u, mogą to być ludzie ciekawi, dokąd Gospodarz chciał za młodu jechać i po co. Są to – każdy przyzna – frapujące zagadki. Mówiąc szczerze, samiśmy są tego ciekawi, ale na wszelki wypadek oświadczamy: nie mamy tych papierów, tak ważnych dla państwa i narodu polskiego. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



Maciej Stuhr

czyta baśnie w „Tygodniku”



„Słuchowisko Daleko i Blisko. Baśnie i Legendy Ukraińskie”

jest płytowym wydaniem bajek, baśni i opowieści ukraińskich, czytanych przez Macieja Stuhra. Zabierz swoich Bliskich w podróż dźwiękową pełną niesamowitych historii.

Płytę otrzymają wszyscy Prenumeratorzy wydania drukowanego „Tygodnika Powszechnego” **wraz z wydaniem nr 9/23 z 22 lutego** w ramach współpracy z Fundacją Fine.ngo i Unicef.

Nie prenumerujesz? Jest jeszcze czas, by to zmienić. **Zamów dowolną prenumeratę naszego pisma** i ciesz się prezentem! Wydanie płytowe dostępne tylko z prenumeratą wydania drukowanego „Tygodnika Powszechnego”.

PARTNER WYDANIA:

fine.ngo

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TP”

Prenumeratę wydania drukowanego można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrzc w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	90 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate



PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation



fine.ngo

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.



Gwarancja SLA



Obiekt klasy Tier 3



Transmisja danych
do krajowych operatorów



Samodzielny dostęp
do szaf w trybie 24/7



Redundantne połączenie
z siecią Internet



Monitoring 24/7
oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe S-NET Data Center zostało wyposażone w najnowszą generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.



Systemy
przeciwpożarowe



Systemy
chłodzenia



Niezależne
zasilanie



s-net.pl/data-center



Skontaktuj się z nami

+48 12 395 71 00